

234
Ktoby się tego był spodziewał!

Braciszek Renat.

Dwie powieści z życia ludu.

Wydanie Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra na rok 1891.



Cieszyn.

Ces. i król. nadworna drukarnia Karola Prochaski.

1892.

Ktoby się tego był spodziewał!

Braciszek Renat.

Dwie powieści z życia ludu.

Wydanie Dziedzictwa bl. Jana Sarkandra na rok 1891.



Cieszyn.

Ces. i król. nadworna drukarnia Karola Prochaski.
1892.



K-71/78/474

Przedmowa.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Upłynął ośmnasty rok istnienia „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku.“ Jako zadanie postawiło sobie Dziedzictwo szerzyć oświatę i religijność pomiędzy ludem śląsko-polskim przez wydawanie książek na podstawie chrześcijańsko-katolickiej. To świetne zadanie spełniało dotąd Dziedzictwo może nie tak wybornie jakby życzyć wypadało, ale sumiennie i mozolnie, i w miarę środków i sił naszych. Świadczą o tém liczne książki wydawane przez „Dziedzictwo,“ które się co rok rozchodzą pomiędzy ludem śląskim i znajdują się w ręku nawet najuboższych naszych ziomków.

Ostatnim płodem prac naszych jest książka obecna, którą Wam, szanowni członkowie, niniejszém za rok 1891 przesyłamy. Zechciejcie ją przyjąć jako dalszy płód ustawicznych naszych prac i usiłowań. Zawiera w sobie to dzieło dwie powieści obyczajowe, wzięte z życia ludu i oparte na zasadach religijnych.

Dołączamy oraz do tego dzieła spis członków i rachunki za rok 1890 i po części 1891, z których załączników każdy dokładnie powziąć może, jaki jest obecny stan towarzystwa. Od czasu, jakośmy umieścili ostatni spis członków, śmierć

IV

sprawiła nam znowu bolesne straty. Mianowicie wymieniamy tutaj Przewielebnego ks. biskupa sufragana Franciszka Śniegonia, który zawsze był gorliwym zwolennikiem „Dziedzictwa“ i popierał mocno jego cele, czego jeszcze w ostatniej chwili dał dowody, zapisawszy w testamencie 200 złr. na rzecz „Dziedzictwa.“

Co się dotyczy liczby członków, zapisujących się do Dziedzictwa, to z żalem wyznać musimy, że ta liczba prawie co rok maleje i nie może iść w porównanie z dawniejszą liczbą zapisujących się rocznie członków. Dla tego wzywamy was, kochani ziomkowie, usilnie, abyście jak najliczniej do „Dziedzictwa“ się zapisywali i drugich zachęcali. Niewiara i bezbożność coraz silniej występują, a ich zwolennicy nie żałują ani pracy ani ofiar na cele swego mistrza, czarta. A my wyznawcy Chrystusowi tak mało czynimy dla jego nauki i boimy się każdego kroku w obronie religii! Czyjaż więc wina, że się złe rozszerza?

Mowa nasza ojczysta coraz więcej gnębiona, starajmy się więc zachować język przodków i ojców!

Do dzieła tak świętego niech się wszyscy garną, a każdy, co rękę przyłoży do niego, trzykrotne błogosławieństwo odbierze od Pana!

W Cieszynie w święto trzech króli 1892.

Ks. Paździora Karol,

sekretarz.

Ks. Ignacy Świeży,

prezes.

I.

Prawocin jest długa wieś podgórska i liczy koło dwóchset numerów. W pośrodku płynie potok, wzdłuż niego w dolinie pomiędzy olszami i wierzbami stoją dość gęsto chaty i domki, a po wzgórzach po obu stronach się wznoszących znajdują się dosyć daleko od siebie gospodarstwa siedlache (siedlakami nazywają na Śląsku właścicieli większych gruntów chłopskich). Niedaleko dolnego końca osady właśnie nad potokiem wspina się pagórek, a na jego wierzchołku znajduje się rozkoszna równina. Tam stoi kościół, fara, szkoła i gospoda, co razem stanowi dosyć okazałą całość. Kościół z czerwoną wieżą i kopułą, szkoła murowana, okazała fara z ogrodem, i gospoda z starożytną strzechą a wewnątrz z ogromną salą z słupem w pośrodku. Wzór do podobnego budowania karczem wzięli podobno żydzi z korabiu Noego.

Jednak równina na pagórku chociaż najprzedniejszemi budowlami ozdobiona nie wszystkim mieszkańcom prawocińskim się podobała. Starsi i wiekiem podeszli mówili, że karczma tak blisko kościoła nie powinna stać, boć to zakrawa na lekceważenie Boga. Atoli inni młodszy, którzy czasem o gospodę zawadzili, zbi-

jali to zdanie, mówiąc, że bez karczmy w żadnym razie by się nie obeszło, a gdyby nie stała na kopcu, toby stała pod kopcem.

W kościele prawocińskim bywało najwięcej ludzi w niedzielę przed południem, w karczmie zaś po południu, a w szkole w powszedni dzień. Chodziły do niej dziatki z Prawocina i z dwóch Ligot, owieśnej i ostowój. W zimie schodziły się dziatki koło dziewiątej godziny ze względu na mniejsze dziatki, i uczono do trzeciej godziny po południu. W lecie uczono tak samo ze względu na większe dziatki, które musiały krowy paść. W zimie bywała z przyczyny szkoły druga msza święta o dziewiątej godzinie, gdyż dziatwa każdy dzień do kościoła chodziła. Po nabożeństwie rozpoczęła się nauka i trwała aż do południa. Skoro nauczyciel poobiadał, a dziatki chleb zjadły, uczono dalej aż do godziny trzeciej.

Uczniowie prawocińscy byli przystojni chłopacy. Przyodziani byli w kamizelki, w płocienki, albo surduciki z sukna, którego łokieć kosztował dwadzieścia dwa czeskie „szajnów“, i które było gładkie, jak tarło. Na szyi mieli czerwone chustki, w zimie chodzili w wysokich butach podbitych ogromnemi ćwiekami, głowy zaś pokrywali mniej lub więcej wytartymi baranicami. Niektórzy mieli torby, w których były ułożone po jednej stronie książki, a po drugiej kromka chleba na obiad. Inni w rękę nosili książki, a w chustce chleb. W chlebie był zazwyczaj wykrojony dołek, który troskliwe matki napełniały masłem lub serem.

Dla lepszego zrozumienia powieści nadmieniamy, że rzeczy, które opowiadamy i jeszcze dalej opowiadać

będziemy, działały się od roku 1840 do 1860. Opowiadamy je tedy według zwyczajów i stosunków tego czasu i z zastosowaniem się do życia, jakie u nas wtenczas wieśniacy wiedli, i które wyjąwszy niektóre ważne zmiany stosunków, nie wiele się różniło od życia teraźniejszego.

Do szkoły chodzili uczniowie po jednym i po dwóch, najwięcej po kilka razem i zachowywali się przyzwoicie. Było ich zbyt mało, aby się ośmielić do swawoli, i przed nauką nigdy się im tak nie zachciewało żartów, jak po nauce. Dla tego chodzili cicho, pozdrawiali ludzi, zdejmowali czapki przed krzyżem i nie czynili nic nieprzystojnego. Ale wszędzie między pszenicą jest kąkol, i między dobrymi dziatkami rozpustne, a takowi i w Prawocinie się znajdowali. Taki ptaszek nie dobrego nie czynił, chociaż sam do szkoły szedł. W zimie ślizgał po lodzie, rzucał śniegiem i kładł się w śnieg na wznak; w lecie brodził w potoku, drażnił psa, gniewał gąsiora, przedrzeźniał indyka, skakał na jednej nodze, nie pozdrowił, kogo nie znał, i nie mógł minąć gruszki lub jabłoni, aby nie rzucił w gałęzie kamieniem lub patykiem, i nie obstało się przed nim jabłko, choćby rogi miało.

Kiedy się uczniowie schodzili, było w szkole cicho. Nauczyciel był wprawdzie bardzo spokojny i łaskawy, ale nie żartował. Uczniowie się go bali, a nawet zachwalcy nie odważyli się czynić jakiej większej psoty. O dziewiętej chodzili do kościoła i śpiewali podczas mszy świętej. W lecie chodzili wszyscy boso, tylko ministranci u ołtarza byli obuci. Lecz nawet ci w butach nie przychodzili, lecz aby je oszczędzać, mieli je

schowane za szafą w zakrystyi, i tylko w sobotę brali je z sobą do domu, aby je oczyścić.

Po mszy świętej prowadził nauczyciel dziatki znowu do szkoły, tam się pomodlili i usiadli. Lecz nauki nie rozpoczęto zaraz; najpierw donoszono nauczycielowi różne skargi. Ten bowiem wybrał niektórych przedniejszych uczniów, aby byli dozorcami drugih w drodze do kościoła i w kościele. A ci dozorczy każdy dzień mieli skargi, które zwykle tak brzmiały: „Panie nauczycielu, ten krzyczał po drodze, nie szedł w parze, i mówił, że jak pójdę koło nich, poszczuje na mnie psa.“ Nauczyciel napominał, łajał, karmił i w danym razie karał, i uczeń musiał stać i klęczeć na miejcu hańby, czyli jak w Prawocinie mówili: pod osłem, — trzciny zaś rzadko użył. Czasem jednak te skargi były ważniejsze: „Panie nauczycielu, ten tutaj klęczał w kościele za mną i łechtał mnie po pięcie; ten zaś przyszedł późno, a kiedyśmy byli w kościele, wyjadł mi dołek w chlebie.“ Takie przestępstwa, które równały się zbezczeszczeniu domu Bożego, i kradzieży, karane były surowiej. Wtedy też nauczyciel opisywał tak żywo szkaradność takiego występku, że się czasem wszyscy rozplakali.

Podczas nauki dbał nauczyciel o to, aby uczniowie uważali, na każdego przyszła kolej odpowiadać, ale nikt nie wiedział kiedy. Kiedy czytano, wypytywał się nauczyciel o treść czytanego przedmiotu i dodawał wiele rzeczy pięknych i pożytecznych. Najwięcej zaś lubił rachunki z pamięci, a kto pokazał bystry rozum, tegoby był uściskał. Na zakończenie nauki dopołudniowej pokazywali mu uczniowie swoje zeszyty i chodzili do stołu, gdzie nauczyciel siedział i czerwono-

nym atramentem ich „kluki haki“ poprawiał. Potém pomodlili się „Anioł Pański,“ nauczyciel poszedł na obiad, a dzieci brały się do chleba. Przez południe podczas obiadu bywało cicho, i chyba tylko różne handle się odbywały, jeden zamienił z drugim chleb za „placek“, drugi masło za ser, trzeci jabłka za pieczone ziemniaki. Tylko czasem się udało ni któremu swawolnikowi wykraść się ze szkoły, i wyleść na dzwonicę z synkiem kościelnego, któremu dał kawał chleba, aby mu pozwolił dzwonić. Udało się mu to, i ciągnął za pówróż ze wszystkich sił, ale serce „południka“ uderzało tylko w jedną stronę, jako kiedy szturmują. Nauczyciel dosłyszał, wiedział zaraz, co się stało, i posłał jednego ucznia, aby się dowiedzieć, kto dzwonił. Po południu łajali i karcili go, i kazał stać pod osłem.

O trzeciej godzinie nauka się kończyła. Nauczyciel ustanowił dozorców, napomniał uczniów, aby się przyzwocioie zachowali, pomodlił się z nimi i wyprowadził ich ze szkoły. Dopóty szły dzieci pięknie i cicho jako baranki, póki nauczyciel za nimi patrzył. Skoro zaś już ich widzieć nie mógł, rozwiązały się im języki, szczebiotały, czém dalej, tém więcej. Kiedy zaś były już zbyt daleko, krzyczały i goniły się, brodziły po potoku, aż sobie ubiór pomaczały. Do domu przyszły późno, tam pytano się ich, gdzie tak długo były. Rozmaicie się wymawiały, aż je zdradziła odzież zmaczana, zwłaszcza rękawy i nogawice. Wtedy było złe, bo ojciec szukał miotły; ale matka tak długo pośredniczyła, aż ojciec miotły nie znalazł.

II.

W szkole prawocińskiej, jako wszędy w szkołach farnych, używano wtenczas trzech książek do czytania, a mianowicie był to tak zwany pierwszy dział (połączony z katechizmem), drugi dział i ewangelia. Nauczyciel stanowił, kiedy i w której z tych trzech książek uczniowie się mieli uczyć. Raz w zimie dopołudnia uczyli się uczniowie z pierwszego działu, czytając pierwszy rozdział „o wierze“. Zaraz przy pierwszym artykule wiary opowiadał nauczyciel daleko obszerniej, co w książce tylko krótko wyrażoném było, a zwłaszcza upadek prajców naszych w raju szeroko omawiał. Działki słuchały z uwagą, aż już przed samém południem zaszła niemiła przeszkoda, spowodowana wejściem do klasy dwóch uczniów, którzy się spóźnili.

Tymi uczniami byli Cichego Adam i Niezdarów Franciszek. Adam był chłopcem ośmioletnim, wyglądał biednie, odzież miał czystą, ale nędzną. Nie było się czemu dziwić, bo ojca już nie miał, a wdowa matka była prawie żebraczką. Ale uczniem był Adam bardzo dbałym i pilnym; dzisiaj przyszedł późno i miał na czole bułę. Franciszek zaś był chłopcem silnym i rośłym, a chociaż o rok młodszy od Adama, miał taką siłę, że się ani pięciu Adamów bać nie potrzebował. Odzież miał dobrą, ale zawsze brudną, niczego się nie uczył, stał wlećej pod osłem, niż siedział w ławce, a nauczyciel dla różnych utrapień, jakie z nim miewał, nazywał go biczem Bożym. Ci dwaj uczniowie byli wcale różni i do siebie niepodobni, dla tego też wszyscy uczniowie dziwili się, że oni przyszli razem, i że się Adam, czyli

jak go nazywali Jadam, wbrew swemu zwyczajowi tak spóźnił. Nauczyciel tak dla spóźnienia jak dla przeszkody w nauce gniewał się na obydwóch, ale że nie chciał przerywać nauki, skinął tylko na nich, aby tymczasem klęczeli u drzwi, i opowiadał dalej o grzechu pierworodnym aż do końca.

Aby się przekonać, czy uczniowie uważali, wypytał się ich o to co im opowiadał, i pokazało się, że uważnie słuchali. Odpowiadali bez wahania i dokładnie i byliby wszyscy razem chcieli mówić. Nauczyciel się cieszył i widząc, że sobie dziatki historią o grzechu pierworodnym spamiętały po kawałku, chciał się przekonać, czyby kto potrafił całe zdarzenie opowiedzieć bez przerwy i w związku. „Dziatki“, rzekł, kto mi z was powie wszystko po kolei, w jaki sposób nastąpił upadek Adama?“ Dzieci zgłaszały się na wyścigi. Lecz najwięcej dziwił się nauczyciel, że także Franciszek Niezdara zgłosił się z twarzą tak wesołą, jakoby swego był zupełnie pewnym. Zawsze on był w szkole jakoby niemym, a nie było można słowa z niego wydobyć, aczkolwiek na polu głos jego rozlegał się po całej wsi. A dzisiaj chociaż ani całego opowiadania nie słyszał, zgłosił się z taką gotowością! Nauczyciel sam był ciekawy, jak się Niezdara popisie, i rzekł: „Franciszek Niezdara niech nam opowie, w jaki sposób nastąpił upadek Adama?“ Wszyscy nadstawiali uszu i słuchali, co powie. Lecz ten skończył szybko i z ogromnym pospiechem wybełkotał: „Jam mu podstawił nogę.“ Dzieci wybuchnęły głośnym śmiechem, zaraz wiedziały, o co chodzi, i były pewne, że Franciszek nie mówi o Adamie w raju, lecz o Adamie Cichym, i że hultaj spowodował gdzieś na ślizgawce upadek tego nieboraka,

o czém także świadczył guz, który miał Adam na czole. Nauczyciel udawał, jakoby się gniewał, ale w rzeczywistości ledwie mu się udało powstrzymać się od śmiechu.

Potém nastąpiło surowe przesłuchanie obydwóch uczniów, którzy się spóźnili. Adam przyznał się otwarcie, że musiał w domu czekać, aż matka wróciła z lasu z patykami, aby trochę ścierki ugotować. Pojadłszy, szedł prosto do szkoły i pod kuźnią trafił Niezdarę, który po potoku się ślizgał. Ten go wabił do siebie i obiecał „grajcar i kawał chleba“ w południe, jeżeli przyjdzie do niego na ślizgawkę. Takim pokusom nie mógł się Adam oprzeć; lecz skoro uczynił Niezdarze po jego woli, ten rozpędził się na Adama i uderzył o niego tak że ten upadł na twarz i zranił się na czole. Franciszek nie mógł ani słowa powiedzieć na swe uniewinnienie, a nawet się przyznał, że go wysłano na czas z domu do szkoły, lecz że umyślnie wałęsał się po wsi i ślizgał się po lodzie, że Adama wołał do siebie tylko „tak“ i obalił go w żarcie.

Po śledztwie miał nauczyciel naukę i wyjaśniał wymownemi słowy, jakie to szczęście mieć zdrowe członki i jak powinien każdy szacować sobie zdrowie jako wielkie szczęście dla siebie i bliźniego; kto tak nie czyni, grzeszy przeciwko piątemu przykazaniu. Potém zwrócił mowę na Adama; rzekł, że to jest sierota i oprócz zdrowego ciała innego majątku nie będzie miał, że rękami będzie musiał zarabiać na chleb powszedni, i w ten sposób dowodził dzieciom, jak wielką winę Niezdara na siebie ściągnął, kiedy Adama swawolnie na lodzie obalił.

Dzieci truchlały, wszystkie były przekonane, że Niezdara ciężko zawinił, że zasłużył na ukaranie i że się mu nie stanie krzywda, jeżeli go zapisze nauczyciel do księgi hańby! Następnie Niezdara musiał wyjść za drzwi i usiąść pod kominem na czarném krześle. Ta przechadzka jednak jakoś mu się nie podobała, bo pod kominem był, jak wilk w lesie. Dzieciom mrówie po ciele przechodziło, ale nie żałowały go, a za to, że sobie niby przypisywał upadek Adama, nazywały go „czarcikiem“.

Gdy dzieci opowiadały w domu, co się w szkole działo, skorzystali z tego rodzice, aby dziatki napomnieć. Stawiali im Franciszka za odstraszący przykład i przestrzegali, aby nie były takimi, i nareszcie czerpali naukę z przysłów narodowych: „że różga dzieci chroni od piekła, że drzewko należy naginać, dopóki jest młode, i że jeżeli Jaś rośnie jako ciełe, będzie wołek z niego.“

U Niezdary dowiedziawszy się, jaka syna spotkała przygoda, bardzo się wszyscy gniewali. Stary Niezdara, aby sobie ulżyć, wziął wygadywać najpierw na nauczyciela, potem na wdowę Cichą, a na koniec na Adama. Nauczyciela przezwał katem i mrzygłodem i wyrzucał mu, że mu już od trzeciego chłopca płaci i że żadnego niczego nie nauczył; wdowę Cichą nazwał czarownicą i morą szczerbatą i dodał, że tę starą skorupę wyrzuci na śmiecisko, jak przyjdzie żebrać o ziemniaki i chleb; Adamowi nareszcie groził, że się nad tym niedomarłym i żebraczym chłopcem pomści, chociażby dopiero za dwadzieścia lat.

III.

Wkrótce spotkało Adama nieszczęście daleko gorsze, niż na lodzie, które się było skończyło guzem na czole. Matka jego się mocno rozchorowała. Niedostatek, uciążliwa praca i wiele dolegliwości, których jako wdowa doznawała, nadwężyły jój zdrowie. Usychała czas dłuższy, aż się nareszcie na dobre położyła. Przeczuywała, że się zbliża jój koniec, pojednała się z Bogiem, przyjęła ostatnie Sakramenta i byłaby chętnie umarła, gdyby tylko była widziała syna zabezpieczonego od nędzy.

Kiedy chłopiec u jój łóżka płakał i narzekał, co sobie po jój śmierci pocnie i dokąd pójdzie, kiedy nikogo na świecie nie będzie miał, pocieszała go biedna matka, chociaż jój serce od żalu pękało, i zapewniała go, że mu Pan Bóg, który się troszczy i o trawę polną, zginąć nie pozwoli.

— „Tylko o Bogu nie zapominaj i bądź pocciwym, dodawała z płaczem, a zobaczysz, że nie zginiesz w świecie i znajdziesz przytułek i kawałek chleba pod strzechą dobrych ludzi.“

Nareszcie trzeciego dnia po zachodzie słońca skończyła biedna cicho i spokojnie, jak gdy człowiek usnieniem sprawiedliwego. Pogrzeb, aczkolwiek w domu nie było wcale dostatków, przecież pocciwa niebożczka miała całkiem przyzwoity. Gmina kupiła trumnę, ksiądz proboszcz odprawił pogrzeb za darmo i przyszedł z nauczycielem aż do chaty, gdzie umarła leżała; przy dzwonnów odgłosie i śpiewie pobożnym odbył się pogrzeb należycie, a i mszą świętą za duszę zmarłej odprawił

ksiądz proboszcz. Ludzi zeszła się wielka liczba, a wszyscy zmarłej dobre dawali świadectwo. Tylko stary Niezdara jakoś szemrał i mówił:

— „Gdybym ja taki pogrzeb zamówił, ani dwadzieścia reńskich by nie wystarczyło, a ta gołota ma go za darmo.“

Po pogrzebie przyszedł do mieszkania niebogiów pewien kupiec i mówił, że mu niebożczka została winna pięć reńskich za żywność, a żeby przynajmniej jakie takie mieć wynagrodzenie, chciał zabrać sprzęty, które były w izdebce. Gospodarz Niekluda, u którego niebożczka mieszkała, sprzeciwiał się temu i rzekł, że nieboga została mu dłużna półroczny czynsz, i sam brał się do sprzętów. Powstała między nimi kłótnia, krzyczeli, wyzywali się, o mało się nie pobili, aż narreszcie przecie się jakoś zgodzili i nędznymi rupieciami się podzielili.

Izdebka została jak po powodzi, tylko Adam tam pozostał i płakał w kącie. Ale w tém przyszedł Niekluda, wziął sierotę za rękę, wyprowadził za drzwi i rzekł:

— „Idź sobie i więcej się tu nie pokazuj, nie masz już tu czego szukać.“

Adam temi słowy tak się zmieszał i tak dziwno mu było koło serca, że sam nie wiedział, co począć, i niczego nie rozumiał. Oczy go paliły, pierś mu się ścisnęła, ale płakać nie mógł. Stał na środku drogi, gdzie wozy ciągle przejeżdżały, i nie wiedział, gdzie stoi i co robi; patrzył przed siebie i nic nie widział; jechał za nim wóz i byłby niemal go na ziemię powalił, lecz on go nie słyszał.

Byłby tak stał, nie wiedzieć jak długo, gdyby pewien przejeżdżający parobek nie był go w swój sposób uprzytomniał. Ten świsnął biczem i uderzył Adama w twarz, ale chłopiec ani na to nie zważał. Czémże było to uderzenie w porównaniu z bólem, jaki czuł w sercu? Dopiero kiedy parobek krzyknął: „Nie stój tu jako słup i idź raczej do szkoły!” ruszył się z miejsca, usłuchał i poszedł do szkoły.

Było już blisko południa, kiedy Adam wszedł do szkolnej izby, a nauczyciel nie czynił mu wyrzutów, że tak późno przyszedł, i kiedy Adam chciał się poddać zwykłej karze z powodu spóźnienia się i klęknął na ziemi u drzwi, skinął nauczyciel na niego, aby poszedł w ławkę na swoje miejsce.

Podczas przerwy południowej kiedy dzieci chleb jadły, siedział Adam jako zarzezany; nic nie mówił i nie oglądał się na nikogo. Dzieci uczyły litość nad nim, wiedziały, że mu matka umarła, i myślały o tém, jakoby im to było, gdyby matkę utraciły, i w takich myślach siedziały cicho jak w kościele. Tylko Franciszek Niezdara stanowił niepiękny wyjątek. Śmiał się z biedaka, stanął z białą buchtą przed Adamem, przytykał po kawałku Adamowi do ust i mówił: „Chciałbyś, Adamie kawałek, chciałbyś?” — poczem każdy kawałek do własnych ust włożył. A gdy Adam na to niegodziwe postępowanie nie zważał, odwrócił się swawolnik od niego i zaśpiewał: „Adam zaśpiewał żabom, żaby się zbiegły, Adama zjadły.” Ale taka gburowatość nie uszła mu bezkarnie. Dzieci poskarżyły na niego nauczycielowi, i oprócz surowej nagany musiał siedzieć na czarném krześle. Sam nauczyciel uczył

boleść Adama; po południu ani raz go o nic nie pytał i często spoglądał na niego litościwem okiem.

Po skończonej nauce, kiedy dzieci odchodziły do domu, zdawało się, że Adam o tém ani nie wie, że i jemu czas wracać do chaty. Nie szedł z niemi, lecz siedział na swém miejscu jak przykuty.

Nauczycielstwo mieli córeczkę pięcioletnią, białowłosą, o pięknych niebieskich oczach, której było na imię Ludmiła. Dziewczyna ta lubiła chodzić między dzieci do szkólnej izby, czyli jak w Prawocinie mówili, do klasy. Do południa wytrzymała tam łatwo i jakoś jój się nie przykrzyło, ale po południu, kiedy ją napadała chęć drzémki, została z matką doma. Dopiero po nauce biegła znowu do klasy, gdzie dorosłejsze dziewczyny sprzątały i zamiatały, i chętnie im pomagała.

Podobnie i w ów dzień po pogrzebie wdowy Cichój przyszła Ludmiła do klasy i znalazła tam Adama samotnego. Znała go dobrze, wiedziała, jak się nazywa i że mu matka umarła. Żałowała go bardzo, zbliżyła się do niego, a kiedy Adam na nią nie zważał, pociągnęła go za odzież i uśmiechnęła się do niego. Adam się obejrzał, pogłaskał dziewczynkę po głowie i uśmiechnął się również. Potém rozpoczęła się między niemi rozmowa.

— „Kto ci teraz będzie dawał jeść, pytała Ludmiła, kiedy mamy nie masz?“

— „Ja nie wiem,“ odpowiedział Adam, i już się nie uśmiechał.

— „A gdzie będziesz teraz mieszkał? a gdzie będziesz sypiał?“

Na to pytanie począł Adam rzewnie płakać.

Płacz jest bardzo zaraźliwą rzeczą: Ludmiła się też rozpląkała i pobiegła powiedzieć rodzicom, że Adam nie wie, kto mu będzie dawał jeść, ani gdzie będzie mieszkał i spał. Lecz rodzice córeczkę swą widocznie uspokoili względem Adama, bo za chwilkę przybiegła do klasy cała rozradowana i podała sierocie kołacz, prosząc, aby jadł, i oraz oznajmiła mu, że dzisiaj wolno mu spać we szkole na górze w sianie. Adamowi ulżyło się jakoś na sercu i był jako nowo narodzony, kołacz zjadł, jakby go zdmuchnął, i prosił Ludmiły, aby go zaprowadziła na górę. Dokuczało mu tam trochę zimno, zagrzebał się więc w siano, przeżegnał się i chciał odmówić zwyczajne modlitwy wieczorne, ale nieborak nie zdążył ich dokończyć, bo w połowie „Ojczenasza“ usnął i spał jako zarznięty.

Tymczasem w mieszkaniu nauczyciela prowadzono o Adamie ważną rozmowę. Nauczyciel przedstawiał politowania godne położenie chłopca: mówił, że będzie zgubiony na ciele i na duszy, jeżeli się jaki pocziwy człowiek nim nie zaopiekuje, i zapewniał, że byłoby słuszną rzeczą wobec Boga i ludzi, aby się kto postarał o jego wychowanie. Nauczycielka czuła prawdę każdego męzowskiego słowa, zgadzała się w duchu na jego uwagi i dawała poznać po sobie, że się domyśla jakiegoś osobliwego zamiaru męża, i żeby się takiemu zamiarowi nie sprzeciwiała.

Łatwo być może, że małżonkowie nie byłiby się długo jeszcze porozumieli, gdyby Ludmiła nie była się w tém stała ich pośredniczką. Dziewczątka słysząc ojca mówiącego rozważnie i z takim współczuciem o położeniu Adamowém, złożyło rączki jak do modlitwy i odezwało się w te słowa:

„Zostawmy Adama u siebie, kiedy nikogo nie ma.“

Tém prostém wstawieniem się Ludmiły zostały losy Adama rozstrzygnięte. Dziewczę mówiło według serca rodziców, oboje się téż do niego uśmiechnęli, pocałowali dziecię i rzekli jednogłośnie:

„Zatrzymamy go, zatrzymamy, abys miała braciszka.“

Ludmiła skakała z radości, klaskała w ręce i cieszyła się niezmiernie, że będzie miała braciszka, chciała go zaraz w téj chwili obudzić, aby się z nią cieszył, i całą noc od radości spać nie mogła. Ale i rodzice długo spać nie mogli i rozmawiali o przyszłości chłopca.

Na drugi dzień cała wieś mówiła o tém, że nauczyciel wziął Adama „za swego“. Nikt tego nie ganił, owszem niejeden głośno chwalił; tylko Niezdara szemrał i mówił:

„Ten nauczyciel ciągle narzeka, że jego płaca taka mała, a teraz wziął sobie bez potrzeby takiego darmożjada. Ale znamy go i wiemy, dla czego tak uczynił. Zrobił to z pychy, i nam siedlakom na zahańbienie. Ale on to popamięta.“

A gdy w niedzielę było zebranie gromady, i nauczyciel podał gminie prośbę, aby mu wypłacono za utrzymaną płacę, Niezdara znowu szemrał i rzekł:

„Przecież panu nauczycielowi nie może się tak źle powodzić, kiedy przyjął Adama.“

IV.

Adam miał matkę wprawdzie ubogą, ale bardzo rozsądną; dla tego téż wychowała go jak mało która

umiał, tego uczył znowu Ludmiłę w bardzo łatwy sposób, tak iż ojciec z nią prawie żadnej nie miał pracy.

W taki sposób stał się Adam ulubieńcem w szkole i poza szkołą. Sam ksiądz proboszcz był mu bardzo przychylny i przyczyniał się jak mógł do jego wykształcenia. Udzielał mu rady, pożyczał książek i także w inny sposób pamiętał o Adamie, aby ulżyć nauczycielowi. Nie miał wprawdzie sam ksiądz proboszcz zbytniego majątku: pobierał bowiem rocznie tylko 400 r., stuła nie wiele znaczyła, a innych dochodów prawie wcale nie było. Lecz nie przeszkadzało to poczciwemu księdzu być dobroczynnym, a osobiście pamiętać o Adamie. Gdy Adam jakiejś odzieży potrzebował niezbędnie, wiedział o tém zawsze ksiądz proboszcz i według tego postępował. Raz kupił mu buty, to znowu spodnie, to dał przesyć surdut, a sam tymczasem kontentował się jednym.

Adam umiał ocenić tę dobroczynność księdza proboszcza i nie uszło to jego uwagi, co tenże czynił dla niego z własnem zaparciem siebie samego, był za to nieskończenie wdzięcznym i starał się jak mógł okazać swym dobrodziejom swe najlepsze chęci. W szkole pomagał z dobrym skutkiem nauczycielowi, mianowicie z młodszymi uczniami pracował z dobrém powodzeniem. Oprócz tego pracował pilnie dla siebie: egzamin tak zwany przygotowawczy, na który się przygotowywał tylko ubocznie, zdał wybornie i odtąd mógł udać się na kurs nauczycielski w każdej chwili, w zakrystyi zaś pełnił powierzony mu urząd kościelny. Najwięcej odznaczał się w śpiewie. Kiedy w kościele śpiewał, a nauczyciel grał przy tém na skrzypkach, wszyscy

się w kościele radowali i byli do głębi wzruszeni. Tylko Niezdara szemrał i mówił:

„Ta żebrota już znowu dziś wyskała, jako kozieł w cierniu. Jabym tę hołotę z zakrystyi wypędził i dziwię się proboszczowi, że takowe wyskanie cierpi.“

Niezdara i wszyscy jego domownicy mieli dla Adama nieżyczliwe oko i zdawało się, jakoby ich nienawiść do niego jeszcze ciągle rosła. Za przyczynę téj nienawiści podawali to, że Franciszek, syn z gruntu, dla takiego prawie dziadowskiego chłopca musiał dwa razy siedzieć na czarném krześle i został wpisany w księgę hańby; lecz do tych dawnych powodów nienawiści przybył jeszcze świeży, a mianowicie zazdrość. Adam bowiem wyszedł na człowieka, a synowie Niezdary byli nieponiami. To gryzło wielce Niezdarę i dla tego oczerniał Adama gdzie i jak mógł, a nawet i nauczycielowi nie dał dla tego spokoju. Wiedziano co prawda, że Adama te gniewy nie zabijają, ale oto nad spodziewanie zaczęły mu dokuczać. Niezdara został wójtem, a to stało się dla Adama istném nieszczęściem. W owych czasach nie obierano wójta, tylko dziedziczny pan go postanawiał. W chwili, kiedy się te rzeczy działy, były już owe czasy na schyłku i niedługo się skończyły.

Aż dotąd śpiewają w niektórych okolicach:

Biedni komornicy
Ci będą wojacy;
Chałupy, baraki
Téż rodzą wojaki;
Ale z gruntu chłopcy
Są na wojnie*) gośćmi.

*) „Na wojnie“ znaczy tyle co „we wojsku“.

Przez tę pieśń wyrażono zupełnie według prawdy, jako przy poborze wojskowym postępowano wtenczas, kiedy jeszcze nie było powszechnego obowiązku służby wojskowej, osobliwie zaś przed rokiem 1848. Z chłopców komorniczych i chałupniczych brano najpierw rekruta, a dopiero kiedy tych nie stało do oznaczonej liczby, przysła kolój na synów siedlacych (gospodarskich). Wójt miał w tych sprawach wpływ niemały, i aby nie sprawić zniechęcenia między gospodarzami, zawsze dbał o to, aby siedlacy syn nie został wzięty do wojska. Z téj przyczyny już przed czasem u pánów w zamku zdaleka rzecz poruszał i wskazywał na chłopców komorników i chałupników.

Niezdara otrzymawszy wójtostwo, podobnież sobie postępował. Będąc każdy tydzień w urzędzie z różnemi interesami, umiał przy sposobności tak rzeczą pokierować, że kilka razy była mowa o Adamie. Twierdził o nim, że jest dumny, nadęty, niepoń i broi różne szelmostwa, że na nauczyciela wcale nie jest zdatny, że dmuchać w instrumenta umie dobrze i zdałby się na muzykanta do kapeli wojskowej, że jeszcze wprawdzie nie ma przepisanych do służby wojskowej lat, ale że jest rośły i silny, tak że w każdej chwili może być muzykantem. Panowie uwierzyli i myśleli, że wójt mówi prawdę, a kiedy z wiosną brano do wojska, był ośmnastoletni Adam pomiędzy rekrutami.

Właśnie wtedy myślał nauczyciel o tém, aby Adama posłać do miasta do zakładu nauczycielskiego, ażeby potém mógł być młodszym nauczycielem w Prawocinie. Teraz zaś Adam udał się wprawdzie do miasta powiatowego, ale nie do nauki, tylko jako rekrut. I rzeczywiście wzięto go do kapeli wojskowej. Zaraz

potém musiał się udać z pułkiem do Włoch i to z takim pośpiechem, że ledwie kilka słów zdołał napisać do Prawocina. W szkole i na probostwie był wielki smutek, a i we wsi także wszyscy nawet litowali się nad Adamem. Tylko Niezdara cieszył się i mruczał szyderezco: „Wszak ja to zawsze mówiłem, że z tego chłopca nic nie będzie.“

V.

W szkole tak wyglądało, jak gdyby kto umarł. Nauczyciel chodził cały zmartwiony, pani nauczycielowa nie przestawała się smucić, a Ludmile czy nigdy z łez nie osychały. I nie ma się czemu dziwić. Ludmiła utraciła uprzejmego towarzysza, nauczycielowa posłusznego i wdzięcznego syna, nauczyciel znakomitą podporę. We szkole i w kościele mógł on się na Adama spuścić, wychował go według swego życzenia i cieszył się, że Bóg pobłogosławi jego usiłowania. Do ukończenia dzieła nic już nie brakło, tylko aby Adam skończył kurs nauczycielski i objął w Prawocinie posadę młodszego nauczyciela. Wszystko to było już jakoby na najlepszej drodze, aż ten nieszczęsny wypadek wszystko zniweczył. Wiele radości zniszczono, wiele nadziei pogrzebano.

Nauczyciel tak pochlebne miał zdanie o Adamie, że w nim pokładał wszelką nadzieję i budował na nim całą przyszłość. Wiedział, że jego uczeń będzie wybornym nauczycielem, i cieszył się, że go będzie wyręczał, kiedy on sam już nie będzie mógł pracować. Nawet i ta myśl mu czasem powstawała w głowie, że

XI.

List Niezdarowego wojaka, jak w Prawocinie Franciszka nazywali, sprawił we wsi ogromne wrażenie i poruszył wszystkie umysły. Niektórzy ani wierzyć nie chcieli, żeby z takiego rozpustnika mogło być stać się coś dobrego, inni zaś zazdrościli staremu Niezdarze tej tak korzystnej zmiany. Lecz Niezdara nie troszczył się o to i od chwili, w której odebrał list syna, zupełnie się zmienił.

Dawniej kiedy jeszcze był wójtem, mniemał, że nad niego już nie ma nikogo, nikomu, nawet księdzu proboszczowi przynależnego nie okazywał szacunku i zawsze żył jakby tylko dla siebie. Potem kiedy przestał być wójtem, stracił gospodarstwo i został tak srodo upokorzony, stronił zupełnie od ludzi, ponieważ mu się zdawało, jakoby się każdy z niego śmiał i z upadku jego szydził. Nakoniec ani do kościoła nie chodził, całą wieś znienawidził i w nienawiści do nauczyciela coraz bardziej się utwierdzał. Lecz od chwili, kiedy nadszedł list syna od wojska, zupełnie się zmienił; uczucie ojcowskiej dumy obudziło się w nim i sprawiło, że się Niezdara zupełnie inaczej na świat i na ludzi zapatrywał. Chodził do fary i dla nauczyciela stał się przyjacielem.

Nauczyciel odebrał także jakiś ważny list od kapitana Cichego. Nie pochwalił się z tém wprowadzić przed nikim, ale z przygotowań, jakie się następnie w szkole działy, łatwo się mógł każdy domysleć, że będzie wesele.

Tymczasem minęła zima i nadeszła wiosna. W dzień przed świętym Janem Niepomuckim wieczorem przyje-

Adam będzie mógł z czasem utrzymywać jego rodzinę i być jego następcą. Nie zwierzał się z tém wprawdzie nikomu, ani nawet swój małżonce, jednak i ona marzyła czasem o czémś podobném, i dla tego żał obojga był nieukojonny. Najwięcej ich zaś martwiło to, że byli w Prawocinie tacy, co Adamowi tego nieszczęsnego zdarzenia życzyli. Niezdara urzędował, i jako wójt miał we wsi swoje stronnictwo, a wszyscy ci Niezdarrowicze mówili, że się temu dziadowskiemu chłopcu tak należało, gdyż się wywyższał nad drugich jak jaki pan i nie brakowało wiele, a byłby może i bił dzieci ich w szkole.

Takie i tym podobne surowe mowy ludzi bez serca zawsze sprawiały nauczycielstwu na nowo ból serdeczny, i szczęście wielkie, że mieli po swój stronie księdza proboszcza, który im przy każdej sposobności dodawał serca i różnie ich pocieszał. „Nie bądźcie małomyślni, mówił, i nie zważajcie na ludzkie mowy. Ludzie w niczem nie znają miary i czy chwałą, czy ganią, nie wiedzą, gdzie przestać. Zresztą cokolwiek Adama spotkało, nie jest to według mego przekonania żadném nieszczęściem. Wszystko co Bóg czyni, czyni dobrze. W ojczyźnie nikt nie bywa prorokiem; i Adam by nim nie został i nigdyby nie był znalazł sprawiedliwego uznania między swymi. W obecném swém położeniu ma szerokie pole działania i za pomocą Bożką może zająć miejsce bardzo wysokie. Przeto przestańcie się smucić i zdajcie się we wszystkiem na Boga. Z tego, czém się teraz tak bardzo martwicie, będziecie się, da-li Bóg, kiedyś wielce radować. Jestem pewny, że skoro list od Adama nadejdzie, bardzo mu się ucieszycie.“

chał do Prawocina powóz pocztowy, w którym siedział oficer z trzema złotemi, a obok niego podoficer z trzema białemi gwiazdami, czyli kapitan i felfebel. Obaj przybyli, młodzi i piękni, zsiadli przed szkołą z powozu. Ludzie powybiegali z budynków, otoczyli powóz i wypytывali się o przybyłych woźnicy i sługi: za chwilę cała wieś wiedziała, że przyjechał kapitan Adam Cichy i że będzie w szkole wesele, jako też, że z kapitanem przyjechał Niezdarów Franciszek, który posiada już także dosyć wysoką rangę wojskową.

I było tak rzeczywiście, jak ludzie mówili. W uroczystość świętego Jana, przypadającą na niedzielę, odbyły się razem trzy zapowiedzi Adama z Ludmiłą, a na drugi dzień wesele, na którym nie było wiele hałasu. Felfebel Niezdara był drużbą i prowadził wspañiałą i piękną dziewczę do ołtarza, zaś stary Niezdara i chałupnik Niekluda, u którego niegdyś Adam z matką mieszkał komornem, byli świadkami. Kościół był przepełniony, a ksiądz proboszcz przemówił pięknie tak do nowożeńców, jak i do reszty obecnych, mianowicie zachęcał rodziców do bogabojnego wychowania dzieci.

Na trzeci dzień odjechali nowożeńcy i młody Niezdara z nimi. W Prawocinie ludzie jeszcze długo sobie o nich opowiadali, a jeżeli się kto dziwił z kapitana Cichego i mówił: „o tym sierocie niktby coś podobnego nie był przypuszczał, aby w tak krótkim czasie tak wysoko był postąpił,“ przerywał mu drugi mowę i poviadał: „Adam jak Adam“, to jeszcze mniejsza, ale po młodym Niezdarze doprawdy któżby się tego był spodziewał?“ —

I.

Na Ślązku, na wielkich równinach ciągną się ogromne lasy, które przypominają nam jeszcze dzisiaj nieprzebyte bory i knieje, które tam kiedyś się znajdowały. Jeszcze przed stu laty nie było tam, zwłaszcza w środku tych lasów, ani drogi, ani ścieżki, chyba tam, gdzie je zwierzyna wydeptała. Gąszczy zbitych nie było można przebyć; w wielu miejscach leżały bez ładu drzewa obalone lub połamane przez wiatr i próchniejące na ziemi. Kto w tych kniejach zabłądził, nie łatwo się stąd wydostał. Lecz w nowszych czasach, kiedy przemysł co raz więcej się wzmaga, i tam nastały odmiany i w miarę jak się mnożą kopalnie i huty, rzednieją lasy w okolicy.

Na początku bieżącego stulecia w dzień wiosenny przedzierał się przez gąszcze tych lasów wieśniak i nie zatrzymał się prędkiej, aż się znalazł i stanął na polanie, która powstała skutkiem połamania przez wichur mnóstwa drzew. Był to mężczyzna słusznego wzrostu i muskularny, czyli jak ludzie mówią, krótki, ale zwięzłowy. Sądząc z ubrania nie wiele dbał o paradę, bo cała jego odzież: spodnie, koszula i kamizela, była z téj saméj materyi, z której bywają pytle we młynie;

Ksiądz proboszcz mówił jak prorok. Za trzy miesiące nadszedł list od Adama i sprawił wielką radość nauczycielstwu, dla przeciwników zaś był niemiłym ciosem.

List był datowany z Medyolanu i było w nim wiele wiadomości pocieszających. Najpierw dziękował Adam nauczycielowi i jego małżonce za wychowanie i uznawał z wdzięcznością, jakie korzyści może przynieść nauka. Również dziękował księdzu proboszczowi i dodał, że po raz pierwszy w życiu przekonał się, jaką moc ma wiara i nadzieja pokładana w Bogu, kiedy, jak mylnie sądził, największe nieszczęście go spotkało. W ową straszliwą chwilę byłby musiał rozpaczać bez wiary w Boga; teraz zaś już poznał Opatrzność Bożą i wielbi ją z całej duszy.

Potem opisywał daleki marsz z domu aż do Włoch, wyliczał pokrótce ważniejsze rzeczy, jakie widział w drodze, opisywał piękność miasta Medyolanu, a zwłaszcza ślicznym kościołom nadziwić się nie mógł. Opowiadał dalej, że najpierw przydzielono go do kapeli wojskowej, jednak po przybyciu do Medyolanu już na trzeci dzień przydzielony został do kompanii swego pułku, lecz nie dla tego, jakoby go uważano za nie dość wyćwiczonego w muzyce, lecz za osobliwem zrządzeniem Bożem.

Major tego pułku, do którego Adam należał, był rodem Polak i miał w Polsce dobra. Był to człowiek już podeszły w latach i miał zamiar po opuszczeniu służby powrócić do swą ojczyzny. Pragnął, aby jego działki nauczyły się dobrze języka ojczystego i nie zapomniały go na obczyźnie. Szukał więc w wojsku człowieka, coby był zdatny na nauczyciela polskiego

na nogach miał wielkie buty, na głowie zaś wielką okrągłą wełnianą czapkę. Uzbrojony w motykę i siekierę, wydobywał na polanie pnie i korzenie, ale nie każdy pień mu się podobał; na jodłowe i świerkowe nie zważał i tylko sosnowe starał się wydobyć z ziemi. Pracował motyką i siekierą, podkopywał, podcinał, jako gdzie było trzeba, i nie przestał, aż postawił na swoim. Potem każdy raz odetchnął, ocierał sobie pot rękawem i starannie oglądał owoc swej pracy. Czém więcej smolny był pień, tém więcej się człowiek ów cieszył; od takiego pnia nie mógł wzroku oderwać, kiwał głową, uśmiechał się, aż to, cò sobie w duchu pomyślał, także głośno powiedział i zarazem tajemnicę swego rzemiosła zdradził, mówiąc: „Pniaku, z ciebie pociecze smoła jak z beczki i będzie czysta jak oliwa.“ Człowiek ten był to smolarz z Kuklika, najbliższej wsi, nazwiskiem Przetak, zewnątrz wprowadzie cokolwiek usmolony i umursany, ale wewnątrz prawdziwy wzór pocziwości i chrześcijańskiej sprawiedliwości.

Kiedy już miał tyle pni, ile można w powrozie na ramionach unieść, popatrzał na słońce, jak ono wysoko. Ujrzał je nad głową i wnioskował stąd, że jest południe. Dla tego też chociaż uroczystego głosu dzwonu nie było słyszeć, zdjął czapkę, złożył ręce i mówił „Anioł Pański“ głośno i klęcząco; na końcu dodał jeszcze: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ a ponieważ nie miał kto odpowiadać, dodał sam: „Na wieki. Amen!“ Potem znowu się przeżegnał i jakoby miał siadać do stołu, odmówił modlitwę przed jedzeniem. Lecz nie było tu stołu, ani jedzenia. Atoli Przetak umiał sobie radzić. Wyjął z kryjówki zbudowanej z chojny płócienny worek, z worka wydo-

był wielki kawał czarnego chleba, usiadł na pniu, a stół i obiad były gotowe. Jadł spokojnie i z wdzięcznością, co Bóg dał.

Lecz Przetak i z innych cieszył się rzeczy. Świeża leśna woń napełniała powietrze, bujna zieleń rozweselała oko, a miły śpiew ptastwa rozlegał się w powietrzu, bo w jednym miejscu śpiewał drózd, w drugim sikora, dalej gwizdał kos, kukała kukulka — aż miło.

Nagle ta leśna samotność i cisza została przerwana, bo w głębi lasu odezwał się płacz dziecka tak żałośnie, że każdego musiał wzruszyć do głębi. Przetak zaraz przestał jeść, schował chleb do worka, wziął siekierę, posłuchał jeszcze raz, skąd płacz przychodzi, i puścił się w tę stronę. Zaraz po kilkunastu krokach zaczął hukać, gwizdać, wołać, co nie zostało bez skutku. Głos płaczu coraz bardziej się zbliżał i za chwilę wyłazł z gąszczu mały ośmioletni chłopiec o modrych oczach i białym włosie, w lichéj odzieży z różnego płótna i z tłumoczkiem pod pachą. Był on jakoby przestraszony, trząsł się jak osika i łzy spływały mu po twarzy. Zobaczywszy pocziwą i spokojną twarz smolarza, znacznie się uspokoił i przestał płakać.

„Proszę was, przemówił ze złożonymi rękoma i ze łkaniem, pokażcie mi drogę z lasu. Od rana już błądzę i myślałem, że już więcéj między ludzi się nie dostanę.“

„Bardzo chętnie pokażę ci drogę, mój chłopcze, odpowiedział smolarz. Znam tu wszystko jak we własnéj chyży i o każdym kącie wiem dobrze. Nawet po za lasem ci pokażę, dokądkolwiek będziesz chciał się udać, bo w całej okolicy jestem jak we własnym do-

języka. Adam się zgłosił, chlubnie zdał egzamin u majora, i został przyjęty na nauczyciela domowego, zwłaszcza gdy oświadczył że umie także grać na fortepianie i zna się na śpiewie. Major był Adamowi za to wdzięczny i za jego staraniem Adam przydzielony został do kompanii, aby awans dla niego nie był zamknięty.

Wreszcie pochwalił się Adam w liście, że już jest kapralem, lecz pełni obowiązki felfebła, że od dwóch tygodni chodzi do majora do stołu i ma się we wszystkim bardzo dobrze. W końcu oświadczał, że po Bogu zawdzięcza to wszystko państwu nauczycielom i księdzu proboszczowi, że się za swoich dobroczyńców co dzień modli i że im aż do śmierci będzie wdzięczny. Nareszcie serdecznie pozdrawiał Ludmiłę i przyrzekł, że jęj niebawem przysię jaką piękną pamiątkę.

List ten poruszył całą wieś do głębi serca. Nikt prawie wierzyć nie chciał, żeby się Adamowi w wojsku tak dobrze powodziło. Aleć musieli wierzyć, bo w liście tak stało i sam ksiądz proboszcz tak twierdził, a nadto mówił, że Adam pewnie osiągnie z czasem wielką jaką godność i stanie się kiedyś ozdobą swęj wsi rodzinnej. Prawocininanie po większęj części nie wąpili o prawdziwości przepowiedni księdzd proboszczd, bo sądzili według swego rozumu, że kiedy Adam teraz z majorem jada, to już żadnej przeszkody nie masz, aby sam majorem został. Tylko Niezdara się z tego śmiał i dla przepowiedni nawet samego księdzd proboszczd dotknął i mówił: „Jeszcze Adam owym wielkim panem nie jest; a że tam tak mówił ksiądzd proboszczd, to jeszcze nie wszystko. Prorok zmieni się za rok; ksiądzd nie jest Panem Bogiem.“

mu, gdyż już przeszło dwadzieścia lat wszystkim gospodarzom po wsiach wożę smołę do smarowania wozów. Ale jakżeś mógł sam wybrać się do tego nieprzejrzanego okiem ludzkim lasu?”

„Na Kadowie mówili, że godzinę drogi sobie przysporzę, jeżeli pójde lasem na przejmo. Puściłem się więc w drogę, ale wkrótce tego żałowałem. Za chwilę ścieżka w gąszczu znikła; ja szedłem pomimo tego dalej i czém dalej szedłem, tém było gorzej. Nakoniec dla krzów i chróstia nie mogłem już prawie kroku zrobić. W téj trwodze modliłem się i prosiłem Najświętszą Pannę i Anioła stróża, aby mi przybyli ku pomocy. Od tego wszystkiego taki żal ogarnął moje serce, że mi się rozplakał, a wtedy Bóg mi was posłał.”

„Bądź tylko zawsze silnej wiary, dodał Przetak mocno wzruszony mową pacholęcia, a jeszcze w ważniejszych chwilach doznasz obrony Najwyższego. Ale dokądże właśnie idziesz?”

„Do Kuklika.”

„Do Kuklika?” rzekł uradowany smolarz. To mamy jedną drogę, ja jestem stamtąd.”

„To pewnie znacie siedlaka Cofałę?”

„Naturalnie że znam, i to dobrze. Jest porządnym gospodarzem i człowiek jak kurczę dobry, nawet za nadto dobry. Ale skądżeś, chłopcze, że od Kadowa przychodzisz?”

„Jestem z Cisawój!”

„Z Cisawój, mówisz? rzekł smolarz z podziwieniem. Dla Boga, to kawał świata! Ale że cię rodzice samego na taką drogę puscili?”

Na te słowa znowu się pacholę rozplakało. Pomimo łaskawych słów Przetaka chłopiec nie przestał kwilić

i dopiero po jakimś czasie powiedział, że jest sierotą, że ojca wcale nie znał, a matkę pogrzebał przed tygodniem. Była ona biedną robotnicą, utrzymywała się jako prządka, aczkolwiek dla jej zdrowia było to szkodziwe, bo paździerz i proch z niego płuca jej niszczyły. Wszakże pracowała nad siły, aby nie być ciężarem ludziom i nie chodzić po żebraniu. Lecz nareszcie choroba i wysileniem zniszczona musiała się położyć i po czternastu dniach, pojednana z Bogiem i z ludźmi, oddała Bogu duszę.

To wszystko opowiadał chłopiec Przetakowi według swego sposobu, z płaczem i na końcu dodał: „Jedna rzecz ubogą matkę gniotła i boleść jej przymnażała: co się ze mną stanie, gdy ona oczy zamknie? I tak się tém smuciła, że ja sam musiał cieszyć i jej własne słowa onęj przypominać, że Bóg jest ojcem sierót i nikogo nie opuści, kto mu wiernie służy. „Dobrze, mój miły Macieju, mówiła cokolwiek uspokojona. Ale gdzieś się przecież zwrócić musisz, kiedy nigdzie nie masz mieszkania. Poczekaj, pójdziesz do Kuklika do siedlaka Cofały. Jest on twoim wujem, a moim rodzonym bratem. W méj dolegliwości nigdy do niego nie chodziła, wiem bowiem, w jakim poważaniu jest ubogi u bogatych. Lecz teraz ustają wszystkie względy. Skoro będę pogrzebana obok twego ojca na cmentarzu, wybierz się w drogę, powiedz wujowi odemnie, że go pięknie pozdrowić kazałam i prosić, aby cię przynajmniej tak długo zostawił u siebie, póki trochę nie podrośniesz. Utrzymywać cię i tak nie będzie z łaski, bo sobie na jedzenie pilną pracę zarobisz. Bądź zawsze dobrym, bój się Boga, czynь dobrze i pamiętaj na swoich rodziców.“ Od wzruszenia dalej mówić nie mogła.

VI.

Adam nie czynił obietnic płonnych, dotrzymał słowa i w drugim liście, przesłanym po dalszych trzech miesiącach, przysłał Ludmile piękny krzyżyk ze szczerego złota, a ta go nosiła koło szyi. Potém pisywał regularnie zawsze z końcem trzeciego miesiąca, a list rzadko kiedy był próżny. Pani nauczycielowa otrzymała złote zausznice, nauczyciel srebrną tabakierkę, a ksiądz proboszcz śliczny obraz Matki Bożkiej. Wiadomości przez Adama przesyłane były także bardzo dobre. Był pierwszym felfeblem kompanii, dzieci majorowe uczył z dobrym skutkiem i był bardzo zadowolniony ze swego stanu.

Takie przesyłanie listów trwało dwa lata, aż nagle wybuchła wojna i Adam przestał pisać. Minął rok, a list żaden nie nadchodził; na dwa listy nie odebrali nauczycielstwo nawet odpowiedzi. Chociaż jednak listów nie odbierali, wiedzieli dobrze, co się dzieje, bo nowiny obszernie opisywały, jakie boje się tam toczyły i wiele wojska padło. W szkole trwożyli się i mniemali, że Adam także poległ. Żałowali go, płakali i modlili się za niego. Jedyny ksiądz proboszcz nie tracił nadziei, twierdząc, że na wojnie różnie się dzieje, mówił o szpitalu, o niewoli i nakoniec rzekł: „A gdyby nawet Adam padł, to umarł spełniając swój obowiązek.“

Tymczasem nauczyciel musiał w ówczesnych zamieszaniach ponosić różne dolegliwości. Wolność przyznana sobie ustawą z r. 1848 pojmował czasem lud w swój właściwy sposób i mniemał, że ma we wszy-

Przyobiecałem, że się zawsze tak będę sprawować, i matka się uspokoiła. Udzieliła mi wreszcie swego macierzyńskiego błogosławieństwa, po czém już tylko po cichu się modliła i patrzała w niebiosa, aż drugiego dnia przed zachodem słońca lekko skonała. Gdy już było po pogrzebie i w Cisawej nikt się o mnie nie troszczył, związałem świąteczne spadki; westkę i drugą koszulę do tłumoczka i poszedłem w świat. Droge pokazywali mi chętnie dobrzy ludzie pracujący w polu i nic złego mnie nie spotkało, aż tutaj w lesie.

Przetak polubił chłopca od razu przy pierwszém spotkaniu; lecz teraz, kiedy się dowiedział o smutnej historii jego życia, ani nie wiedział, jakby mu okazać swoją litość i jakaby mu usługę wyświadczyć. Na szczęście przypomniał sobie pierwszą ludzką potrzebę i zapytał Macieja, czy mu się chce jeść. Dowiedziawszy się, że chłopiec od wczorajszego dnia nie w ustach nie miał, wydobył z tłumoczka ostatki swego obiadu i podał głodnemu.

Maciej podziękował, przeżegnał się i spożywał dar Boży w sposób tak przystojny, że Przetak zachwycony pięknymi obyczajami chłopca, nie mógł się wstrzymać od pochwały i rzekł:

„Doprawdy, Macieju, tyś dziarski chłopak. Teraz pójdźmy do Kuklika. Jesteś zmęczony, musimy więc iść powoli, a droga będzie trwała przeszło godzinę.“

Powiedziawszy to, wziął powiązane smolaki na ramię, siekierę w rękę, tłumoczek zaś i motykę podał Maciejowi, który o to usilnie prosił. Szli, a drogi podczas rozmowy ciągle szybko ubywało; nie minęła godzina, gdy zostawili las za sobą, a ujrzeli Kuklik, położony malowniczo w rozkosznej dolinie i na pochy-

łości wzgórza. Na jedném z najpiękniejszych miejsc było widać grunt z zabudowaniami, czyli, jak mówią, „statek“ Cofałów.

„Zdążyliśmy do celu! zawołał Przetak, zwróciwszy się do młodego towarzysza. Patrz, oto ten największy budynek na wzgórzu nad potokiem położony jest statek twego wuja; tam zaś na samym końcu wsi owa mała chałupka jest moje mieszkanie. Trzeba nam się rozstać, ale ponieważ cię polubiłem, muszę ci na pożegnanie coś powiedzieć i rady udzielić. Słuchaj! Cofała jest dobrym człowiekiem, aż nazbyt dobrym; on przed tobą pewnie drzwi nie zamknie; ale wszystko zależy od tego, abyś sobie pozyskał względy ciotki. Staraj się, abyś znalazł u niej łaskę, a od Stasia, twego bratańca, znoś wszystko, co możesz. Nic ci nie pomoże — za sierotą zawsze piątek, a jeżeli człowiek koniecznie przykrości ponosić musi, to lepiej je znosić u swoich, niż u cudzych.“

Tymczasem nasi znajomi zbliżyli się do wsi. Maciej podziękował smolarzowi za jego dobroć i przyrzekł, że będzie pamiętał na jego mądre rady. Podali sobie ręce i rozstali się, rzekłszy: „Z Panem Bogiem!“

II.

Droga z lasu do wsi, chociaż dosyć długa, szybko minęła Maciejowi idącemu z dobrym i rozmownym smolarzem; ale nim przeszedł kilka kroków przez wieś aż do Cofałowego statku, ubiegło czasu bez końca. Jakas dziwna trwoga ścisnęła serce ubogiemu chłopcu, a nogi jakby do ziemi przyrastały. Nie dziwota! Ma-

etkiem zupełną swobodę. Prawocininanie szli z powszechnym prądem i według swoich zapatrywań nie chcieli ani podatków, ani płacy szkolnej oddawać. Niezdara, który już zdawna nauczycielowi nie był przychylny, szczuł na niego i podburzał mieszkańców, aby żądali od nauczyciela, iżby dzieci uczono po niemiecku. Na szczęście byli między nimi rozumniejsi, którzy mówili, że to byłoby zgubą wszelkiego zdrowego wychowania, że dzieci należy uczyć w ojczystym języku. Niektórzy nawet żarty sobie stąd stroili. „Niemiecki, wleź pod niecki.“ Nauczyciel nie wiedział sobie rady i skarżył się proboszczowi, który go pocieszał: „Nie zważajcie na to, panie nauczycielu; mnie się tak samo dzieje, i nadto napastują mnie jeszcze w nowinach.“

Wojna się skończyła i wojska wracały do swój ojczyzny, lecz o Adamie nie było ani słyhu. Uważali go w szkole za zmarłego i polecali swą boleść Panu Bogu.

Aż raz późno wieczór, kiedy nauczycielstwo już się kładli spać, zaturkotał przed szkołą powóz i odezwała się trąbka pocztarska. Wszyscy się przelekli i nim się opamiętali, stanął w pokoju młody oficer. Był przynajmniej o głowę wyższy i o wiele mężniejszy, niż był Adam, miał czarny kędzierzawy włos, na czole bliznę, wyglądał bardzo mężko, a na kołnierzu od munduru błyszczały dwie złote gwiazdy wyszywane, oznaczające godność porucznika.

Nikt nie poznał, że to Adam, aż on sam rzekł:

„Jakże, czy nie poznajecie Adama?“

Wtenczas dopiero poznali go nauczycielstwo i głośno zakrzyknęli i płakali z radości. Tylko Ludmiła, która była wyrosła na dorodną pannę, stała skromnie

cięż do cudzych progów nie przywykły, nagle miał się narzucać ludziom dotąd wcale nieznanym. Nieśmiałość i trwoga ścisnęły mu ręce i wzięły nogi, a kiedy sobie pomyślał, co pocnie, jeżeli u wuja nie znajdzie przytułku, wtedy tracił oddech i stał jak słup martwy.

Nakoniec zbliżył się przecie do statku i nie mógł wyjść ze zdziwienia, tak iż nawet o swojej trwodze zapomniał. Budynki były obszerne i mocno budowane: główne zabudowanie, chlewy, stajnie, stodoła wszystko z wielkich ciosanych drzew i pod strzechą gontową; spichlerz czyli sypanie i filary u wrót od podwórza były z kamienia i pięknie obielone. Maciej mniemał, że stoi przed pańskim dworem; i żeby to wszystko miało być majątkiem brata niebogięj matki, która w biednej izdebce mieszkała komornem i przadła kupną kądziel, o tém bardzo wątpił.

Z takim wątpieniem wszedł na podwórze, gdzie zdziwienie jego się powiększyło. Pod kolnią stały trzy wozy i cały rząd różniczych narzędzi; przez otwarte drzwi było w chlewie widać cały szereg rogatych głów, w stajni rżały dwa konie razem, a na gnoisku grzebało kur jak mrówia. Tyle dostatku żaden gospodarz w całej Cisawej nie posiadał. Maciej ani oczom nie wierzył, i żeby posiadaczem tych bogactw miał być wuj i brat niebożczki matki, uważał za rzecz niemożliwą.

Już chciał się wrócić i mniemał, że mu smolarz przez pomyłkę inną wskazał zagrodę, lecz postąpił jeszcze dalej, aż stanął na wysokości nasypie przed domem, a na koniec w sieni. I tu było pięknie i wszędzie było widać zamożność, chędogość i porządek. Na ścianie na klinkach wisiały chomąta skórzane z mo-

siężnemi różkami i lśniącemi blaszkami, opodał w kącie pod schodami prowadzącemi na górę stały szkopce i konwie z pięknymi obręczami, na przeciwniej stronie była wielka śpiżarnia pięknie obarwiona; nawet drzwi do izby były malowane i zaopatrzone w zamek ze żelazną klamką, gdy tymczasem w całej Cisawej nie było innej klamki, jak rzemień lub powrózek.

Długo nie ważył się Maciej wejść do izby, stał w sieni i czekał, aż kto wyjdzie i uwagę na niego zwróci. Ponieważ zaś nikt nie wychodził, dodał sobie otuchy, przeżegnał się, chwycił za klamkę, otworzył i stanął w izbie. Nie zastał tam żywej duszy, ale sprzętów, według mniemania Macieja przesłicznych, było w izbie mnóstwo. Ławy malowane na czerwono, białe stół jaworowy, pościel wysoko usłana pierzynami o pisanych powłokach, obrazy świętych na zwierciadlaném szkłe jaskrawemi barwami malowane, zegar z długim wahadłem i pułka z cynowemi talerzami: były to przedmioty, których Maciej jak żyw jeszcze nie widział. Znowu chłopczyzna pomyślał, że nie jest u wuja, lecz że zbłądził między jakie pany, a ponieważ w pośród takiego przepychu ludzi wcale nie było, przejęła go trwoga, że jest w jakim zaczarowanym zamku, o którym słyszał bajki w pierwszych swych latach dziecinnych.

Już się znowu ogłądał za klamką, kiedy przestronnemi pobocznemi drzwiami z kuchni weszła do izby kobieta, koło czterdzięci lat licząca i jako na wieśniaczkę bardzo przystojnie i czysto ubrana. Maciej domyslił się, że to będzie ciotka i gospodyni. Aby sobie ją według rady Przetaka pozyskać, chciał szybko do niej przemówić, lecz ciotka go wyprzedziła:

na uboczu zakłopotana. To się chwiała, to bladła, to się rumieniła, aż nareszcie podała rękę Adamowi.

Kiedy pierwszy wybuch radości się uciszył, pytał nauczyciel nie bez pewnego wyrzutu, dla czego Adam tak dawno nie pisał i zostawił wszystkich w takiej trwodze. Adam uniewinniał się i mówił: „Póki trwały boje i w każdej chwili groziło niebezpieczeństwo życia, nie chciałem wam pisać, bo was nie było czém pocieszyć. Po zawartym pokoju nie pisałem dla tego, ponieważ wiedziałem o powrocie naszego pułku do ojczyzny i chciałem niespodzianie stanąć między wami.“ Nauczyciel był zadowolniony takim tłumaczeniem i w tej chwili, chociaż już było dosyć późno, pospieszyli wszyscy do księdza proboszcza. Tam się powtórzyła ta sama radość, a przyjacielska rozmowa, ciągle pytania, oznaki podziwienia i radości trwały aż do późnej nocy.

Wedle udzielonego Adamowi urlopu nie wolno mu było pozostać w Prawocinie dłużej nad trzy dni; ale przez ten czas zjednał sobie u swych ziomeków wiele czci i przychylności. Z każdym mówił, na każdego zważał, każdego uszanował, każdemu rękę podał. Po mszy świętej klęczał na grobie matki i modlił się długo, w niedzielę śpiewał na wielkim nabożeństwie swoją ulubioną pieśń, a na poniedziałek zamówił uroczystą mszą rekwiálną za matkę, po której obdarzył hojnie miejscowych ubogich. Wszystkich znajomych odwiedził i do Niekludy się udał, gdzie kiedyś z matką komorném mieszkał! Niekluda się obawiał, że się wojskowy pomści za to, że go jako sierotę z chaty wypędził; ale daremnie się lękał. Nic mu się nie stało, chyba to, że Adam dzieci jego hojnie obdarzył.

„To już przecież przeciwko Bogu, zawołała w gniewie. Dzisiaj już trzeci taki chłopiec przychodzi żebrać! Jeżeli przyjdzie jaki kaleka albo wiekiem podeszły ubogi, nie nie mówię, ale dzieciom dawać jałmużnę i przyzwyczajając je do włóczęgostwa i lenistwa, to już nie uchodzi! Mówi przysłowie: „Młody żebrak, stary złodziej,“ a to jest święta prawda. Dla tego nie ci nie dam, — idź, skądś przyszedł.“

Na takie zarzuty chłopiec osłupiał i stał jak grochem rażony; ale chociaż mu się oczywista działa krzywda, opamiętał się i zaczął się bronić:

„Ja jestem wychowany po chrześcijańsku i nie przyszedłem do was po zebraniu.“

„Cóż więc tutaj chcesz?“

„Przyszedłem z poselstwem!“

„A do kogo?“

„Do siedlaka Cofały!“

Przy ostatnich słowach wstąpił do pokoju mężczyzna może pięćdziesięcioletni, w skórzanych spodniach, sukiennéj kamizeli i wysokich butach. Z twarzy widać było jego dobroć, i aby naprawić to w czém namiętna gospodyni w swéj popędliwości uchybiła, zapytał się Macieja bardzo spokojnie:

„Kto cię, chłopczyno, wyprawił z poselstwem do mnie?“

„Wasza siostra z Cisawéj, moja niebożczka matka,“ odpowiedział Maciej i rozplakał się.

„Mój Zbawicielu, to siostra moja, biedna Katarzyna umarła?“ zawołał Cofała ze szczerem uczuciem, a oczy zalały mu się łzami.

„Umarła, kochany wujaszku, potwierdził Maciej i także zapłakał głośno. Na śmiertelnéj pościeli wspo-

mniała sobie na was i rozkazała mi: „Gdy mnie nie będzie, idź do Kuklika do wuja Cofały. Zanieś mu pozdrowienie odemnie i prośbę, aby cię przyjął przynajmniej póty, póki cokolwiek nie podrośniesz; na jedzenie sobie u niego zarobisz.“

Wuj chciał wziąć Macieja w objęcia i uściśkać, ale ciotka zabroniła mu tego.

„To mi się podoba! to słicznie! krzyczała szalenie. O wuju niebożczka wiedziała, ale o ciotce to nie wiedziała. Dla tego też się przeliczyła! Ja jestem tutaj pani i dziedziczka statku! Tyś mało wniósł do gospodarstwa; ani do podartej płachty by tego nie było! A teraz ma być wuj wszystkiem, a ciotka za nic. Dobrze! ale chłopcu ani na noc tu zostać nie pozwolę.“

Cofała na te wszystkie uniesienia żony zachował największy spokój, nawet się uśmiechnął i tak się odezwał:

„Kobieto! kiedyż zaniechasz swój nieszczęsnej i zgubnej popędliwości? Nie chciej uchodzić za gorszą, jakeś jest rzeczywiście. Ktoby cię teraz słyszał, mniemałby, żeś jest nie wiem jak złośliwa i bez wszelkiego uczucia, a przecież to nie prawda. U ciebie serce nie czuje tego, co usta w chwili uniesienia mówią. A gdybym ubogiego chłopca z domu wypędził, sama pobiegiesz za nim, aby się wrócił.“

Te słowa znacznie uspokoiły Cofałową. Sam Maciej, chociaż jeszcze dziecko, spostrzegł to, ośmielił się i zbliżył się do ciotki.

„Roztomila, złota cioteczko, mówił Maciej ze złożonemi rękoma, proszę was, nie gniewajcie się na mnie i nie wypędzajcie mnie od siebie. Będę wam pomagał w czem będę mógł: umiem skubać pierze, kądziel

Kiedy nasz oficer odjechał z Prawocina, rozchodził się po wsi ogólny głos chwały dla niego, jedyny Niezdara nie przyłączył się do niego. U niego Adam nie był, ponieważ mu to ksiądz proboszcz i nauczycielstwo odradzali, stało się więc, że wśród jednogłośnej pochwały odezwał się także głos przeciwnika.

Niezdara poczał rozumem sypać i chlubił się, że się zna na wojskowych godnościach i wie, co która znaczy. Dwie gwiazdy, chociażby złote na sukienném kołnierzu nie wiele znaczą, i kto je posiada, nie jest jeszcze zbyt wielkim panem, aby go musiano respektować. Tak i podobnie mędrkował, ale tą razą nikt mu nie uwierzył. Prawocinianie polubili Adama i dumni byli z niego. I kiedy sobie wspomnieli jego biedę i pochodzenie, wołali zdumieni: „Dziecko z biednej chaty, a dziś taki pan! Mój Boże! ktoby to był pomyślał!”

VII.

Przed Niezdara był w Prawocinie wójtem niebożczyk Pytel, który przez swoje proste i dobroniuszne obchodzenie się z ludźmi i przez swoje obyczaje uwiecznił się w pamięci owiej gminy. Ludzie czynili go jeszcze prostszym niż był, tak iż nieborak przeszedł w przysłowie. Jeżeli kto w Prawocinie lub okolicy popełni coś takiego, co nie świadczy o wielkości rozumu, o takim mówią tam po dziś dzień: „Tak jak niebożczyk Pytel!” Prawda, że Pytel dużo nauk nie posiadał i dużo świata nie był objechał. Do szkoły chodził, jak sam opowiadał, tylko przez jedną zimę i nad dwie mile drogi nigdy się od Prawocina nie był oddalił. Stąd też jego

prząść, zboże obierać, kury karmić, gęsi paść, a z posyłką chodzić, że mi nikt nie wyrówna. To wszystko robiłem już w Cisawej, a reszty się wyuczę. Wy zaś ani nie poznacie, czy ludzi zasiednie do stołu o jednego więcej; przecież macie gospodarstwo jak pański dwór.“

Temi słowy pozyskał Maciej ciotkę zupełnie. Mianowicie porównanie gospodarstwa z pańskim dworem podobowało się jej bardzo. Cofałowa zmieniła się zupełnie, usta jej uśmiechały się z zadowolenienia, a zmarszczone czoło wypogodziło się całkowicie. Aby cokolwiek naprawić pierwszą swą porywczosć, rzekła teraz uniewinniając się:

„Wszak cię nikt nie wypędza; ja nie wiedziałam, żeś jest chłopcem tak mądrym i rozumnym.“

W tém otwarły się drzwi od izby i wbiegło do pokoju pięcioletnie chłopię w koszuli, czerwone, tłuste i ogromny widać psotnik. Staś, bo takie było imię tego chłopca, krzyczał, skakał, chodził na jednej nodze i narobił hałasu za dziesięciu. Ledwie zobaczył obcego chłopca, rozpędził się, skoczył na niego i tak zręcznie go pchnął, że się Maciej powalił na ziemię jak długi. Bolało to wprawdzie biednego przybysza, lecz wspominał sobie radę Przetaka, aby od Stasia znosił wszystko, o ile tylko zdoła. Biedny sierota pokonał płacz, zmuszał się do uśmiechu i psotnika jeszcze pochwalił temi słowy: „Ten jest silny: jak wyrośnie, dziesięć chłopców się nie złęknie!“

„Tak ja też zawsze mówię, potwierdziła ciotka śmiejąc się na całe gardło. Dziarski chłopiec ten nasz synek. Jak się tylko lepiej z nim zaznajomisz, to się dopiero mu naśmiejesz.“

Maciej pomyślał w duszy: „Mnie się zdaje, że się nie mało na niego napłaczę“, i nie mylił się.

W tém przybiegł do niego swawolnik i zapytał: „Umiesz być koniem?“

„Umiem,“ odpowiedział Maciej z uśmiechem, chociaż mu wcale śmiać się nie chciało.

„To bądź nim, — będziemy jeździć!“

Maciej padł na kolana, oparł się na rękach i czołgał się po ziemi. Staś wskoczył na niego, okroczył go, krzychał ciągle „ihij“ „heta“ i napędzał go nogami i rękami dosyć dotkliwie. Ciotka się śmiała, a Maciej aby się jój przypodobać, włóczył się po ziemi, póki mógł. Gdy mu już tchu zabrakło, padł jak długi na podłódze. Staś spadł, ale zaraz stał znowu na nogach.

„Już po koniu! Zawlokę go na ścierwisko“ krzychał i ciągnął Macieja za nogi.

Ciotka się śmiała do rozpuku, a ponieważ się z pomysłów synka swego bardzo cieszyła, pozwolił się Maciej bez oporu wlec za nogi. Za to zaś pozyskał sobie ciotkę zupełnie.

„Biedny chłopcze, cieszyła go i głaskała po twarzy, jak cię ten nasz Staś namęczył. Ale poczekaj, damy koniowi obroku, aby się posilił.“

I zaczęła przynosić, co tylko miała. Przyniosła chleba, mleka, masła, sera, miodu i tak zmuszała Macieja do jedzenia, iż musiał jeść, aby ciotka nie rzekła, że gardzi jój darem. Maciej chociaż dobrze sobie podjadł i wybornie mu to wszystko smakowało, jednak nie przebrał miary i podjadłszy, pięknie podziękował.

Wuj, który się przedtém z zachmurzoną twarzą przypatrywał swawoli Stasia, wypogodził czoło. Nie

poglądy i wiadomości nie były bardzo daleko sięgające: czytać umiał niewiele, pisać wcale nic i liczył na palcach. Był skromny, o paradę nie dbał, w potrawach nie przebierał, dla nieładu w domu z kobietami się nie swarzył, i ludzie mówili, że jest u wójta w pokoju jak po zburzeniu Jerozolimy. Pomimo tego był Pytel człowiekiem poczciwym i dobrym i panowie we dworze go poważali i nawet za wzór drugim stawali, bo znikąd podatku nie oddawano tak regularnie jak z Prawocina.

I w rzeczy samej należało się dziwić, że u Pytla nigdy nie powstał nieporządek ani zamieszanie w sprawach pieniężnych, chociaż przecie nie znał się ani na piśmie, ani na rachunkach. Aby zapobiedz możliwym nieporządkom i zamieszaniom, uciekał się Pytel do osobliwych fortelów. Iloraki były podatki, tyle różnych naczyń miał Pytel w swój izdebce i każdy podatek osobno chował. Dawne podatki miały odmienne nazwiska od obecnych i mianujemy je według starych nazwisk. Kontrybucyą wkładał Pytel do dzbana, podatek domowy i pogłówny do stariej szklanej kwarty bez ucha, podatki dla zwierzchności składał na słomiankę, a opłatę szkolną do starego kłobuka. W taki sposób nigdy mu się nie pomieszało: w dzbanie, w kwarcie, na słomiance panował zawsze najlepszy ład i porządek; tylko w kłobuku nie zgadzała się suma z zapiskami nauczyciela, bo prawie zawsze coś brakowało.

Chociaż Pytel sprawował swój urząd sprawiedliwie i bezinteresownie i panowie w zamku byli z niego kontenci, to Prawocinianie przecie na niego szemrali. Powiadali, że jest ze starego testamentu i że się do

mógł się Maciejowi napatrzeć, uważał sobie pilnie na jego obyczajność i cieszył się z niego.

III.

O małżonkach Cofałach było we wsi bardzo różne mniemanie. Cofała uchodził za bardzo dobrego człowieka, jego małżonka zaś za kobietę swarliwą i złośliwą. Cofała był rzeczywiście dobrym człowiekiem już od lat dziecinnych i pozostał takim na zawsze, zwłaszcza że i okoliczności, w których wyrósł, do tego się przyczyniały. Małżonka zaś wskutek złego wychowania miała na sobie różne wady i przywary, które się później przyczyniły do jej niepochebnej sławy.

Cofała był synem chałupnika z Cisawej, na imię mu było Paweł, i w swoim młodym wieku niewiele zażył dobrego. Sypiał twardo, jadł cienko, ubierał się lichy, a pracować musiał ciężko, skoro tylko umiał stać na nogach. Rodzice nie mogli mu się o lepsze życie postarać, bo sami nie wiele posiadali, ale co mieli, tego mu nie szczędzili: wychowali go w bojaźni Bożej i w zasadach poczciwości, tak iż przykazania Pańskie były głęboko wyryte w jego duszy.

W dziesiątym roku musiał już Paweł pójść do cudzych ludzi, a ponieważ w Cisawej właśnie wtenczas dla niego służby nie było, zaopiekowała się nim stara uboga kobieta, która po całej okolicy chodziła po żebracie, i przyrzekła, że mu służbę wyszuka. Wzięła więc Pawła z sobą w świat i u siedlaka Dańka w Kulkli szczęśliwie go umieściła.

Daniek miał największe gospodarstwo we wsi, a w prowadzeniu go był bardzo ostrożnym. Przyjął też małego Pawła tylko tymczasowo na próbę, aż się pokaże, co z niego będzie. Ale Paweł był dobry, pobożny, wierny, pracowity i pozostał u gospodarza na zawsze. Tam ukończył wszystkie kursa czyli nauki służbowe i awansował jak żołnierz od szarży do szarży na coraz wyższe urzędy: najpierw pasł gęsi, potem świnie, później krowy, następnie był poganiaczem przy pługu, dalej parobkiem, a nareszcie pomocnikiem i zastępcą gospodarza. Powodziło mu się dobrze, był oszczędny, przydostał się porządnie, nawet rodzicom na stare lata ze swego myta udzielał wsparcia, a gdy pomarli, za swoje pieniądze każdemu z nich przystojny sprawił pogrzeb. Nadto jeszcze ze swojej dwudziestoletniej służby tyle sobie zaoszczędził, że sumka złożona u gospodarza równała się wyprawie niejednego siedlaczego syna.

Cofałowa pochodziła z tego gospodarstwa dużego, imię jej było Anna i była jedyną córką i spadkobierczynią Dańka. Kiedy Paweł do jej ojca przybył na służbę, miała rok, i były pastuch gęsi dosyć się jej nakolebał i napiastował. Dziewczynka była dobra, ale wątłego zdrowia i ciała, a stąd drażliwa i już od młodu skłonna do popędliwości.

Tę wrodzoną wadę można było wprowadzić wykończeniem przez rozumne wychowanie, lecz właśnie tego niedostawało. Ojciec małej Andzi nie dbał o to i troszczył się więcej o gospodarstwo; wychowanie córki zostawiono matce, a prosta matka żadną miarą nie mogła odpowiedzieć tak trudnemu i ważnemu zadaniu. „Hanka“ była jej milaczką, a każde jej życzenie spełniała

teraźniejszego wieku nie stosuje, że pomiędzy wójtami jest pomiotłem i na gminę sprowadza hańbę. Między tymi oskarżycielami był Niezdara pierwszym. On najwięcej broił i najwięcej się do tego przyczynił, że nieborak Pytlik stał się pośmiewiskiem świata. Niezdara oczerniając starego wójta, wiedział dobrze, dla czego tak czyni. Był on pełen dumy i gwałtem chciał być pierwszą osobą we wsi i dla tego Pytla poniżał, aby po nim objąć jego urząd. Lecz daremne były jego zabiegi; panowie w zamku w niczem nie pozwolili ukrzywdzić starego wójta, i dopiero wtedy, kiedy on sam oddał synowi grunt i zrzekł się swęj godności, wójtostwo w Prawocinie zostało wolne.

Kandydatów na wójtostwo było kilku w Prawocinie, ale nikt z nich nie chciał publicznie wystąpić. Każdy mniemał, że go panowie w zamku znają i jeżeli go zechcą mieć wójtem, to go znajdą. Jedyne Niezdara nie znał takich względów, on chciał być wójtem w każdym razie i ubiegał się o ten urząd publicznie. Biegał do zamku, pozyskiwał dla siebie wszystkich, od sługi aż do pana, każdego prosił, wszędzie smarował, aż rzeczywiście został wójtem mianowany.

Niezdara chciał być wójtem w całym znaczeniu tego wyrazu. A ponieważ wiedział, że jego poprzednik szkodził sobie najwięcej przez to, że jego powierzchowność była lichą i nieokazałą, poddał się próbie i patrzył surowém okiem, coby mu jeszcze brakowało, aby jako wójt mógł wystąpić bez nagany. I znalazł, że mu do przyzwoitego wystąpienia brakuje zegarka.

O zegarek nie ma biedy, w mieście ich mają tyle, że je aż sprzedają. Niezdara poszedł więc do miasta

matka natychmiast. Co tylko zamyśliła, stało się; czego jęj się tylko zachciało, otrzymywała zaraz; chociaż czasem co zawiniła, nigdy jęj nie karano. W taki sposób wytworzyła się w nięj uporczywość, a wrodzona drażliwość bujnie wyrosła w namiętną popędlivość.

Do tych wcale nie pięknych wad przyłączyła się jeszcze próżność. Hanka wcześniej wiedziała, że jest córką zamożnych rodziców i odziedziczy wielki majątek, i stąd ją także opanowały próżność i pycha. Matka kupowała jęj różne stroje potajemnie, aby ojciec o tém nie wiedział; stara służąca Teresa pomagała jęj chętnie do tego, i tak miała Hanka zawsze coś nowego. Kiedy szła do kościoła lub na pogrzeb za družkę, nawieszały na nię matka z Teresą świecideł, wstążek, koralów i wystroiły jak lalkę, obchodziły ją ze wszystkich stron i oglądały. Matka i Teresa równały na nięj stroje, poprawiały, przemieniały czasem i pół godziny, i ucieszone swém dziełem gadały: „Z tém ci ładnie! Żadna ci nie wyrówna! Nie będzie żadnej nad ciebie! Wyglądasz, jak anioł!“ Dziewczatko uwierzyło, i z czasem ta wiara stała się niezłomném przekonaniem.

Ojciec bynajmniej nie wiedział, jakiego usposobienia jest jego córka, i przekonał się o tém dopiero po nagłej śmierci żony, gdy później z Anną gospodarzył. Anna na domowém gospodarstwie znała się wprawdzie dobrze, ale była upartą, o każdą drobnostkę się rozżłościła i nawet ojcu hardo odpowiadała. Ojciec spostrzegłszy to, przeląkł się własnego dziecka. Teraz dopiero czynił sobie Daniek wyrzuty, że nie dbał o wychowanie córki; nie mógł się z tego względu uspokoić, bo wiedział, że dziewczyna dziewiętnastoletnia przero-

bić się już tak łatwo nie da; lękał się przeto o przyszłość Anny, widział już w duchu, jak nieszczęśliwi będą córka i zięć przyszły.

Dla tego też gdy się jaki młodzieniec o rękę Anny ubiegał, nikomu nie czynił nadziei i był kontent, że się córce prawie żaden z nich nie podobał. Wszakże wiecznie tak pozostać nie mogło. Ojciec zaczął jakoś z dnia na dzień niedomagać, widział, że upada na siłach, i przeczuwał, że za niedługo odwołany zostanie z tej ziemi, aby zdać liczbę z włódarstwa swego gospodarzowi niebieskiemu. Był on wprawdzie do tego dobrze przygotowany i tylko przyszłość córki mocno go niepokoiła. Aby uspokoić wzburzone myśli, uciekł się do Boga i prosił go w modlitwie o radę. I oto powstał natchniony szczęśliwą myślą, którą także bez zwłoki urzeczywistnił.

Pewnego dnia po śniadaniu zawołał Pawła z Anną do siebie do przysionku, oznajmił obom, że słabość jego coraz się wzmaga, dodał, że im odda posiadłość i chce, aby się stali małżonkami. Bez ogródki także Daniek wyznał, że wola jego dla tego jest taką, ponieważ Anna dla swego usposobienia tylko z cierpliwym i z pobłażliwym mężem może wejść w związek małżeński, a że nie masz lepszego, umiarkowanego i pobłażliwszego człowieka nad Pawła. Anna zarumieniła się od wstydu i uciekła; dla Pawła zaś przyszła ta rzecz tak niespodzianie, że nie mógł ani mówić, ani słuchać, ani patrzeć i jak obłąkany prawie chwiejnym krokiem wyszedł z przysionku.

Wkrótce jednak oba się z wnioskiem ojca pogodzili. Anna poradziła się stariej Teresy i zaczęły na dobre sprawę roztrząsać. Pawła poważały obie dla jego

umyślnie, udał się do zegarnika i za dwanaście reńskich kupił zegarek tak wielki jak duża cebula, bo przedewszystkiem na wielkość patrzył, i łańcuszek taki, żeby na nim byczka uwiązać można. Włożył ten znakomity nabytek do kieszeni w spodniach, jak wtenczas było zwyczajem, i poszedł.

Zegarnik był mu wprawdzie powiedział, że krótka wskazówka pokazuje godziny, a dłuższa minuty i ćwierci, lecz Niezdara udawał, jakoby wszystko już wiedział, chociaż był rzeczy zupełnie nieświadomy, osobliwie zaś było dla niego tajemnicą, kiedy jest ćwierć, kiedy pół i kiedy trzy ćwierci godziny, bo stary drewniany zegar, który u niego wisiał na ścianie, miał tylko jedną wskazówkę; mierziło go to, że sobie nie dał rzeczy wyjaśnić; mógł się wprawdzie wrócić, bo miał tylko kilka kroków do zegarnika, lecz za nic w świecie nie byłby tego uczynił, gdyżby mu to było ubliżało. Na szczęście wybiegł od zegarnika uczeń, do tego więc zwrócił się Niezdara i dał mu czeskiego, aby mu powiedział, kiedy jest na zegarze ćwierć, kiedy pół i kiedy trzy ćwierci godziny. Chłopiec się uśmiechnął i rzekł mu, że minutowa wskazówka za godzinę przebiega całe cyfrowe koło: kiedy pokazuje trzy, wtedy jest ćwierć, kiedy stanie na szóstej cyfrze, jest pół, a kiedy zdąży na dziewięć, to są trzy ćwierci. Potém pobiegł jak strzała ulicą, kupił sobie gruszek i z głośnym śmiechem wskazywał za Niezdarą: „Oto, ten kubala chce mieć zegarek, a nie wie, jak się wskazówki obracają.“

Oprócz zegarka potrzebował Niezdara narzędzi do pisania. Dla tego od zegarnika udał się prosto do kupca i kupił papieru dwadzieścia arkuszy, flaszkę czerni-

wielkich zalet i musiały przyznać, że lepszego, rzadniejszego i grzeczniejszego człowieka w całej wsi nie znajdzie. Wprawdzie próżności Anny nie pochlebiało to, że Paweł był tylko sługą jój ojca, ale gdy Teresa w końcu narady dodała: „Innego nie bierz, z Pawłem będziesz panią w domu,“ już jój Paweł nie był tak niemilym i oznajmiła ojcu, że go pojmie za męża. Ojciec z radości pocałował córkę w czoło, dziękował Bogu za jój uległość i cieszył się, że przez wynagrodzenie wiernego sługi zmaże przed Bogiem grzech, który na siebie ściągnął zaniedbaniem wychowania córki. Paweł także się zgodził na małżeństwo z Anną: w niedzielę były wszystkie trzy zapowiedzi, czyli jak tam mówili, „ogłoszki“ w kościele, ku wielkiemu zdziwieniu całej wsi, a w poniedziałek było wesele.

Wkrótce rozchorował się stary ojciec na dobre, zażądał, aby przybył do niego sługa Boży i przygotował go na drogę wieczności. Spowiedź jego trwała długo, a pobożność, z jaką przyjął Ciało Pańskie, wzruszyła wszystkich do głębi. W obecności kapłana pobłogosławił córkę i zięcia i usilnie tegoż prosił, aby dla pamięci teścia i dla nagrody, jaką od Boga za to otrzyma, był dla Anny pobłażliwy. Paweł przyrzekł, i Boga i obecnego kapłana wziął na świadków, że dotrzyma słowa.

Dziewiątego dnia po tych wypadkach odbył się pogrzeb gospodarza Dańka. Ponieważ tenże był mężem pocięwym, zebrało się na pogrzeb narodu bardzo wiele z okolicznych wsi; wiele łez się lało na jego grobie i wiele modlitw wznosiło się za jego duszę do nieba.

Ostatnia prośba niebożczyka uczyniona do Pawła, aby dla Anny był pobłażliwym, była zupełnie na miejscu, bo żeby z Anną obcować, trzeba było niezwykłej cierpliwości. Gniewała się ona o byle co, wszczyniała kłótnie bez przyczyny i była gorsza niż rozpustne dziecko. O cokolwiek się rozgniewała, zawsze złość wylała na Pawła: „Ja jestem panią w domu, ja dzie-dziczką gospodarstwa;“ takie słowa musiał biedny małżonek słuchać jeżeli nie każdy dzień, to przynajmniej co drugi dzień. Przeciw takiemu braniu się żony bronił się Paweł jedynie swoją cierpliwością bez granic i w ten sposób jeszcze najśnadziej burza mijała.

Przez służbę a i winny sposób rozgłosilo się między ludźmi wszystko, co się działo w domu Cofałów, i było o tém mowy, aż uszy bolały. Jedni gadali na Annę, że jest zła; drudzy na Pawła, że jest głupi i niepotrzebnie wszystko to cierpi. Najgorzej gadali ci, co Pawłowi zazdrościli tak pięknego gospodarstwa. Mawiali oni, że Paweł w domu jest niczém, zagrodę jego nazywali ciągle Dańkowicami, a Pawła szyderczo inaczej nie nazywali tylko „Dańków Cofała“.

Paweł wiedział o wszystkiém, ale nie dbał wiele na to i miał nadzieję, że Anna z czasem stanie się rozumniejszą.

IV.

Lecz nie spełniło się, czego się Cofała tak na pewno spodziewał, że małżonka się odmieni. Popędliwość i próżność głęboko były w niej zakorzenione i stały się nieuleczone. Oględny mąż użył wszystkich środków,

dła i nawet nożyk do temperowania czyli zarzynania gęsich piór, jakie wtenczas jedynie były w użyciu, aczkolwiek wiedział, żeby nie umiał pióra zarznąć do pisania, chociażby go Pan Bóg wziął za żywa do nieba. Przy téj sposobności nie omieszkiał pochwalić się, kto i kim jest, i skarżył się na to, że nigdy nie byłby pomyślał, jakie zadanie i jaki niezwykły wydatek na stare lata go czeka; aleć kiedy do przyjęcia tego urzędu go zmuszono, to cóż robić? Poruczono Bogu!

Od dnia kiedy Niezdara został wójtem, zachowywał się dumnie i nawet domownikom dawało się to we znaki, że on jest głową gminy. Wprawdzie Niezdara już i dawniej nie mało dbał o honor, a jeżeli mu żebrak lub wędrowny nie rzekł: „Oni, panie gospodarzu,“ nie odebrał wielkiej jałmużny. Teraz zaś wymagał podobnego uszanowania od wszystkich. Jeżeli go kto nie zaszczycił całym tytułem jego godności „Panie wójcie,“ zaraz się zachmurzył, a jeżeli jaki chałupnik przyszedł i nie miał już we drzwiach czapki w rękę, zaraz go zjeździł. „Ja was nauczę moresu, mówił wtenczas rozgniewany Niezdara, teraz nie jest tak jak za Pytla, wy ośli! Teraz macie większego!“ Równie żądał Niezdara, aby we wsi przed nim zdejmowano czapki. Kiedy zaś w sobotę szedł do urzędu, wyglądał mu zawsze z kieszeni ogromny papier. Wielu myślało, że nie wiedzieć co jest w téj kieszeni; ale inni twierdzili, że to wójt czyni tylko tak dla parady, aby sobie nadać powagi, i że na dole podkłada chustkę, aby papier było lepiej widać.

Atoli największą rozkoszą było dla Niezdary, kiedy według ówczesnego zwyczaju mógł rozstrzygać mniejsze spory i skargi, które między mieszkańcami po-

na jakie się tylko pogląda i umiarkowanie zdobyć może: prosił, przedstawiał zgorszenie dla czeladzi, wskazywał na głos publiczny, powoływał się na świętą religią i twierdził, że w domu, gdzie pokój nie panuje, tam też Bóg nie przebywa; wszakże wszystkie jego usiłowania były daremne.

Nareszcie znalazł środek przynajmniej w części skuteczny. Kiedy po wybuchu gniewu małżonka jego trochę się uciszyła i uspokoiła, powtarzał w sposób bardzo delikatny wszystkie jój szalone słowa, które w zapalczywości wymówiła, i nie omieszczał dodać odpowiedniej nauki. W taki sposób dokazał Paweł, że Anna się nieraz za swe słowa wstydziła i była powściągliwsza, lecz to nie trwało długo.

Bóg dał małżonkom dziatki, Józefa i Franciszka, którzy jednak wkrótce pomarli. Cofałowa nazbyt kochała swoje dziatki i dla tego też gorzki jój żal przechodził wszelkie granice. Osobliwie po śmierci starszego syna załamywała ręce, rwała sobie z głowy włosy, biła głową o ścianę, mówiła bez sensu, jakby cierpiała na umyśle, i wołała, że sobie życie odbierze. Cofała chciał uśmierzyć ten żal i ból niewczesny i uciekł się do zwykłego środka. Tłómaczył jój, jak szalone jest takie postępowanie, i dowodził, że to nie po chrześcijańsku, lecz wprost przeciw Bogu. Wszakże nie tylko swemi perswazyami nic nie wskórał, lecz znalazł taki opór, że się go przeląkł.

„Tyś nie jest ojcem, nie masz żadnego czucia, jesteś gorszym od zwierza drapieżnego,“ takie i tym podobne słowa sypały się na niego jak grad i zbytnie objawy bólesci znowu się powtórzyły.

Na ostatku popadła Cofałowa w ciężką chorobę i dopiero kiedy z niej wyszła, stała się cokolwiek spokojniejszą. Lecz i wtedy jeszcze często płakała i czyła sobie różne chociaż niesłuszne wyrzuty, że o zdrowie swoich dzieciak sama się nie starała jak należało, i powierzyła je Teresie; że gdyby jeszcze raz udzielił jej Bóg macierzyńskich radości, będzie o to dbała, aby dziecię nie umarło, chociażby i całe gospodarstwo miała pozbyć.

Za kilka lat nadeszło pożądane błogosławieństwo w domie Cofały: Pan Bóg dał im znowu syna. Cały dom się cieszył z tego; Cofała płakała z radości i prosił Boga o łaskę dla siebie, a zwłaszcza dla małżonki, aby duszę im powierzona dobrze i według woli Bożkiej prowadzili i wychowali.

Cofałowie czynili przygotowania do chrztu, przy czém chodziło o imię dla synka. Cofała chciał, aby chłopcu dano imię „Paweł“, lecz nie spełniono jego życzenia. Najbliższa sąsiadka bowiem, Gorąca, odwiedziła Cofałową jeszcze przed chrztem i poradziła jej, aby chłopcu dali imię jednego ze świętych ziemi polskiej, dodając, że takie dzieci nie umierają. W taki sposób otrzymał chłopiec imię „Stanisław“, czyli jak zwykle krótko mówią „Stas“.

Aczkolwiek Cofałowa bardzo wielką wiarę pokładała w słowach kumy Gorącej i dla tego już daleko mniej o syna się lękała, przecie zamyslała według dawnego postanowienia dbać o to, aby chłopiec nie umarł, i opiekować się jego zdrowiem, choćby nawet gospodarstwo całe miała pozbyć.

Dla tego powróciwszy z kościoła od wywodu, zaraz na drugi dzień kazała zaprzadzić konie i pojechała z Te-

wstały. Nawet sam czasem co zespiskował lub ludzi na siebie poszczuł, aby tylko mózdz sprawę rozsądzić i odebrać dziesięć czeskich, które wtenczas skarżący musiał złożyć wójtowi i radnim na trunek. Ale zresztą Niezdara w wydawaniu wyroków Salomonem nie był i rozsądzał sprawy więcej według kumostwa i szwagrostwa, aniżeli według sprawiedliwości.

Aby nas nie posądzono, że Niezdarę oczerniamy, przytoczymy na dowód przykład.

Raz w jesieni kiedy się już było pasie, gdzie chce, bo jak przysłowie mówi: „po świętym Michale może paść ba i na powale,” przybiegł chałupnik Niekluda do wójta, jał narzekać i rzekł: „Panie wójcie, stało się nieszczęście! Moja koza przebodła waszą krowę.”

„Co? rozsierdził się wójt. Krowę zapłacicie, choćbyście chałupę pozbyć mieli.”

Ale Niekluda był szczwanym lisem. On umyślnie rzecz przekreślił, aby wójta złapać na wędkę. Dla tego natychmiast przewrócił rzecz i rzekł: „Przebaczcie, jam się omylił; to wasza krowa przebodła moją kozę.”

„To inna rzecz, odpowiedział wójt obojętnie, wasza koza powinna była mojej krowie wyminąć. Bydlę nie ma rozumu, a wy szukajcie wynadgrożenia, gdzie chcecie.”

Niezdara sprawował swój urząd już ósmy rok i ciągle ta godność nie przestawała go cieszyć; ale w Prawocinie przebakiwali ludzie, że się jego wójtostwo smutnie skończy. Mówili, że gospodarstwo u Niezdary złe; i nie było się czemu dziwić. Niezdara dla wójta zapomniał na chłopa, w polu bywał tylko gościem, ze wszystkiem musiał się spuścić na czeladź,

resą i z małym Stasiem do lekarza, którego pięknie prosiła o radę, coby należało czynić, aby chłopiec nie umarł. Lekarz obejrzał dziecko i rzekł, że zupełnie dobrze i zdrowo wygląda i żyć może bezpiecznie, atoli nie omieszkiał dodać, że życie i śmierć są w mocy Bożkiej, mianowicie dziatki że są niepewne i w jednej chwili mogą się stać ofiarą śmierci. Dalej bardzo rozumnie wyłuszczał, że do zdrowia i rozwoju małych dzieci głównie przyczynia się czystość i oszczędztwo. Polecał kąpiele, codzienną zmianę świeżej bielizny, czyste miękkie pieluchy, i dodał, że aby kąpiel była więcej wzmacniającą, można do niej dolać mleka. Wspominał i o kolebce, że powinna chodzić lekko i równo, aby zbyt wielkiem trzęsieniem nie wstrząsnąć mózgu dziecka. Po wielu innych radach jeszcze nadmienił, że nie zawadzi przyzwyczajając powoli dziecię do zwykłego pokarmu i napoju, i polecał w tym względzie na pierwszy początek mleko i waczki czyli smoczki z biszkotów.

Cofałowa słuchała mowy lekarza z uwagą prawie nabożną i ani słowa nie puściła mimo uszu. Dała lekarzowi hojne wynagrodzenie i spieszyła do domu.

Nigdy jeszcze nikt nie zachował przepisów lekarskich z taką sumiennością, jako Cofałowa. Przyszedłszy do domu, przewróciła wszystko do góry nogami. Ponieważ stara kolebka chodziła nierówno i trzęsąco, zaniesiono ją za komin, a nowa, zaopatrzona w żelazne bieguny, stanęła ukończona na trzeci dzień w jej miejsce; cała półka cieniutkiego płótna użyta została na pieluchy; narobiono koszulek i powijaków na tuziny, a kąpiel przygotowana dla Stasia kilka razy na dzień była prawie z samego mleka. Jakoś za miesiąc

próbowano dawać mu mleka, a ponieważ Staś miał wielką ochotę do jedzenia, pomyślano także o waczkach z biszkotów. Biszkotów atoli nie sprzedawano w Kukliku i musiano po nie posłać do miasta do kupca, którego żona trudniła się zarazem cukiernictwem. Posłano poganiacza Jurę, dano mu na biszkoty srebrny dziesiętnik, i miał ich tymczasem przynieść ćwierć funta. Kiedy odchodził, wołała za nim gospodyni jeszcze ze drzwi, aby się starał szybko powrócić i nie zapomniał, po co idzie; radziła mu nawet, aby sobie w drodze słowo „biszkoty“ pocichu powtarzał, żeby u kupca wiedział, czego żądać.

Jura bardzo się przez to czuł obrażony, rzucił gniewnie głową, mówiąc, że nie jest dzisiejszy i że już nietakie sprawy załatwiał, więc i takie głupstwo sprawi należycie. I w drodze się gniewał, że gospodyni tak niepoehlebne ma o nim zdanie, i uważał za rzecz niemożliwą, aby takie marne słówko mógł zapomnieć. Przyszło mu nadto na myśl, że „piskot“ jak mówił, i „piskać“ brzmią prawie równo, był więc pewny, że nie zapomni.

Przyszedłszy do kupca, zobaczył Jura kram pełen ludzi, z których każdy żądał jakiegoś towaru. Stali wszyscy jeden za drugim w porządku, w jakim przyszli, i zbliżali się do kratki, za którą kupiec towary sprzedawał. Jurze zdawało się to zbyt nudnym, czekać, aż na niego kolój przyjdzie, pchał się więc naprzód i odsuwał każdego, co mu zaważał w drodze.

„Co chcesz, ty niecierpliwy?“ zapytał go kupiec nie bardzo grzecznie, rozgniewany cokolwiek, że się tak naprzód ciśnie.

która o nic nie dba, i na synów, którzy jeszcze mniej o gospodarstwo się troszczyli. W takich okolicznościach inaczej być nie może, jeno że gospodarz gospodarzy z tysiąca na sto. Atoli ci, co tak mówili, nie wiedzieli o wszystkiém, przez co gospodarstwo Niezdary upadało. Z Niezdara, oprócz niechęci do pracy, stała się jeszcze jedna wielka zmiana: chłopska strawa przestała mu smakować. Szukał zawsze coś lepszego, i sposobność do tego zdarzyła się zawsze, kiedy szedł do urzędu. Z kancelaryi udał się Niezdara do gospody i przesiadzał tam zwykle aż do nocy. Pił rosolkę, jadł rożki, rozkazał sobie przynieść porcyą pieczeni i zapijał piwem; i winem nie gardził, które, jak mówił, najlepiej mu szło przez gardło.

Towarzystwo się także znalazło. Przyszedł do gospody odźwierny, szafarz, lokaj i wszyscy mu okazali szacunek, mówili mu „Oni panie wójcie“ i za to z nim pili. Na podziękowanie zaś ci opasli pochlebnicy zaraz za drzwiami się z niego wyśmiali. Raz nawet pisarze poszli za Niezdara do gospody. Znaleźli go przy winie i poradzili mu, aby jeżeli dobrego wina chce skosztować, rozkazał sobie przynieść wina szampańskiego, które przypadkiem było w gospodzie na składzie. Niezdara usłuchał ich i chcąc się okazać wdzięcznym za dobrą radę, częstował ich i prosił i zmuszał, aby z nim pili. Pisarze pili i wino było dobre: perliło się i syczało, jakoby się gęs piekła, i za niedługo minęły się trzy faszki. Pisarze nagle odeszli i śmiali się w sieni. Onym łatwo się było śmiać, ale Niezdarze nie było do śmiechu. Bo kiedy się dowiedział od gospodzkiego, że wino szampańskie jest najzaczniejszém winem francuzkiém, i że kosztuje faszka

Jurę zniechęciła przymówka kupca i nadętymi usty odpowiedział:

„Ja chcę ćwierć funta — — —“ i nie umiał mówić dalej.

„Czego ćwierć funta?“ zapytał znowu kupiec.

Jura stapał z nogi na nogę, chwycił się za czoło, wybełkotał kilka razy „ćwierć funta —“ i znowu milczał.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, a kupiec skinął na niego, aby ustąpił na bok, przypomniawszy sobie, czego chce i przystąpił ze swym żądaniem gdy przyjdzie na niego kolej. Ale Jura i wtedy nie wiedział, czego żądać, gdy kolej na niego przyszła. Kupiec chciał mu przyjść w pomoc i wyciszał różne towary, które miał na składzie, lecz nie mianował tego, którego miał żądać Jura. Nareszcie przyznał się Jura, że to co on chce, to brzmi niemal tak jak „piskać“.

„A do czego to ma służyć?“ pytał się kupiec.

„Ma to być dla chłopca!“ odpowiedział Jura.

Kupiec rozmyślał i zamruczał może trzy razy „piskać“ — „dla chłopca“, aż nareszcie ogłosił wynik swego badania w ten sposób:

„Jeżeli to jest dla chłopca i brzmi jako „piskać“, tak to nie może być nic innego jak piszczałka!“ — i podał Jurze drewnianą piszczałkę o trzech dziurkach, wydał resztę z dziesiętnika i odwrócił się, aby służyć innym.

Jura szedł z miasta jak oparzony; przeczuwał, że właściwej rzeczy nie niesie. Skutkiem takiego rozmyślenia i wątpliwości włókł się powoli i przyszedł późno do domu. Gospodyni przywitała go łajaniem, że każda jego droga trwa wiecznie, żeby mógł chodzić po śmierć

ludziom, którzy nie chcą umrzeć, itp. — aż nareszcie miał oddać biszkoty.

Kiedy wyjął piscozalkę, wszyscy się głośno roześmiali, a nawet sama gospodyni mimo gniewu śmiała się, aż jej łzy w oczach stanęły. Ale Jura nie był z tego kontent i uparczywie twierdził, że rzecz dobrze załatwił, a winę zwał na kupca, który go dobrze nie zrozumiał. Lecz pomógł sobie z pieca na łeb, i śmiech z niego był jeszcze większy. Po biszkoty poszła Teresa, która miała lepszy rozum, ale z Jury jeszcze się potem długo śmiano, stał się nawet przypowieścią, a kiedy sobie kto w jakiejś sprawie bardzo głupio postąpił, mówiono, że się tak na tém rozumie, jak Jura na biszkotach.

Tak Jurze wyszły biszkoty na złe, ale Stasiowi posłużyły dobrze. Zmieniał się waczek za waczkiem i ćwierć funta wystarczyło ledwie na tydzień. Posłano po świeże, — później brano pół funta, a nareszcie po funcie. Chłopczyzna wyglądał jak beczułka i jeszcze się przytém w mleku kąpał. Mimo tych wygod był złośliwy i niespokojny. Kiedy spał, kolebka ciągle chodziła jako młyn; gdy się obudził, nie siedział spokojnie na ręce ani na chwilę. Musiano go huścić, śpiewać mu i po pokoju z nim biegać. Jedno nie mogło długo wytrzymać i podawano go sobie z ręki do ręki, aż się czasem wszyscy z nim napocili. A stara Teresa nie mogła nastarczyć prac, maglować i prasować.

Cofała patrzył na te wszystkie rzeczy niechętnie i zdawało mu się, że się tego wszystkiego dzieje za wiele. Nie mogąc już dłużej milczeć, przemówił raz, gdy byli sami, tak do małżonki:

„Anno, na miłość Boga cię proszę, przestań tych

pięć reńskich, okropnie wywalił oczy i otworzył usta na oścież.

Najgorszą zaś było rzeczą, że nietylko Niezdara sam utracił pieniądze, lecz także jego trzej synowie dorośli wszyscy byli ogromnymi utracyszami. Chcieli mieć piękne ubiory, kupowali srebrne fajki, chodzili na muzyki, robili długi, a jak nie było czém płacić, brali co gdzie było, i wynosili żydowi.

Ludzie mówili, że Niezdara potajemnie pożycza pieniędzy, i domysляли się, że ich już będzie dosyć znacznie, i że z Niezdarą, skoro wójtowska sława przeminie, smutnie się skończy.

W roku 1848 wyszła nowa ustawa, według której już sama ludność obierała sobie przełożonego gminy. Kiedy wykonano wybory, Niezdara nie dostał się ani do wydziału gminnego i pokazało się, że jest winien wiele set gminnych pieniędzy. Było trzeba płacić, a nie było czém; chciał pożyczyć, a nie było gdzie; nadto równocześnie zgłosili się tajemni wierzyciele i bez litości żądali zwrotu swych długów. Wtedy znalazł się Niezdara w niemałym kłopotcie i nie było innéj rady, jak grunt sprzedać. Kiedy długi popłacił, pozostało Niezdarze zaledwie tyle, że mógł kupić chałupę i ledwie krowę i kozę chować. Dwaj starsi synowie, którzy ojcu najwięcej pomogli do biedy, musieli iść na służbę, i tylko Franciszek został z ojcem doma.

VIII.

Z chwilą, kiedy w miejsce dawnych wójtów przyszli przełożeni gminy, powołani przez wolny wybór

zbytlich pieszczot. Staniesz się pośmiewiskiem całej wsi; wszakże już to i Panu Bogu podobać się nie może, co ty z tém dzieckiem wyrabiasz.“

Ale nieborak źle na tém wyszedł i odebrał taką odpowiedź:

„Ty nie jesteś ojcem, nie masz uczucia, jesteś gorszym od drapieżnego zwierza. Ja pani w domu, ja dziedziczka wszystkiego. Ja sobie dziecię tak wychowam, jak mnie się podoba.“

„Dobrze, dobrze, tylko je wychowaj sobie ku radości, a Bogu na cześć i chwałę“, dodał Cofała, wziął czapkę i odszedł.

V.

Staś nie trzyma się już ławy, lecz biega sam po izbie. Jest tłusciutki, lica ma jak bochenki, a czerwone jak turek. Ubrany jest pięknie: ma na sobie długą suknię z pisanego muszlinu o pięknych barwach czyli, jak tam mówią, kontusz; na nóżkach czerwone buciki z żółtymi lemcami, tak zwane czyżmy, które kuklicki kramarz, żyd Mosiek, przywiózł z miasta na żądanie Cofałowej; koło szyi jest wyszywany lemieć (kołnierz), a na głowie okrągła czapka z zielonego aksamitu. W tém ubraniu Stasiowi pięknie do twarzy, wygląda jak malowane jajko, a matka jest szczęśliwa. Lecz chłopiec chce być wolnym, a buty go gniołą, kołnierz drapie, kontuszek przeszkadza; nie cierpi długo na sobie ubioru, muszą go rozebrać, bo najmiléj mu uganiać się po izbie w koszuli i boso.

Staś już zaczyna i mówić. Wszyscy go uczą i powiadają mu wyrazy, które on za nimi w swój sposób

powtarza i po dziecięcemu przekręca. Teresie mówi „Esa“, Jurze „Jua“, bez trudności zaś umie powiedzieć „tata“, „mama“, a najłatwiej „ham“ i „papać“.

Ostatnich wyrazów najczęściej używa i skoro je wysłowi, zaraz skoczy matka do szafy i przyniesie coś do jadła. Ma ona zawsze coś przygotowanego dla swego ulubieńca, a jeżeli nic innego nie masz, ukraje „skibkę“, „jasnego“ chleba, umacza go w śmietance i podaje chłopcu. Chłopiec obliże śmietankę, skibkę zwraca matce i woła: „ecze“. Matka nie przykrzy sobie tego, macza po drugi i po trzeci raz, aż chłopiec przestanie mówić „ecze“.

Ze Stasiem są jeszcze inne trudności. Cofałowa była znowu u lekarza w mieście, chłopiec bowiem bywa często bardzo gniewliwy, i matka się radzi, co czynić, aby ten zbyt ni gniw chłopcu nie zaszkodził. Lekarz mówi, że takich dzieci nie należy drażnić, ani griewać, bo inaczej mogą popaść w epsilepsyę, czyli jak lud mówi, może je „wrzód obrażać.“ Od téj chwili Cofałowa się niepokoi i ciągle się boi, że Stasia będzie „wrzód obrażał“, i dla tego wszystkim jego zachciankom musi się dogodzić. Lecz nie jest to rzeczą łatwą, bo Staś jest wymyślnym i co widzi u drugich, chce jak małpa naśladować. Lecz matka się o niego boi, i musi się stać, co Staś chce.

Gminny pastuch pędził raz owce na pastwisko, strzelał z bicia, spędzał trzodę do kupy i aby się nie rozbiegła, według potrzeby smagał. Staś zobaczył to z okna, trzepie rączkami i zachciewa mu się bicia i smagania. O bicz nie trudno, Jura mu go uplótł; ale kogo smagać? Staś się gniewa, tupa nogami i krzyczy; mógłby dostać choroby. Nie można inaczej: Te-

resa, Jura, obie służące i gospodyni czołgają się po podłodze na czworaku, udają owce i beczą, a Staś je goni i smaga, aż znużony przestaje zabawki.

Parobek Tonda wiąże w niedzielę przed zwierciadłem chustkę koło szyi. Staś się mu przypatruje i chce też tak czynić. Ale Teresa nie ma ochoty zdjąć zaraz dla niego zwierciadła ze ściany; chłopiec się już gniewa, tupie nogami i krzyczy. Znow obawa, aby się chłopiec nie nabawił choroby, i zwierciadło musi być zdjęte ze ściany.

Stasiowi podoba się tłusty w koszuli chłopiec, którego widzi w zwierciadle; uśmiecha się do niego, a ten w zwierciadle także. Staś się już nie śmieje, a chłopiec w zwierciadle także się śmiać przestał; Staś się zachmurzy, zamierzy ręką, a ten w zwierciadle zupełnie tak samo czyni. Staś uderzy w zwierciadło „bac“, a zwierciadło potraskane sypie się na ziemię. Teresa się przełękła, żałuje zwierciadła i niemalby chłopca złajala. Ale gospodyni się śmieje i nie dba o szkodę, powiada, że zwierciadło było stare i że za kilka lat i takby musiało być kupione nowe, i że przecie nigdy nie warto, aby chłopiec dla takiego starego rupiecia miał popaść w chorobę.

Najgorzej się dzieje, kiedy Staś w swój swawoli padnie i stłucze się. Zacznie krzyczeć „boji, boji“ i tupie nogami, gniewa się i wrzeszczy. Matka się trzęsie od strachu, aby mu się co nie stało, przyskoczy, jak skra, głaska go i mówi: „Poczekaj, będziemy to „bacać“ (bić). I zaraz bierze warzechę i bije w to miejsce, o które chłopiec się uderzył. Złość chłopca mija, już się śmieje, wyciąga rączkę, chce warzechę

i krzyczy: „Mama, daj!“ Bierze warzechę i bije także w to miejsce, aż się warzecha rozszczepli.

Jura chce się podchlebić i mówi chłopcu, aby temu miejscu jeszcze pogroził, a Staś potrząsa pięścią tam, gdzie był upadł, i woła: „O, o!“ — „Jeszcze mu coś rzeknij, podżęga go Jura, rzeknij mu: „Trąbo!“ Staś chętnieby tak powiedział i próbuje, ale „trąba“ jest dla jego usteczek słowem bardzo trudnym i nie może mu z ust wyjść. Nareszcie po długim usiłowaniu woła: „Ciombo!“ Śmieją się wszyscy, Staś także, i bardzo mu się podoba słowo, które go kosztowało tyle pracy. Nie zapomni go już więcej i jeżeli mu kto tylko trochę w drogę wnijdzie, zaraz woła „Ciombo“!

Cofałowa opowiada każdemu, kto tylko do nich przyjdzie, nawet wędrownym i żebrakom, jakiego ma rozumnego i dziarskiego chłopca, co on to wie i jak każdemu umie odpowiedzieć. Do kumy Gorączej nawet sama zaszła umyślnie dla tego, aby się pochwalić, że Staś umie powiedzieć „ciombo“!

Cofała ani o dziesiątym nie wie, co Staś dokazuje; jeżeli zaś przypadkiem coś zobaczy, gniewa się, czyni wyrzuty małżonce i czeladzi, że chłopca psują; lecz wtenczas wszyscy bronią chłopca i mówią: „Z dzieckiem inaczej nie można, dziecko nie ma rozumu.“

Inaczej się rzeczy mają, jeżeli Cofałowa czasem nie jest w domu. Przy ojcu Staś wcale inaczej się zachowuje, nie dokazuje, słucha i jest najlepszym chłopcem. Ojciec mu opowiada o Panu Bogu, o Panu Jezusie, uczy go przeżegnać się; chłopiec słucha z uwagą i umie się już jakoś przeżegnać: dotyka się czoła całą pięścią, jedno ramię opuszcza i beble, jak umie; równie z ojcem odmawia „Ojczenasz“.

ludności, także w rekrutacyi nastał nowy porządek, daleko lepszy. Rekruci zostali podzieleni na trzy klasy według wieku, spisy przygotowywano według metryki, nie nie można było sfałszować, a kto był w spisie, musiał się stawić, czy to z biednej chałupy, czy z gruntu. Lud uboższy chwalił nowe rozporządzenia, zwał je sprawiedliwemi i sądził, że już tak dawno było być powinno.

W Prawocinie gotowali się także chłopcy do rekrutacyi, a między nimi znajdował się Franciszek, najmłodszy syn Niezdary, byłego wójta. On wprawdzie według wieku powinien się już był dawniej stawić, ale ponieważ go pominięto, nie stawiał się wcale, aż przyszła na niego kolej dopiero w czasie nowej ustawy, kiedy się już znajdował w trzeciej klasie. Ubożsi ludzie we wsi chociaż Franciszkowi nie życzyli nic złego, jednak się z tego cieszyli i mówili zgodnie, że to jest kara dla starego Niezdary, który za swojego wójtostwa dosyć krzywdy ludziom wyrządził.

Jutro już tedy rekruci z Prawocina mają się stawić, gmina dostarczy im furę i jeden członek wydziału gminnego pojedzie z nimi dla dozoru. Po południu zeszli się junacy w gospodzie, za czapkami mieli świerkowe gałązki i byliby radzi udawali zuchów, ale jakos serce było ściśnione. Znalazł się wszakże na to środek, który gospodzki znał i poradził: „Chłopcy, popijcie sobie!” Chłopcy usłuchali i pili piwo i wódkę: a kiedy sobie podchmielili, zaczęli śpiewać i hałasować. Nakoniec tyle uzyskali odwagi, że się im karczma stała za ciasną; dla tego wysypali się na dwór, chodzili po wsi, krzyczeli i różnie dokazywali. Krzyczeli za dziewczynami, stare baby, z którymi się spotkali,

Nagle otwały się drzwi i wchodzi matka. Staś jakoby się nagle odmienił, ucieka od ojca, biegnie do matki i woła: „Mama, nie ce molić, nie ce!” Cofałowój się to nie podoba, że chłopiec się modlił, i wyrzuca małżonkowi: „Przecie nie będziesz już teraz dziecku pacierzem męczyć! Cóż ci przychodzi do głowy, dziecień nie ma rozumu!”

Kuma Gorąca powiedziała, że dobrze jest, dzieciom także w nocy dawać jeść; dodała, że i ona także tak dawała swemu Jankowi i rósł jak na drożdżach. Cofałowój się to podobało, chowa Stasiowi pod poduszkę chleb i kołaczki i nawet o północy go zbudzi, aby jadł.

Cofała dowiedział się o tém i czyni wyrzuty małżonce, ale daremnie. Rozmyśla, jakoby takiemu nadużyciu koniec położyć, i chce chłopcu nocne jedzenie obrzydzić, skoro się nadarzy sposobność.

I nadeszła sposobność. Matka jest w kościele, a ojciec sam z synem w domu. Staś jest grzeczny, posłuszny i siedzi obok ojca na ławie. Ojciec opowiada mu, że Pan Bóg się gniewa, jeżeli dziecko je w nocy. W nocy powinno dziecko spać, bo chleb téż śpi i dopiero rano się obudzi, gdy się dziecko umyje, ubierze i przeżegna. Staś słucha z wielką uwagą i nie jadłby już w nocy.

Atoli w nocy się przebudza, obraca i woła: „Mama, haba!” Matka spostrzega każdy ruch syna, wstaje cicho, aby ojciec nie spostrzegł, i daje chłopcu chleba. Lecz ojciec nie śpi, wie, co się dzieje, i pyta: „Przecież nie dajesz chłopcu jeść?!” — „Nie“, odpowiada matka ostro; chciałyby ukryć swoje postępowanie i ucieka się do kłamstwa. Ale nie udało się, bo chło-

piec sam matkę wydał i z pościeli wesoło zawołał:
„Tato, haba nie śpi!”

Cofała się gniewa, czyni wyrzuty małżonce, że dziecko psuje na ciele i na duszy, bo tka w nie potrawy, a wobec męża kłamie. Cofałowa także nie milczy, uniewinnia siebie i chłopca, i tak powstała między małżonkami zwada. Staś już nie ję, tylko dźwignął głowę i słucha pilnie. Zrozumiał tyle, że zwada powstała z jego powodu, przyłączył się do matki i woła na całe gardło: „Tata ciomba!”

Cofałowa się śmieje z dowcipnego chłopca; ale Cofała z boleścią jej wyrzuca, że męża lekceważy i chłopca do tego prowadzi, aby ojca lekceważył.

„Mój Boże, narzeka gorzko, to wcześniej, zbyt wcześniej.”

Cofałowa z radości nad dowcipem syna nie zważa na strofowanie małżonka i aby rzecz skończyć, rzecze: „Przecież nie będziesz ważył na wadze złota tego, co dziecię mówi. Przecież ono nie ma rozumu.”

VI.

Staś doszedł pięciu lat. Co do wzrostu wysokości nie bardzo on wyrósł, ale wazierz przybyło go znacznie. Jest z niego wielki urwisz i biega dotąd w koszuli, tak iż go niektórzy zowią „pater koszulanda.” „Ojczenasza” i „Zdrowasia” nie umie zmówić bez pomocy, ale innych rzeczy umie aż nazbyt wiele.

Hałasuje i krzyczy, aż się po całym Kukliku rozlega; przezwisk ma mnóstwo w zapasie, jest swarliwy i z dziećmi przy spotkaniu zaraz się bije. Cały dzień

brali do tańca, przy kuźni wzięli okute koło i kulali niém po wsi, żydowi Abrahamowi zaśpiewali pod oknem: „Hep, hep, hep, szabes is wek.“ Nikogo się nie bali, ani nie uwzględniali, nawet ani wtenczas, kiedy szli koło fary, nie przestali hałasować, czegoby w innym czasie za nic w świecie nie byli uczynili. A nikt im tego nie wzbronił, ani ich nie złażał, bo to rekrutom musi się na niejedno przez szpary patrzeć.

Ale skończyła się ta hulanka niebawem, bo skoro rekrutom wywietrzył z głowy trunek, stracili ducha, ucichli i jeden za drugim porozchodzili się z nawsia. Tylko trzej skarłowaciali i zbyt mali pozostali, którzy że dostatecznej miary nie mieli, rekruterki się nie bali i ciągle hałasowali. Tych uspokoił miotłarz Golec, człowiek niezmiernie wysoki i były grenadyer. Kiedy mu ci trzej przed chatą hałasowali, wytknął głowę oknem i zagrmiał: „A pójdziecie wy urwisze za piec; jak wyjdę na was z miotłą, szkaradnie was pomaluję.“ Na te słowa zaraz ucichli i znikli z nawsia.

Rano zgromadzili się rekruci znowu w gospodzie, gdzie gminna fura na nich czekała. Znowu pili i postawiali gęsto na długim drabiniastym wozie. Muzyka prowadziła ich aż za wieś. Jednych muzyka rozweseliła, na twarzach drugich wywołała smutek, jedni płakali, drudzy śmiali się i hałasowali. Owym trzem malcom istotnie łatwiej się było śmiać niż płakać, lecz póki się znajdowali we wsi, byli cicho, bo w gromadzie ludzi, którzy ich odprowadzali, zobaczyli miotlarza i jakoś im znikła wszelka do śmiechu ochota; ale poza wsią, kiedy już muzyka powróciła, a lud się rozszedł, znowu się stali odważnymi i dokazywali, tak że się to drugim aż przykrzyło.

biega po wsi, brodzi po potoku, łowi strzeble i mię-tusy, a pomimo że jest niezgrabny, wdrapie się na olszę jak wiewiórka; rzuca także dobrze kamieniami i często ludziom różną szkodę wyrządza. Chałupnikowi Ostrożnemu wybił okno, a u kumy Gorącej tak silnie uderzył łaską gąsiora w łeb, że siedmioletni do-wódzca gęsiego stada zaraz na miejscu padł trupem. Kto u Cofałowej szuka wynadgrożenia za wyrzą-dzoną mu przez Stasia szkodę w sposób oględny i chłopca się nie dotknie, dobrze na tém wychodzi. W tym względzie chałupnik Ostrożny poszedł po ro-zum do głowy. Przyszedł do Cofałowej z uśmiechem, chwalił Stasia, że ma celną rękę, i szczegółowo opi-sywał, jak chłopiec może na jakie sto kroków dobrze mierzył i wybił szybę, jakby ją wystrzelił. Że Ostrożny umiał swą sprawę przedłożyć, dała mu Cofałowa pół mierzycy żyta i był u niej w łasce.

Kuma Gorąca postąpiła według swego nazwi-ska i obrała inną drogę niż Ostrożny i źle na tém wyszła. Przyszła z łajaniem i z krzykiem, przezwała Stasia „nieponiem“ i groziła sądem. Trafiła kosa na kamień, kuma na kumę, i było po kumostwie. Cofałowa wskazała jej drzwi, kazała jej iść do sądu i oświad-czyła, że raczej żrebie nałoży, nimby gąsiora miała zapłacić — i nigdy się już obie kumy nie pogodziły.

Takich wypadków zdarzyło ~~się~~ więcej, a wtedy Cofałowa radziła się potajemnie z Teresą i postanowiły obie, że Staś nie śmie już bywać na wsi sam i że musi go pilnować ktoś rozumniejszy. Właśnie w owym mniej więcej czasie przybył Maciej do Cofałów, i jemu został powierzony dozór nad Stasiem.

Maciejowi jako dozórce Stasiowemu powodzi się

jak nagiemu w cierniu. Musi ponosić swawolą Stasia i służyć za zabawkę dla rozpustnego chłopca. Co Staś zamyśli, musi Maciej zrobić i zadość uczynić jego zachciankom: musi być dla niego koniem, aż mu się pot z czoła leje; „przewraca kozła“ aż go wszystko boli; skacze przez przykopę, skrobie się po drzewach i czyni wszystko, co Staś rozkaże. Całe ciało boli go tak, że ani jeść mu się nie chce; w nocy nie sypia. Długo tego wytrzymać nie można. W samotnych chwilach opanowywa Macieja tęsknota niewymowna, przypomina on sobie matkę i płacze, modli się za nią i wzywa Bogarodnicę i anioła stróża, aby mu przybyli ku pomocy.

Mija dzień, mija noc i każdego rana rozpoczyna się męka na nowo. Ze Stasiem wytrzymać nie można, ciągle coś wymyśla i żąda od Macieja rzeczy wprost niemożliwych. Chce, aby mu złapał ptaka, chwycił motyla, ba nawet na komin wylazł i ze skały nad młynem skoczył do stawu, aby żbluchło. Maciej tłómaczy mu, że to jest niemożliwem; lecz daremnie się wykręca, Staś żąda tego stanowczo, i kiedy Maciej ani na komin leżć, ani ze skały skoczyć nie chce, spieszy do domu i skarży się na Macieja, że go oszukuje.

Cofałowa popada w złość, przezywa Macieja dar-mojadem i żebrakiem i grozi, że go na miejscu z domu wypędzi, jeżeli Stasiowi będzie robił na przekorę. Uniewinnienia Macieja nie przyjmuje, ani kiedy się biedny chłopiec powołuje na niemożliwość, nie słucha, tylko mówi: „Ja wiem, że co ty chcesz, to podolasz zrobić.“

Z Maciejem jest źle. Od ciotki cierpi, że Stasiowi mało dogadza, a od domowych i cudzych słucha ciągle wymówki, że chłopcu zbyt mało dogadza.

Wydziałowy, który prowadził rekrutów, lubił żartować. Myślał o tém, jakoby rozpustnych owych malców przestraszyć; przyszła mu zabawna myśl do głowy i tak przestraszył swawolników, że już potém ani nie pisnęli.

„Co to, mówił, że się wam tak chce śmiać, jakobyście nie byli rekrutami? Czy nie wiecie o okólniku, który wczoraj przysłany został wójtowi?“

Malcy nic o tém nie wiedzieli i dla tego byli tém ciekawszy, jakiby to był okólnik.

„No, kiedy nie wiecie, to wam powiem. Zamyślają utworzyć w wojsku nowy oddział, złożony z samych skarłowaciałych żołnierzy. Będą oni zapalać lunt, a tém samém proch w działach. Takięj pracy podobają zupełnie, a żołnierze rośli i silni będą mogli wszyscy iść do boju.“

Trzój zuchy naraz umilkli i byli cicho, jakby im kto był usta naraz zamknął.

Tymczasem nasi podróżni zobaczyli z daleka wieże miasta i wszyscy rekruci na wozie, tak rośli, jak i mali, zbledli jak chusta. Kiedy zaś wóz stanął przed domem, gdzie się rekrutacja odbywała, każdy wyglądał, jakby krwi w sobie nie miał. Przed domem tym musieli rekruci zsiąść z wozu i iść po schodach do wielkiej sieni. Żołnierze stojący wartą u drzwi kiedy zobaczyli, jak ci przyszli wojacy się chwieją na nogach i zębami dzwonią, zaczęli z nich szydzić: „Wstydzcie się, będziecie bojakami, ale nie wojakami.“ Po tém przywitaniu rozkazali im, aby się rozbierali.

Rekruci rozebrawszy się, musieli iść do sali, gdzie ich lekarze i oficerowie oglądali. Tam stał każdy biały jak chusta i jakby bez życia, a dopiero kiedy który

Stasiowi zachciało się lśniących kółek, które zdobią chomąto wronego wałacha. Musi je mieć, aby nimi kulać i zabawić się; parobka Tondy nie masz w domu, a więc nie nie przeszkadza, aby się Stasiowi stało po woli.

„Macieju, oderznij kółka,“ rozkazuje Staś, i Maciej czyni według rozkazu. Ledwie jednak skończył robotę, przychodzi Tonda i spostrzega chomąto. Przeżegnał się, popada w straszny gniew i czyni ostre wyrzuty chłopcom. Najchętniejby wyczubił Stasia, ale ponieważ gospodyni nie chce się narazić, więc nuże Macieja za uszy i mówi: „Jeżeli masz pilnować kaziświata, to nie bądź nim sam.“

Inną razą chce Staś, aby w kałuży za wrotami robili staw. Stawiają grobel z błota, trzeba nosić muł, lecz nie ma w czém.

„Macieju, przynies tam od chlewa szkopiec,“ rozkazał Staś, a Maciej pełni rozkaz. Przyniósł szkopiec pięknie wyczyszczony, który wysychał na słońcu do południowego dojenia. Lecz ledwie go w mule zanurzył, zjawia się służąca Hana i widzi, co się dzieje. Bierze ją złość, załamuje ręce i łaje chłopców. Najchętniejby Stasiowi dała jaką zapłatę, lecz boi się gospodyni, dla tego przynajmniej Macieja czubi porządnie i mówi: „Niezdaro, czy cię to gospodarstwo na to żywią, abys im szkodę wyrządzał i mnie pracy przymnażał?“

Inną razą znowu nabierze Staś kamieni w czapkę, stanie na słupek przy zagrodzie i kamień za kamieniem rzuca na strzechę chałupnika Ostrożnego. Kamienie padają z hukiem na strzechę i z wielkim łoskotem kulają się na dół po szędziolach. Ostrożny wybiegł

z chyży cały rozjątrzony i widzi Macieja podającego właśnie Stasiowi świeże strzeliwo, aby się zapas nie skończył. Maciej nie czyniłby tak, gdyby nie musiał. Ostrożny też o tém dobrze wie i najchętniejby wyciął policzek Stasiowi. Ale ponieważ nie chce na siebie ściągnąć nieprzyjaźni Cofałowej, uderza Macieja dwa razy w twarz i woła: „Ty obcy włóczęgo! Nauczę ja cię moresu!”

Maciej czuje się niewinnym; boli go, że niesprawiedliwie cierpi, i płacze. Staś atoli jakoby nic nie było zaszło, znowu wydobywa kamień z czapki, aby jeszcze raz rzucić na strzechę. Maciej obawia się, aby się znowu z ręką Ostrożnego nie spotkał, chce mu przeszkodzić i kamienie z czapki wysuć. Staś się sprzeciwia i nie chce słuchać. W czasie tego sporu potknęła się Stasiowi noga, padł twarzą na kamienie i cały się zakrwawił. Skoro zobaczył krew, okropnie zaczął ryczeć, biegnie do domu i skarży, że go Maciej pobił. Cofałowa biega po izbie jak szalona, a wyzwiska i gniewliwe słowa padają na głowę Macieja jak deszcz.

„Precz, precz z moich oczu! wołała jak rozwścieklona jędza. To cię dla tego żywię, abyś mi dzieci zabijał? Miarka już się przepełniła, skończyło się wszystko. Bierz swoje manatki i wynoś się zaraz z domu. Niech cię więcj nie oglądam!”

Maciej się nie uniewinnia, bo wie, żeby mu to nie nie pomogło; nie prosi, bo jest przekonany, żeby go nie słuchano; on tylko płacze i oczy do nieba wznosi, jakoby Boga brał na świadectwo, że się mu krzywda dzieje. Nie jest mu trudno opuścić tę zagrodę. U krewnych nie wiele zażył dobrego i jest przekonany, że u cudzego nie mogłoby być gorzej, nadto ma nadzieję,

usłyszał: „Untauglich,“ opamiętał się i uciekał z sieni, jakby się pował chciał zawalić. Niektórzy z nich byliby nieubrani uciekali aż na ulicę, gdyby ich żołnierze nie byli powstrzymali. Śmiać się było trzeba, jak się ci ludzie prędko ubierali: jeden wdziewał spodnie przez głowę, do rękawów od koszuli wkładali nogi i wszystko obracali na ręby. Po schodach zaś biegli na dół takim pędem, że ledwie karków nie poskręcali, a kiedy wojacy żądali od nich na piwo, dał niejeden wszystko, co miał w kieszeni! Ani w mieście nie mieli już te zuchy nasze miru, lecz uciekali po za miasto do gospody, gdzie według umowy fura na nich czekała. Tam się dopiero dowiedzieli, których do wojska wzięto, ponieważ ci już do domu nie jechali. Pomędzy tymi, którzy już nie powracali do Prawocina, był także Franciszek Niezdara, syn byłego wójta, który kiedyś chodził do szkoły z Adamem Cichym.

IX.

W mieście obronném na wielkiej równinie ćwiczyli się rekruci. Stawali prosto, podnosili głowy do góry, wypinali pierś naprzód, chodzili na rozkaz kaprała sam i tam i obracali się w lewo i w prawo. Było to dla nich dosyć trudne; po większej części byli to młodzieńcy, którzy dotąd chodzili za pługiem i nie mogli zaraz swego ciała tak ułożyć i postawić, jak kapral komenderował. Tyle to wszystkich kosztowało pracy, że tak kapral jak i rekruci się zapocili.

Największą trudnością dla młodych tych wojaków było to, że rekruci byli Polacy, a kapral Niemiec:

że służbę sobie wnet gdzieś wyszuka. Już ma tłumoczek pod pachą i tylko stryja chce jeszcze odszukać w polu, aby się z nim pożegnać i powiedzieć mu, że jest niewinny.

Idzie, lecz dla łez ani drogi nie widzi. Nie dziwota, że drogę zmylił i zamiast na stryjowym polu znalazł się przy ostatniej chałupie na kraju wsi. Przeciera oczy, poznaje Przetakową chatę i widzi zarazem swego znajomego, który z pocziwą i wesołą twarzą idzie ku niemu.

„Czy się już twoja służba w Kukliku skończyła? pyta dobrodusznie z daleka Przetak, że idziesz z tłumoczkim. Do nowego roku jeszcze daleko!“

Maciej nic nie odpowiada, tylko płacze.

„Pewnieś Stasiowi w czym nie dogodził i ciotka cię wypędza.“

Maciej potwierdził i opowiedział krótko dzisiejsze zdarzenie.

„Miły brachu, lituje się nad nim i łagodzi dolą jego smolarz; wiem ja dobrze, że tam nie masz wiele dobrego, ale gdzie indziej też go nie będzie. Wszędzie się jakaś dolegliwość znajdzie; powróć znowu do Cofałów. Cofałową znam, przez noc zapomni o wszystkim. Tylko miej cierpliwość, ufaj w Bogu, proś Najświętszą Pannę, a nadejdzie ulga dla ciebie prędzej nim się spodziewasz.“

Maciejowi na takie przemówienie dziwnie jakoś ulżyło się na sercu, tak iż bez wahania powrócił do wujostwa. Ponieważ się już ściemniało, wszedł niespostrzeżony do zagrody i wylazł na strych, gdzie zwykle sypiał.

W wieczór ten długo się Maciej modlił. Prosił Boga o pomoc i wzywał Pannę Maryą i anioła stróża serdecznie, aby mu przez swoją przyczynę pomoc u Boga wyjednali.

Gdy powstał z modlitwy, uczuł w sercu dziwną jakąś pociechę i położył się z pewnem przekonaniem, że najbliższy dzień przyniesie mu ulgę.

VII.

Nadeszła niedziela i w Kukliku ma się odprawiać nabożeństwo. Mają tam kościół filialny św. Jakóba, w którym wszakże nie bywa nabożeństwo co dzień, lecz tylko co trzecią niedzielę. Duchownego także Kukliczanie nie mają, lecz należą do parafii w Jaroszwie. Dla odprawiania nabożeństwa i innych obrzędów religijnych przyjeżdża do Kuklika ksiądz wikary z Jaroszowa, dwa razy zaś w roku, na odpust i w jedną niedzielę, zjeżdża tam ksiądz dziekan sam, by widzieć swoje owieczki i poznać ich potrzeby. W inne niedziele chodzą ludzie z Kuklika na nabożeństwo do Jaroszowa, co znów nie jest rzeczą zbyt uciążliwą, bo droga jest dobra i nie trwa dłużej jak pół godziny.

U Cofały wszyscy się wybierają do kościoła, tylko stara Teresa ma pozostać ze Stasiem w domu i ugotować obiad. Wszyscy ubierają się z jakimś radośnym pośpiechem, a i Cofałowa z ochotą się ubiera i jest dla wszystkich bardzo łaskawą, mianowicie zaś dla Macieja, aby mu wynagrodzić wczorajsze krzywdy.

Po wsi gruchnęła wieść, że wbrew zwyczajowi z nabożeństwem przyjedzie ksiądz dziekan. Powszechnie

ci komendy nie rozumieli, a ten nie był w stanie, aby im rzecz należycie wyjaśnić. Czynił wprawdzie kapral co mógł i przy każdej komendzie na migi pokazywał, co czynić należy, ale to nie nie pomogło. Okazywaniem nie można wynadgrodzić żywego słowa; dla tego się też ćwiczenie nie wiodło i rekruci jeżeli się mieli zręczniejsi obrócić, zawsze stawali każdy inaczej.

Najgorzej było z jednym. Ten był ogromnie niezgrabny, nie sobie nie mógł spamiętać i tylko drugim przeszkadzał. Kapral postawił go na boku, aby go uczyć osobno, skoro drudzy skończą; męczył się z nim godzinę, ale nie go nauczyć nie mógł. Niezręcznemu rekrutowi oprócz tego, że kaprala nie rozumiał, przeszkadzało najwięcej to że był jakby w ciemię bity, niczego pojąć nie mógł i nie sobie nie spamiętał, jakby ani do szkoły nie był chodził. Człowiek ten doprowadzał kaprala prawie do rozpacz, a i jemu samemu zabierało się na płacz. Rekrutem tym był to Franciszek Niezdara z Prawocina, który dzisiaj po raz pierwszy żałował, że kiedyś był tak niedbałym uczniem w szkole.

Kiedy się kapral w taki sposób prawie aż do omdlenia męczył z niezręcznym rekrutem, stał z dala przez obydwoch niepostrzeżony oficer, który miał trzy złote gwiazdy wyszyte na kołnierzu. Przyglądał się tenże tej mozolnej pracy i żałował tak kaprala jak rekruta, gdyż widział, że obaj męczą się daremnie. Nareszcie kiedy obaj już nie wiedzieli co począć, zbliżył się oficer, skinął na kaprala, aby ustąpił na bok, i stanął sam jako nauczyciel przed Niezdara, który już tak był pomięszany, że ani nic nie wiedział, ani nic prawie nie słyszał. Oficer zaczął mówić po polsku

więc mniemają, że się to nie dzieje bez ważnej przyczyny; wszyscy cieszą się na kazanie, domyślają się, że usłyszą jaką rzecz nową, i na pół godziny przed zedzwanianiem już kościółek jest tak napełniony, żeby ani szpilka na ziemię nie spadła.

Kukliczanie rzeczywiście nie omylili się w swoich domysłach. Ksiądz dziekan sam przybył, a przybrany w komżę i stułę wystąpił na kazalnicę z twarzą bardzo poważną, jak to czasami bywa, gdy o niezwykłym przedmiocie ma przemówić. Odstąpił całkiem od ewangelii i ani tekstu z niej nie przytoczył, tylko z zapalem i bardzo żarliwie zaczął mówić o potrzebie wychowania dzieci i o niezmiernych korzyściach stąd płynących. Uniesiony zapalem nie omieszkiał strofować i łajać rodziców, którzy o wychowanie dzieci i o szkołę nie dbają, dodając, że dalej rzeczy tak pozostać nie mogą, a głosząc, że według nowej ustawy dziatki od szóstego aż do dwunastego roku do szkoły uczęszczać powinny, grozi narazie tym, którzyby się temu poważyli sprzeciwić. Dalej wyraża ksiądz dziekan nadzieję, że Kukliczanie dla własnej korzyści uczynią wedle jego i władzy żądania i że groźby nie będzie potrzeba.

Wszyscy słuchają z wielką uwagą i aż dech w piersiach wstrzymują, niektórzy zaś, co przemową księdza dziekana czują się najwięcej dotknięci, schylają czoła i rumienią się od wstydu i żalu. Cofałowa siedzi jak na igłach, a ilekroć pomyśli o szkole i Stasiu, cała się niemal chwieje. Stasiowi bowiem dochodził już szósty rok, a za dwa tygodnie miała się rozpocząć nauka szkolna. Cofałowa widzi, że Staś także będzie musiał iść do szkoły, i lęka się, aby go tam nie bili i uczeniem nie dręczyli. Słyszała bowiem kiedyś, że

niektórzy ludzie od zbytniej uczoności aż poszaleli, boi się więc, aby się i Stasiowi trochę w głowie nie pomieszało.

Już dawniej przed owym czasem, w którym się dzieją wypadki naszej powieści, nastąpiła reforma czyli naprawianie szkół ludowych. Aż dotąd bywały po wsiach bardzo rzadkie szkoły, nauczycielem był byle kto, uczniów zaś miał w szkole tyle, wiele ich do niej chciało uczęszczać, a za zapłatę pobierał co mu kto dał. Wtenczas też ledwie czwarty lub piąty ojciec posyłał swe dziatki do odległej bardzo często szkoły, a za każdego ucznia zawsze w sobotę oddawał jeden czeski i polano drzewa. Zresztą po szkołach takich uczono tylko w zimie; w lecie nikt do szkoły nie chodził; nauczyciel szukał innego zatrudnienia i jeżeli nie miał roli, prowadził zwykle jakie rzemiosło.

Koło roku 1770 wydano nowe ustawy: Gdzie było probostwo czyli fara, tam musiała także być szkoła; nauczycielem mógł być tylko ten, który przez egzamin wykazał zdolność do uczenia; za to wyznaczono nauczycielowi niewielką wprawdzie płacę, ale jak na owe czasy zupełnie wystarczającą, do szkoły zaś musiało uczęszczać każde dziecko bez wyjątku od roku szóstego aż do dwunastego.

Ta ustawa, acz nader pożyteczna i ogłoszona ogólnie, jednak nie weszła wszędzie w życie; po mniejszych wsiach, osobliwie zaś gdzie nie było fary lecz tylko kościół filialny, nie została ta ustawa należycie przeprowadzona i w takowych miejscach jeszcze długo pozostały starodawne zwyczaje.

Tak było i w Kukliku. Tam uczył w swoim mieszkaniu już przez czterdzieści lat inwalida, czyli

łagodnie i znaczenie komendy jasnymi słowy tłómaczył. Skoro Niezdara usłyszał dźwięki ojczystego języka, zaraz oprzytomniał, słuchał, pojmował i niektóre ruchy i obroty szczęśliwie wykonał. Niezdara był szczęśliwy przekonawszy się, że nie jest rzeczą dla niego niemożliwą nauczyć się mustry; twarz mu się wypogodziła i w oczach już mu się nie ćmiło; spojrzał z wyrazem niewymownej wdzięczności na oficera; lecz nagle zachwiały się pod nim nogi i broń wypadła mu z ręki, spostrzegł bowiem, że tym życzliwym i łaskawym dla niego oficerem jest jego były współuczeń Adam Cichy. Franciszek ledwie nie zemdlał.

Adam, który już przedtém swojego dawnego szkolnego kolegę był poznał, domyślał się przyczyny jego strachu i rzekł:

„Nie bójcie się, krajanie, przeze mnie nic się wam złego nie stanie; owszem przekonacie się, że chcę się wam stać pożytecznym, gdzie tylko mogę i jak mogę.“

„Boże, jakaś Niezdara, ja wam nigdy nic dobrego nie uczyniłem — jam wam nieraz podkładał do upadku nogi, a wy tacy łaskawi!“

„To był nierozumny, dziecinny czyn, za który odebraliście porządną karę, terazbyście tego z pewnością nie uczynili.“

„Ja z was szydziłem w waszój najsmutniejszej chwili i pokazywałem wam kawałki buchty.“

„Za to musieliście stać pod osłem.“

„Mój ojciec was oddał do wojska.“

„Taka była Boża wola i to stało się przyczyną mojego szczęścia. Nie mówmy o przeszłości, lecz o teraźniejszości. Jesteśmy krajanami i pochodzimy oba ze stanu rolniczego; jest tedy rzeczą słuszną, abyśmy so-

stary wysłużony wojak, według swęj metody i według swego sposobu. Uczyl tylko w zimie, wybieral czeskie i drzewo, a w lecie robil, czyli jak tam mówiono, trzaskal cęglę. Wprawdzie człowiek ten sam umiał nie wiele; ale kto pilnie chodzil do szkoły, nauczył się przecież czytać, trochę pisać i cokolwiek rachować. Najgorszą jednak rzeczą było dla niego to, że się na muzyce wcale nie znał, a więc i na organach grać nie potrafił, tak iż ksiądz na nabożeństwo zawsze z sobą wozil organistę z Jaroszowa, a co starego żołnierza nie mało martwiło.

Raz zwierzył się z tém i wspomniął o swoim kłopotcie komus w mieście, a jakiś urwisz wmówił w niego, że na to jest łatwy środek. Figlarz ten opowiadał, że w Krakowie *na Straconej ulicy* mieszka w jednym domu niejaki *Niebywalski*, a ten do organ robi *kluki* czyli „raczki“. Za pięć reńskich przymocuje on taką klukę do organ, a potem trzeba nią już tylko obracać jak kołowrotkiem, aby wszystko zagrać. Stary żołnierz uwierzył, pochwalił się z tém gdzieś we wsi i miał ztąd pośmiewiska i szyderstwa aż do śmierci. Nawet całemu Kuklikowi narobił tém watydu, bo daleko po okolicy opowiadano sobie, że w Kukliku będą mieli *klukę* przy organach.

Byłoby się mogło zdawać, jakoby sprawa szkolna umyślnie dla Kuklika została była poruszona, tak ona tam była palącą.

Wkrótce przyjechał do Kuklika jeszcze jakiś świecki urzędnik i powtórzył to samo, co ksiądz dziekan, tylko może nie tak gładkimi słowy, bo zaraz rodzicom groził karą i aresztem. Zarazem dodał ten pan, że nowemu nauczycielowi wyznaczona została dostateczna płaca

i że od świętego Michała przybędzie do Kuklika jako nowy nauczyciel dotychczasowy pomocnik w Jaroszowie; byłemu zaś staremu nauczycielowi wyznaczono pensya.

Skutkiem tych wypadków powstało w Kukliku wiele mów rozmaitych, a ponieważ każda nowość trafia na opór, odzywały się i w Kukliku głosy tym nowościom nieprzyjaźne.

Cofała wszystko chwalił, a przyszedłszy z zebrania gromady, opowiadał domownikom, o czém tam była mowa, i oświadczył ze stanowczością u niego rzadką, że Staś od świętego Michała do szkoły chodzić musi.

Cofałowa byłaby się chciała z małżonkiem sprzezać, lecz tą razą nie mogła. Sama bowiem była w kościele i słyszała wszystko na własne uszy co ksiądz dziekan mówił. Była więc przekonana o prawdziwości słów mężowskich i widząc stanowczą konieczność, poczęła płakać, a Stasia ścisnęła i całowała, jakoby miał iść na wojnę. Chłopiec mniemał, że tu chodzi może o jego życie, rozplakał się i od téj chwili dla niemałej ulgi Macieja stał się trochę pokorniejszy i grzeczniejszy.

Na drugi dzień wysłała Cofałowa Teresę do wsi na zwiady, co ludzie mówią o nowym rozporządzeniu. Teresa przyniosła dla Cofałowej nie bardzo pocieszające wieści mianowicie te, że wszędzie czynią przygotowania, aby od św. Michała posyłać dzieci do szkoły. Dopiero po otrzymaniu tych wiadomościach poddała się Cofałowa losowi i tylko tego się obawiała, aby nauczyciel Stasia nie bił i uczeniem nie dręczył.

Jój obawę uspokoił poniekąd Maciej; opowiadał on bowiem, że w Cisawej chodził półtora roku do szkoły i uczył się z książki i na tablicy. Chłubił się,

bie nawzajem pomagali. Zatem ja popróbuje was uczyć i przyczynię się do tego, abyście we wojsku osiągli tyle, ile w ogóle osiągnąć możecie.“

Poczem podał oficer rękę rekrutowi i wezwał go do siebie na odwiedziny. Niezdara przyjął naturalnie chętnie takie zaprosiny i szczęśliwy powrócił do koszar.

Żołnierze nie mogli się całej téj sprawie nadziwić, i Niezdara zyskał w ich oczach niemało na znaczeniu i powadze. Jednak jeszcze więcej się dziwili, kiedy za kilka dni się dowiedzieli, że Niezdara będzie u kapitana sługą czyli jak tam mówiono, „prywatnem“.

X.

Minęły trzy lata. Młody Niezdara przez cały ten czas nie dał wiadomości o sobie. W Prawocinie dziwili się ludzie, że „Niezdarów wojak“ ani o pieniądze nie pisze, a to, czemu się ludzie dziwili, stało się dla rodziców wielkim żalem. Stary Niezdara się martwił, a matka, której milaczkiem był Franciszek, ledwie sobie oczu nie wypłakała i narzekała, że się ich nawet własne dziecko wstydzi, odkąd w biedę popadli.

Aż po trzech latach, kiedy się już u Niezdary nic podobnego nie spodziewali, nadszedł list. Był pięknie złożony i jak się było można domyslać z adresu, pięknie i dobrze napisany. Radość była wielka: matka płakała, a ojciec drżąc na całym ciecie, poszukał okularów, wsadził je na nos i zaczął czytać. List był obszerny i dla ważności jego treści podajemy go tutaj tak, jak dosłownie brzmiał:

że to nie wielka sztuka nauczyć się czytać i pisać, i oświadczył, że pan nauczyciel przez cały ten czas źle na niego nie spojrział. Maciej sądził, że nowy nauczyciel, który od św. Michała rozpocznie w Kukliku naukę z dziećmi, też nie będzie gorszym jak cisawski i że się nie ma czego obawiać. Nadto chciał ze Stasiem chodzić do szkoły, pomagać mu w nauce, powiadać i pokazywać, słowem dbać o to, aby się chłopcu żadna nie stała krzywda.

Cofałowa temi chłopca słowy pocieszona odetchnęła, ulżyło jej się jakoś na sercu, a od radości byłaby Maciejowi wyświadczała największe dobrodziejstwa. A kiedy Teresa dodała, że dzieciom szkoła nie szkodzi, bo są spokojniejsze i grzeczniejsze, wtedy już wszelki opór Cofałowej został złamany.

Stało na tém, że Staś od św. Michała pójdzie do szkoły, a Maciej mu będzie we wszystkiem pomagał.

VIII.

W poniedziałek po św. Michale rozpoczyna się w Kukliku nauka szkolna. Z rana po śniadaniu wychodzą dzieci szkolne prawie z każdego mieszkania i również od Cofałowej.

Staś ma buty z cielęcjej skóry, wysokie aż po kolana, piękne spodnie, kamizelę, koło szyi czerwoną chustkę, a na głowie „baranicę“. W jednej ręce niesie książki, za drugą prowadzi się z Maciejem. I Maciej jest porządnie ubrany i ma pod pachą torebkę z trzciny uplecioną, czyli tak zwany sotorek, w którym obok książek leży zawinięty w chustce wielki kawał chleba

i dwie twaróżki, czyli jak indziej mówią gomółki, na obiad. Idą sobie spokojnie, a Maciej każdego dorosłego wita w drodze staropolskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Ludziom się taki zwyczaj bardzo podoba, każdy wita chłopców i mówi: „Witajcie, dziatki!“

We szkole teraz jest bardziej chędogo, niż to dawniej bywało. Są tam nowe okna, nowe ławy, nowa podłoga, nowa tablica; ściany pięknie pobielone, a na jednej z nich znajduje się wizerunek Zbawiciela. Pan nauczyciel jest jeszcze młody, bardzo grzeczny, każdego ucznia pyta o imię i nazwisko i do każdego mówi kilka słów uprzejmych.

Miedzy innemi pyta także Stasia i Macieja, jak się nazywają, i usłyszawszy, że są od Cofały, staje się dla nich jeszcze grzeczniejszym i rozmowniejszym. Mianowicie Stasiem wiele się zajmuje i różnie go chwali. Ale Staś patrzy zachmurzony w ziemię jak zbój i na różne zapytania nic nie odpowiada. Pan nauczyciel przecie go chwali i mówi, że jest ładny chłopiec.

Nie ma się czemu dziwić. W przeddzień rozpoczęcia nauki była we szkole stara Teresa, przyniosła panu nauczycielowi kulę masła, pół kopy gomółek i kopę jaj z prośbą od gospodyni, aby Stasia nie bardzo dręczył nauką. Nauczyciel czuł się temi słowy obrażony; odrzekł, że nie jest tyranem i że się z dziećmi umie obchodzić; i aby dowieść, że rzeczywiście tak sobie postępuje jak mówił, obchodzi się ze Stasiem prawdziwie jak z malowanym jajem.

Aczkolwiekby Maciej mógł już zasiąść w tyle między starszemi dziećmi, zostawia go nauczyciel tymczasem między początkującymi na przodku, aby Stasiowi

Najkochańsi rodzice!

Wiem dobrze, że już dawno z niecierpliwością, a może nawet z pewnym żalem czekacie wiadomości ode mnie, ale wiercie mi, że ja z daleko większą niecierpliwością czekałem chwili, w którejbym mógł do Was pisać i wiadomość o sobie przesłać. Atoli nie jest Wam tajno, jako się w szkole uczyłem i że w pisaniu ledwie tak daleko doprowadziłem, aby móżdż i to z wielką trudnością podpisać swoje nazwisko. Z taką biegłością nie mogłem się odważyć na pisanie listu, a ponieważ nie chciałem cudzemu pióru powierzyć tego, com chciał pisać do Was, kochani rodzice, przeto musiałem zaczekać, aż się nauczę lepiej pisać i po części wynagrodzę to, com w szkole zaniedbał.

Aby Wam wszystko opowiedzieć, jak mi się powodziło przez te trzy lata, muszę rozpocząć opowiadanie od samego początku.

Kiedy mnie wzięli do wojska, nie wiele o to dbałem, owszem cieszyłem się, że odejdę daleko z domu, gdzie mi się mianowicie to nie podobało, że już nie byłem więcej synem z gruntu. O tém, że Wy, kochani rodzice, już się starzejecie, i żebyście dla lżejszego życia potrzebowali méj ręki pomocniczéj, o tém ani nie pomyślałem. Tak zdziczały i na pół wyrodny był mój umysł, czego teraz z serca żałuję. Ale wkrótce doznałem wiele złego, osobliwie kiedy się rozpoczęły ćwiczenia wojskowe czyli, jak tu mówią, egzercyrka. O jakże każdy grzech już tu na świecie odnosi zasłużoną karę! Ja przynajmniej doświadczyłem tego na sobie. Ponieważ chodziłem niedbale do szkoły i nie chciałem się uczyć, pozostały moje zdolności bez wszelkiej wpra-

w szkole nie było tęskno. W ogóle Stasiowi niejedno się płazem puszcza; może on się rękoma na ławie bawić, nogami dzwonić, Macieja szturchnąć, rozmawiać z nim kiedy chce, wychodzić na dwór, a jeżeli czasem uśnie, nikt go nie budzi. Chłopcu się w szkole podoba: podczas nauki robi co chce, w południe kiedy uczniowie jedzą swój chleb, a nauczyciel obiada, figluje sobie i dokazuje z chłopcami; w drodze ze szkoły także mu wesoło; w domu czeka zawsze na niego jakiś dobry kasek, przygotowany przez troskliwą matkę, która gdy swego ulubieńca cały dzień nie widzi, nie może się potem dosyć z nim napieścić. Czyż Stasiowi wówczas mogło być lepij?

Ale wszystko na świecie ma swój koniec — skończyła się i cierpliwość nauczyciela. Staś dalej robi figle w szkole i przeszkadza drugim. Tak dłużej przecież rzeczy nie mogą pozostać. Nauczyciel też już inaczej postępuje sobie ze Stasiem; napominał uczniów, aby każdy był cicho i przystojnie się zachowywał, swawolnym i rozpustnym dzieciom grozi karami i pokazuje léskowy pręt. Staś myśli, że na niego nigdy kolój nie przyjdzie, i chciałby dalej figlować w szkole po staremu. Lecz nauczyciel patrzy na niego surowo, woła na niego po nazwisku i grozi léskowym prętem.

Stasiowi już się w szkole nie podoba, nie może tam wytrzymać od nudów i wolałby być w domu przy mamie. Umie już także tak zrobić, aby do szkoły nie iść, bo ma przebiegły rozum. Rano kiedy wstanie a do szkoły iść mu się nie chce, zaraz go coś zaboli: boli go głowa, boli go brzuch, chłopiec narzeka, a matce serce mięknie. Zbliża się zaraz do jego łóżka i pociesza go: „Cicho, cicho, nie pójdziesz do szkoły!“

Cofałowa chciałaby, aby i Maciej nie szedł do szkoły; wie bowiem dobrze, że za chwilę Staś wyjdzie z pościeli i nie będzie się miał z kim gonić; dla tego życzyłaby sobie, aby Maciej pozostał w domu. Lecz Maciej oświadcza stanowczo, że do szkoły iść musi, aby według przepisu oznajmić, że Staś jest chory, bo inaczej mógłby być stąd jaki kłopot. Cofałowa nie chce, aby był kłopot, i dla tego nie broni Maciejowi iść do szkoły. Atoli Staś samotny w domu się nudzi i na drugi dzień znowu idzie z Maciejem do szkoły.

Maciejowi jest teraz lżej i lepiej i dziękuje Najświętszej Pannie i Aniołowi Stróżowi, że mu przez swoją przyczynę u Boga uzyskali znośniejsze życie. Już siedzi między doroslejszymi uczniami i ma od Stasia zupełny spokój. Po nauce musi w domu od Stasia wprawdzie jeszcze nie jedno ponosić, lecz już nie dba o to, skoro dręczenie to nie trwa cały dzień. Nadto cieszy Macieja nauka niezmiernie i robi on w szkole wielkie postępy. Z chłopców nie wyrówna mu żaden, a z dziewcząt tylko Przetakowa Maryna, jedyne dziecię smolarza, może z nim współzawodniczyć. Nauczyciel może się na Macieja spuścić, a na co nikt odpowiedzieć nie potrafi, to odpowiedzą zawsze Maciej i Maryna.

Do szkoły przyjeżdża często ksiądz wikary z Jaroszowa. Ilekroć w kościółku św. Jakóba odprawia mszę św. lub jaki obrządek kościelny, albo zaopatruje chorego, zawsze wstąpi do szkoły; nadto przychodzi regularnie każdy tydzień raz po południu. Wykłada artykuły wiary św. i o dobrotliwym Bogu i Zbawicielu ślicznie i wzruszająco opowiada. Działki cieszą się na jego przybycie i słuchałyby go cały dzień. Kiedy się

matka w Prawocinie. Uczyła go pobożności, czystości, oszczędności, posłuszeństwa, które to wszystkie cnoty dobrze się w sercu jego przyjęły. Żadne inne dziecię nie umiało tylu pięknych modlitw na pamięć, jak Adam; żaden uczeń w szkole nie miał tak czystych rąk, nóg i twarzy jak on; niczego na sobie nie zabrudził i nie pogniótł; a w niedzielę zdziewał ze siebie koszulę białszą, niż inni chłopcy takową wdziewali. Boży dar miał w uszanowaniu i żadne dziecię we wsi nie umiało się przyzwocić od niego zachować przy jedzeniu. Do posługi i do posyłki był prędki jak wiatr i z oczu prawie czytał, co trzeba czynić. Skutkiem takich przymiotów powodziło mu się we szkole wybornie.

Pani nauczycielowa obawiała się, że będzie z nim miała wiele trudności, nim się wprawi w nowy sposób życia, lecz się w tym względzie grubo omyliła. Adam zawsze okazał się takim, jakim go jego dobrodziejka mieć sobie życzyła; była więc z niego bardzo zadowolniona i cieszyła się, że Adama w dom przyjęli.

Nie mniej zadowolony był nauczyciel. Wprawdzie on już dawniej znał Adama jako pilnego i zdolnego ucznia, ale tyle pilności i bystrości rozumu nie byłby się po nim spodziewał. Adam uczył się we szkole i w domu z nieustającą wytrwałością i czynił zadziwiające postępy w różnych pożytecznych wiadomościach. Pisał tak jakoby drukował, czytał jakoby kazanie miał, a w rachunkach i innych naukach, które wtenczas w wiejskich szkołach wykładano, równał się prawie samemu nauczycielowi. Nadto uczył się muzyki, grał na fortepianie i na skrzypkach i śpiewał z nut wybornie. Jest to prawie nie do uwierzenia, czego i ile Adam nauczył się przez tych kilka lat; co zaś

ksiądz wikary pyta o to co powiadał, odpowiadają uczniowie dobrze, lecz najlepiej Maciej i Maryna. Tylko Staś siedzi jak mruk i nie umie ani ust otworzyć; nie lubi on także księdza wikarego, ponieważ podczas jego nauki musi jeszcze ciszej siedzieć, niż podczas nauki nauczyciela.

Minęła zima, minęła wiosna, a w Kukliku ma nastąpić egzamin czyli jak tam mówią „szkolna wizytacja“, i to już w krótkim czasie, bo za tydzień. Nie bywało tam dawniej wizytacyi i uczniowie chodzili na egzamin do Jaroszoła. Latoś zaś chce ksiądz dziekan przybyć osobiście do Kuklika; doszły go bowiem wiadomości, że nowy nauczyciel bardzo dobrze uczy, i ksiądz dziekan ma nadzieję, że się ucieszy z postępów dzieł.

Dla uczczenia i powitania zacnego i dostojnego gościa poczyniono wielkie przygotowania i wszystko udawało się bardzo dobrze. Szkoła była czysta jak pieścidełko, na ścianach wisiały wieńce z kwiatów polnych, a krzesło, na którym ksiądz dziekan miał siedzieć, zostało pokryte wielkim czerwonym, kwiecistym kobiercem. Działki w świątecznym stroju stały długim rzędem po obu stronach drogi przed szkołą, na ich czele nauczyciel, a obok niego wójt z radnymi. Wszyscy spoglądają w stronę ku Jaroszowu gdzie odbyła się wizytacja przed południem i skąd ksiądz dziekan ma przybyć.

Pan nauczyciel chciałby dla siebie pozyskać względy księdza dziekana i dla tego postarał się także o muzykę. Przez krótki czas swego pobytu w Kukliku uczył niektórych doroślejszych uczniów muzyki, aby z czasem utworzyć własną kapelę wiejską. Nie masz ich wielu, ale zdaje mu się, że się już może odważyć na

intradę i że to jakoś będzie. Jeden z tych młodych muzyków gra na klawernecie, dwóch na trąbach, a jeden na waltorni. Chałupnik Dobosz zaś, który bywał kiedyś we wojsku doboszem, został także do nich przydzielony i trzyma przez ramię powieszony turecki bęben i pałkę w ręku. Muzyka stoi cokolwiek na boku, aby jój zaraz dostojny gość nie ujrzał i aby się w ten sposób niespodzianie odezwała.

Nareszcie zaturkotała z daleka kolasa, na wieży dzwonią, ksiądz dziekan jedzie. Lecz nie jedzie sam: obok niego siedzi zastępca kolatora, a naprzeciw obudwóch Jaroszewski wikary, ksiądz katecheta. Skoro zobaczyli dziatki w rzędzie ustawione, wysiedli z powozu, aby się przypadkiem konie nie spłoszyły i nie stało się jakie nieszczęście.

Nauczyciel kłania się dostojnym gościom i wita ich mową dobrze ułożoną. Potém daje znak, a muzyka zaczyna grać, ale jakoś jój się nie powodzi. Chłopcy trąbią każdy inaczej, dobosz bije, a raczej wali w bęben z całej siły, powstaje kocia muzyka — aż uszy bołą. Zastępca kolatora, sam bardzo muzykalny, zatyka sobie uszy; ksiądz wikary złożył ręce i skinął kilka razy, aby przestano. Muzykanci nie wiedzą, co czynić, ale wójt wybawił ich z kłopotu. Jemu się zdaje, jakoby księdzu wikaremu było za wiele tego zaszczytu i że dla swój skromności i pokory zabrania grać więcej. Skoczył więc do muzykantów i zachęcając ich do tém mocniejszego grania, woła: „Chłopcy trąbcie, co wam sił starczy, ta cześć słusznie się księdzu Dobrodziejowi należy.“ I znowu rznie muzyka, aż włosy na głowie stawają.

Lecz jakkolwiek muzyka nie powiodła się bardzo

wy, niewycwiczone i niewykształcone i byłem jakoby w ciemę bity. Dla tego nie mogłem spamiętać ani pojąć mustry, chociaż się kapral ze mną namęczył aż do omdlenia. Już myślałem, że się egzercyrki do śmierci nie nauczę i stałem się pośmiewiskiem drugih żołnierzy, w tym względzie szczęśliwszych ode mnie. Już byłem blizki rozpaczy i raz przyszła mi nawet myśl do głowy, aby skoczyć w rzekę, ale anioł stróż natchnął mnie inną myślą i przypomniał mi to, co ksiądz proboszcz raz w szkole opowiadał, że Bóg ufających w nim nie opuszcza. Temu anielskiemu natchnieniu uwierzyłem i pierwszy raz w życiu zacząłem się szczerze modlić do Boga. Jeden oficer naszego pułku nadszedł pewnie za zrządzeniem Bożkiem właśnie w chwili, kiedy się kapral ze mną męczył i niczego mnie nauczyć nie mógł. Widząc mnie nieboraka zmęczonego i na pół omdlałego, zlitował się nade mną i przyjął mnie za sługę do siebie. Dwa lata przepędziłem u tego dobroczyńcy nadesłanego mi od Boga, a on w przeciągu tego czasu wyświadczył mi tyle dobrodziejstw, żeby ich ani wyliczyć nie można. On mnie zwrócił na dobrą drogę, prowadził nią do dobrego i nauczył mnie różnych wiadomości niezbędnych w moim stanie. Mogę się pochwalić, że znam doskonale powinności chrześcijanina, obywatela i żołnierza; umiem dokładnie czytać i pisać, lubię czytać książki i wiele dobrych i pożytecznych rzeczy z nich się już nauczyłem. Egzercyrka idzie mi łatwo i sam już drugih uczę. Albowiem po dwuletniej nauce i prowadzeniu mnie oddał znowu mój dobroczyńca do pułku, gdzie w krótkim czasie zostałem kapralem i mam nadzieję, że jeszcze za pomocą Bożką większe stopnie osiągnę.

świetnie, to natomiast egzamin udał się jak najlepiej. Działki odpowiadają z religii aż miło, czytają i rachują dobrze, a co im się podyktuje, piszą dosyć szybko. Goście są zadowoleni, chwalą nauczyciela i działki i zachęcają do wytrwałości. Największą pochwałę otrzymały Maciej i Przetakowa Maryna; dał im ksiądz wikary w nagrodę za pilność po pięknym obrazku, do czego zastępca kolatora dodał jeszcze po srebrnym reńskim. Staś, który podczas egzaminu drzemał, nie otrzymał.

Maryna bierzy cała uradowana do domu, pokazuje co dostała, a ojciec cieszy się z nią społem; matka jej bowiem już była umarła. I Maciej bieży do domu, pokazuje co mu dano, lecz tam nie cieszy się z nim nikt.

„A co dostał Staś?” pyta się Cofałowa, a oczy jej się świecą od złości.

A Staś z bekiem odpowiada: „Mnie nie dali nic!” Żle jest, a nawet gorzej, niż źle, bo Cofałowa unosi się złością. Gniewa się na cały świat, a osobliwie na panów, którzy byli przy egzaminie. Nauczyciela przezywa wierzciętą, dodając: „Masło, gomółki, jaja toby brał, — ale do śmierci mu już nie dam ani ziarnka maku!” Tak woła, a nareszcie oburza się na Macieja i bez litości z domu go wypędza.

„Tegoby jeszcze trzeba, kończy swoją mowę, aby dla jakiegoś tam żebraka i obieżyświata moje dziecię miało być pohańbione. Ani minuty nie będziesz pod moją strzechą! Wynos się i zaraz natychmiast idź, skądś przyszedł.”

W czasie tej burzy otwierają się drzwi i smolarz Przetak wchodzi do izby. Dowiedział się od Maryny,

że Maciej także nagrodę otrzymał, i zaraz przeczuwał i domyślał się, że się tam pewnie u Cofałowej ściągają chmury i zanoszą na burzę; przybył więc, aby być pośrednikiem. Udaje, jakoby tylko przypadkowo był przyszedł, i pyta, o co się gospodyni tak gniewa?

„Uważcie tylko, smolarzu, opowiada Cofałowa ciągle jeszcze rozgniewana, we szkole dali temu żebraczemu włóczędze nagrodę, a Stasiowi nie! A ja miałabym na coś podobnego być cicho? Doprawdy, nie byłabym chyba matką.“

„Ale że też to wy moja gospodyni na takich rzeczach lepiej się nie rozumiecie!“ uspakaja ją Przetak, udając jakoby się dziwił. To przecie bywa od dawna zwyczajem, że przy takiej sposobności daje się najuboższemu dziatkom jakąś drobnostkę. Jest to tylko jałmużna! Moja Maryna też jakąś lichotę przyniosła, czemu ja się nie dziwię, bo jest właśnie też takim łazarzem jak wasz Maciej. Stasiowi zaś nie wypadało przecież dać jałmużny! Toby mi był honor, gdyby ludzie mówili: Przetakowa Maryna i Cofałów Staś, smolarzowa córka i syn pierwszego gospodarza ze wsi zostali równie obdarowani. Czyby was to nie mierziło?“

Cofałowa słuchała, uspokoiła się jakoś, a wreszcie zgodziła się na wywody Przetakowe. Pochwaliła Przetaka, że się na wszystkiém tak dobrze zna, poprosiła go, aby usiadł, a kiedy odchodził, dała mu kawał „jasnego“ chleba tak wielki jak poćć słoniny. Wszakże przebiegła ta kobieta umiała rzecz tak ułożyć, że na drugi raz Maciej już nagrody nie otrzymał.

Na przyszły rok, właśnie tydzień przed wizytacją oświadczyła Cofałowa, że Maciej dłużej już do szkoły

Teraz dopiero cieszę się z życia i jestem prawdziwie szczęśliwy. Bez mego dobroczyńcy nigdybym się nie był ocknął i coby się było ze mną działo? Prawda, gdybym był zamłodu lepiej się prowadził i pilnie się uczył, byłbym się mógł obejść bez cudzej pomocy; lecz będąc pod każdym względem zaniedbanym, mogłem łatwo zginąć docześnie i wiecznie. Lecz przestanę już o tém mówić, aby się nie zdawało, jakobym Was, kochani rodzice, niemile chciał dotknąć lub wyrzuty Wam czynić. O jedno Was jednak proszę: idźcie do księdza proboszcza i przeproście go w mojem imieniu za wszystkie swawole, któremim go kiedykolwiek zasmucił. Udajcie się téż do pana nauczyciela i powiedzcie mu, że szczerze żałuję, iż moja niedbałość i rozpusta tak często aż do łez go zmartwiły; wszystkich zaś rodziców, którzy mają dziatki w szkole, pozdrówcie i prosicie ich ode mnie, aby o naukę i pobożne wychowanie swych dzieci jak najwięcej dbali i kosztów na to nie żalowali.

Za Was, kochani rodzice, każdy dzień się modłę i proszę Boga, aby Wam udzielił jak najdłuższego życia. Matce posyłam z oszczędzonych pieniędzy załączony podarunek. Była ona przyzwyczajona do kawy i nie chciałbym, aby była na stare lata zmuszona, odmówić sobie tego posiłku. Nadto dla wspólnej naszej radości zawiadamiam Was, że Was w Prawocinie na wiosnę z moim dobroczyńcą odwiedzę i że prawdopodobnie do tego czasu zostanę felfeblem. Lecz przed odwiedzinami będę jeszcze do Was pisać. Zostańcie z Bogiem, którego opiece Was i siebie oddaję.

Franciszek.

chodzić nie potrzebuje i że już czas, aby raczej na gruncie pracował. Stało się po jej woli; Maciej przestał chodzić do szkoły i tak został pozbawiony nagrody. Płakał dla tego biedny chłopiec, ale i Staś pomimo przebiegłego planu swjej matki nagrody nie otrzymał.

IX.

Maciej pracuje na gruncie już szósty rok i miło patrzeć na niego przy pracy. Wzrostu jest pięknego, a na twarzy jego jest tylko krew i mleko. Wystarcza mu to raz się jakiejś robocie przypatrzyć, aby ją zaraz potrafić; czego się dotknie, wszystko mu się uda. Kosa i cep chodzą mu prawie same, pługiem i radłem kieruje łatwo i robi bródę prostą jak linia. Ze starszym parobkiem Sikorą załatwiają wszystkie prace na gruncie, a Cofała już starzejący się ma niemałą z nich pomoc. Jest też Cofała dla Macieja bardzo względny i życzliwy, pięknie go przyodziewa i ciągle obcuje społem. Obaj chodzą po polu i radzą, gdzie i jak rolę uprawić, co zasadzić lub zasiać. Cofała nie tai się ze swojem doświadczeniem, poucza Macieja, jakie własności ma każdy kawałek pola, i tak go uczy, jakby to mówił do swego następcy, któremu jutro ma już oddać grunt. Na szczęście Cofałowa ich nie słyszy; i tak ona już krzywo patrzy na ich przyjaźń i tylko dla tego milczy, ponieważ pomimo swjej do Macieja niechęci widzi, że on jest na gruncie prawą ręką.

Staś już skończył szkołę, tylko że się nieborak niczego nie nauczył, ponieważ od owjej chwili, kiedy bez Macieja chodzić zaczął do szkoły, mało kiedy

w niej był. Z domu co prawda wysyłali go do szkoły każdy dzień, chyba, że się jaką chorobą od niej wymówił, — lecz pomimo tego rzadko we szkole bywał.

Zawiązała się bowiem w Kukliku spółka niegodziwych chłopaków, którzy zamiast do szkoły, chodzili gdzie indziej, a Staś był także pomiędzy nimi. Wiosną, w lecie i na jesień wałęsały się te chłopaki po lasach i tułały się po miejscach odległych, a najchętniej chodzili do lasu. Przynosili oni z domu bez wiedzy rodziców jaja, masło, mąkę, słoninę, do czego jeszcze czasem nazbierali grzybów, lub wybrali młode wrony. Potem zakładali ogień, piekli to sobie w lesie, smażyli, warzyli i różnie się tam bawili. Ku wieczorowi zaś wychodzili z kryjówki i szli do domu, jakby ze szkoły wracali.

Gorzéj wszakże było dla nich w zimie, kiedy mrozy nastały i śnieg pokrywał ziemię. Wtedy trudno im było włóczyć się po lasach. Znalazła się przecież inna wygodna kryjówka. Żyd Mosiek, o którym wieść głosi, że różną hałastrę u siebie przechowuje i za pół darmo kupuje różne rzeczy, nie pytając, skąd je ludzie wzięli — żyd Mosiek dostarczył im téj kryjówki. Miał on w swój karczmie w tyle po za sienią izdebkę i tam pozwolił tym chłopakom się zagnieździć. Wszakże całej téj bandy zepsutych tych chłopaków nie przyjął, bo dwóch chłopców, dzieci biednych chałupników, od których się wielkiego zarobku nie mógł spodziewać, wypędził. Właśnie przez tych chłopców wykryła się cała sprawa, bo wypędzeni ze zemsty wydali drugich, wskutek czego nauczyciel i szkolny dozorca odwiedzili tych ptaszków ukrytych w kryjówce u żyda.

Mosiek pociągnięty został do odpowiedzialności

przed wójta. Było mu tam bardzo gorąco i duszno, ale się jakoś umiał ze wszystkiego wykręcić.

„Ny, panie wójt,“ mówił i wykrzywił usta aż strach na wszystkie strony, „co ja biedny żyd mam robić? Ja w gminie tak tylko z łaski i muszę szanować panów wieśniaków. A kiedy przyjdą synowie panów siedlaków i chcą się u Mośka zagrzać: aj waj, czy może żyd powiedzieć, aby się wynosili?“

Jakoś się to żydowi na ten raz udało, ale chłopcom nie uszło na sucho. We szkole wprawdzie nie zrobiono im nic, ale posłano kartkę do rodziców i zażądano stanowczo, aby chłopaki surowo zostali pokarani.

Cofała po raz pierwszy w życiu popadł w złość i na nic nie zważając, Stasiowi porządnie wygarbował skórę. Staś ryczał jak wół, wszyscy domownicy uciekli z izby, Teresa ręce załamywała, a Cofałowa mdlała z bóleści. Najgorzej jednak wyszedł na tém sam Cofała, bo od zbytńskiego wzruszenia popadł w chorobę i już nigdy zupełnie nie wrócił do zdrowia, lecz od tego czasu cierpiał często na bicie serca. Staś zaś, który dla nierozważnego postępowania matki już i tak ojca lekceważył, od téj chwili taką czuł w sercu do niego nienawiść, że nie mógł bez gniewu nawet popatrzeć na ojca.

Staś przestał chodzić do szkoły, i ojciec nalegał, aby się przyzwyczaił do pracy polnej i do gospodarstwa. Stasiowi nie chce się pracować, a i matka sprzeciwia się temu; powiada, żeby się Staś mógł oberwać i nie rozwinąć się dostatecznie we wzroście i sile; że przecie Staś nie będzie robotnikiem, lecz gospodarzem, a gospodarzowi nie trzeba się pracą męczyć. Cofała spotykający się wszędzie z nieustannym oporem żony

i dręczony często własną chorobą, upadał na siłach i już niczemu nie przeszkadzał.

Staś nie nie robi, tuła się po wsi i często i pół dnia nie ma go w domu. Kiedy się ojciec o niego pyta lub go szuka, odpowiada zawsze Teresa lub Cofałowa: „Właśnie wyszedł, musi zaraz przyjść.“

U Cofały nie wiedzą, gdzie Staś bywa, ale we wsi różnie o tém mówią. Śnać bywa u Moška i schodzi się tam z towarzyszami daleko starszymi, a nawet z Tomaszem Kobiela. Co się tam u Moška dzieje, o tém nikt nie wie na pewno; lecz wiele dobrego pewnie nie, bo gdzie jest Tomasz Kobiela, tam się nic dobrego nie dzieje.

Tomasz Kobiela pozostał kiedyś we wsi jako chłopiec po komedyantach i stał się ciężarem dla gminy. Brali go różni ludzie na służbę, ale nigdzie długo nie przebywał, dla tego że nie przed nim obstać się nie mogło. Tak na służbach tylko klamki wycierał, aż nakoniec zniknął i tylko kiedy niekiedy w Kukliku się pojawił. Raz przyszedł obdarty i goły, to znowu przyodziany jak pan i miał pieniędzy pełne kieszenie; jeżeli go zaś jaki znajomy w świecie gdzie spotkał, trafił go zawsze w towarzystwie handlarzy koni lub ludzi jeszcze bardziej podejrzanych. Wszakże od jakiegoś czasu bywa Kobiela w Kukliku częściej i mieszka u żyda Moška.

Cofała nic nie wie, gdzie Staś bywa i z kim obcuje, a przecie się niepokoi, przygniata go jakieś brzemie troski i budzi się w nim pewne podejrzenie. Był on na śpichrzu i spostrzegł, że kupy zboża były naruszone, tak samo poznał, że stóg wytartego lnu pochylił się na jedną stronę. Od początku swego gospodar-

stwa nie podobnego mu się nie wydarzyło. Dziwne myśli roily mu się po głowie, nie ma spokoju i ani jeść, ani spać nie może. Wstaje w nocy i patrzy, czy Staś jest w pościeli, znajduje wszakże próżne łóżko. Przełknięty ojciec chwieje się, wdziewa na siebie kożuch i wychodzi z domu. Idzie szukać Stasia; nie wie wprawdzie, dokąd iść, ale jakieś złowrogie przecucie mówi mu, aby szedł do karczmy Moskowej. Na dworze jest ciemno jak w miechu, ale drzwi u żyda są otwarte. Cofała wchodzi do sieni, przechodzi nią ostrożnie i wchodzi na brudne podwórze, na które wychodzi okno wiadomój tylnój izdebki. Okno to nie jest zasłonięte i widzieć przez nie dobrze, co się w izbie dzieje.

Koło stołu siedzą karciarze, palą fajki i popijają ze wspólnej blaszanej miarki. Grają w ćwika dosyć wysoko i z labetami, raz wygrywa ten, raz ten, a pieniądze leży na stole cała kupa. Tomasz Kobiela i Staś siedzą twarzami zwrócenii do okna i Cofała poznał obydwóch na pierwszy rzut oka. Nieopisany żal i ból ogarnęły serce ojca, chwieje się na nogach, czoło go pali, a serce bije jak młot.

W téj chwili wpadł Staś w labet i w gniewie silnie uderzył kartą o stół. Lecz zaraz przyskoczył Mosiek, który się koło graców kręci jak zły duch czyhający na dobrą duszę, i z szyderym uśmiechem podsuwa mu pieniądze.

„Ny, dla czegoż zaraz hurdy burdy?“ kiwa się żydzisko i uspakaja Stasia. „Taka bagatela nie będzie pana Stasia zabić; pół koreczka pszenicy będzie wszystko załatwić!“

Biedny ojciec za oknem ledwie może stać na nogach od gorzkiego żalu i wyrzutów sumienia. Ale na-

raz wchodzi do sieni i za jedném uderzeniem pięści drzwi pokoju otwarły się na oścież.

„Zbrodniarze! nikczemnicy!“ zagrmiał głosem strasliwym. „Czyż wy się nie boicie Boga wszystko wiedzącego?“

Zapaleni gracze wypuścili z rąk karty, oglądają się na drzwi i siedzą jak gromem rażeni, a Staś z miejsca się nie rusza. Jedyne Mosiek podszedł kilka kroków naprzód i uśmiechając się szyderczo do biednego Cofały, z zuchwałym bezwstydem zawołał:

„Powoli, powoli, panie Cofała! Drzwi jest mój!“

„Ty wichłaczu djabelski, ty morderco nieśmiertelnych dusz, wara!“ zagrmiał ojciec uniesiony sprawiedliwym gniewem i pięścią toruje sobie drogę do Stasia.

„Wyrodny synu! bezbożne dziecko!“ woła z piersi targanej bólem, a łzy gorące spadają na stół skalany grzechem syna. „Takowemi to chodzisz drogami i krwawy pot pracy ojcowskiej djabłu nosisz na ofiarę?“

„Wszak ja waszego nie trwonię,“ odpowiada Staś i złowrogie błyskawice strzelały mu z oczu. „Waszego nic nie ma, boście na grunt nic nie przyniesli.“

Cofała słyszał takie słowa często z ust małżonki i były one każdą razą dla jego serca ostrym mieczem; lecz usłyszane z ust wyrodnego syna stały się dla niego śmiertelną raną.

Jak gromem rażony chyli się nieszczęsny ojciec w tył, chwytając za serce obiema rękami, z bolesnym krzykiem woła: „Jezus Marya!“ i pada na ziemię. Chwilę jeszcze zachowuje pamięć i przytomność i ciężko oddychając woła: „Boże! Sprawiedliwe są sądy twoje! Taka jest zapłata dla wszystkich słabych i zbyt po-

błazliwych ojców od czasów Helego aż po dziś dzień!“
Co wyrzekłszy, padł bez przytomności.

Przyskoczył Mosiek, przyskoczył Tomasz i drudzy, aby trzeźwić zemdląłego. Po długich staraniach wreszcie udało się Cofałę dotrzeźwić tak dalece, że otworzył oczy, lecz nie miał w nogach władzy ani sił do powstania.

W takim stanie zanieśli nieszczęśliwego do własnego domu.

X.

Zeszło Boże słońeczko, niebo jest jasne jak oko, zdaje się, że będzie śliczny dzień jesienny, a dzwony u świętego Jakóba w Kukliku rozbrzmiewają radosnym głosem. Lecz coś naraz znaczy srebrny głos kościelnego dzwonka? Na Aniół Pański dzwoniono przecież już przed godziną, musi to więc coś innego zapowiadać. Tak też jest rzeczywiście — w Kukliku będzie msza święta. Jaroszowski ksiądz wikary był w nocy z Panem Jezusem u chorego, pozostał u niego prawie aż do świtania i zatrzymał się w Kukliku, aby z nadejściem dnia odprawić najświętszą ofiarę o szczęśliwą godzinę śmierci dla biednego umierającego. Ponieważ po wyjściu od chorego ksiądz wikary widział, że do nadejścia dnia była jeszcze dość znaczna chwila, wstąpił do nauczyciela, lecz nie położył się już na łóżko, chociaż mu je ofiarowano. Pozostał w rewerendzie i odmawiał brewiarz, aż słońce zeszło na niebie.

Nie po raz pierwszy działo się to w Kukliku i dla tego Kukliczanie zaraz zrozumieli, co znaczy to dzwonicie. Cieszą się, że będzie w kościele msza święta,

i kto tylko może, spieszy do kościoła. Lecz wszyscy pytają się, ktoby był tak niebezpiecznie chorym, że aż w nocy kapłana do siebie musiał wzywać. Bo o żadnym tak niebezpiecznie chorym nie wiadano w całym Kukliku. Wszakże nie długo pozostało tajemem, kogo Bóg tak ciężką nawiedził chorobą.

Kościółek w Kukliku pobożny ludek napełnił prawie po brzegi; śpiewa piękne pieśni na pamięć i pobożne oczy zwrócone ma na kapłana, który w uroczystym ubiorze kościelnym, piękny jak anioł Boży, stoi przy ołtarzu i pobudza wiernych do pobożności. Po mszy świętej ukląkł kapłan na najniższym stopniu ołtarza, modli się za osobę ciężko chorą, a wszyscy łączą swe modlitwy do modlitwy kapłana, chociaż dotąd nie wiedzą, za kim Boga proszą.

Jeszcze się ksiądz wikary rozebrawszy się z szat kościelnych modlił przed krzyżem w zakrystyi, gdy przybiegł do niej Sikora, służący Cofałów, z wielkim płaczem, tak że od łkania ani mówić nie mógł, po co przybiegł. Ale ksiądz wikary zaraz się domyślił, co się u Cofałów stało, i rozkazał staremu kościelnemu, aby zmarłemu Cofale zadzwonił dzwonkiem dla konających.

Już nie jest we wsi tajemnicą, kto został w nocy zaopatrzony świętymi sakramentami, każdy się żegna i dziwi, że Cofała tak nagle umarł. Mężczyzni i niewiasty wybiegają z mieszkań, a zatrwożeni i pomiészani tym nagłym wypadkiem wołają na wszystkie strony: „Cofała nie żyje, Cofała umarł!“ Mężczyzni posmutnieli, kobiety płaczą głośno, bo wszyscy znali Cofałę od młodości, i nikt nie pamięta, żeby niebożczyk ko-

gòkolwiek był ukrzywdził. Jego dobra sława idzie z ust do ust i każdy coś dobrego o nim mówi.

„Mój Boże, czémże jest człowiek na świecie?“ mówi poważnie Knotek, najstarszy gospodarz we wsi „Wczoraj widziałem go jeszcze i mówiłem z nim, a dzisiaj już nie żyje. Co się to mogło stać?“

„Śmierć przychodzi jak złodziej, kiedy się człowiek ani nie spodziewa,“ mówi drugi, który właśnie nad-
szedł do zgromadzonych włóścian. „Oto mówiłem z Antonim, czeladnikiem Cofałowym, a ten mi opowiedział coś tak piąte przez dziesiąte. Jeszcze przy wieczerzy Cofała był zdrów, a za jakie dwie godziny tak mu się źle zrobiło, że i lekarz i ksiądz był potrzebny. Przybyli obaj razem; lekarz ujął chorego tylko trochę za rękę, obejrzał piersi i oświadczył otwarcie, że tu ludzka pomoc nie nie poradzi, bo Cofale pękło serce.“

„Boże, zmiłuj się nad nami!“ wołał stary Knotek, dziwiąc się ogromnie opowiadaniu sąsiada. Kiedy komu serce pęknie, bywa śmierć nagła; czy się też niebożczyk mógł jeszcze z Bogiem pojednać?“

„Przecież Cofała był gorliwym katolikiem,“ odpowiada drugi, „a takiego Bóg w ostatniej godzinie nie zostawi bez pociechy, lecz posili go chlebem zbawienia na tę daleką drogę. Pięknie się śnać niebożczyk na śmierć przygotował. Kiedy przyjął Najświętsze Ciało Pana Jezusa i ostatnie namaszczenie, skinął na domowych, podawał im rękę i wszystkim, osobliwie zaś Maciejowi dziękował głosem już słabym i często przerywanym za życzliwość i wierną służbę.“

„Daj Boże każdemu taki koniec,“ życzył sobie i drugiem Knotek i zdjął wydrową czapkę. „To pewnie-

téż oświadczył ostatnią swą wolą i rozporządził pozostałym majątkiem?“

„I na to mu Bóg czasu i siły użyczył,“ zapewniał inny, właśnie do gromadki przybyły. „Mówilem z dziewczką Anną, która była obecna w chwili, kiedy niebożczyk robił testament. Pisać nic nie kazał, lecz co było jego ostatnią wolą, powiedział ustnie w obecności świadków. Grunt oddał małżonce w dowolne posiadanie, dla tego, że pochodził od jój rodziców, swego zaś trochę dawnego grosza, który był zarobił w młodości, darował Maciejowi z tym dodatkiem, aby od téj chwili zaraz mu płacono procenta. Potém błogosławił Maciejowi rosą niebieską i tłustością ziemską, jakby to był syn jego własny i pierworodny, i na jego rękę oddał Bogu ducha.“

„A Stasia nie pobłogosławił?“ zapytała jakaś ciekawa kobieta.

„Przez cały czas swego krótkiego cierpienia nie wspomniał o Stasiu, dopiero kiedy ksiądz zażądał błogosławieństwa dla syna, okazał się powolnym. Ale Stasia nigdzie nie było. Tymczasem ojciec skonał, a syn został bez błogosławieństwa.“

„Biada, stokroć biada takiemu synowi! to złe, to bardzo złe!“ mówił stary Knotek znacząco. „Błogosławieństwo ojcowskie utwierdza domy, a kto tego błogosławieństwa sobie nie zasłużył, lub o nie nie dba, niech się nie spodziewa dobrej przyszłości. Nie chcę być prorokiem i nikomu złego nie życzę, ale na Cofałowym gruncie nie będzie tak jak bywało!“

W sieni u Cofały stoi czarna trumna, przyozdobiona krzyżem sięgającym przez całe wieko, a woskowe świece goreją obok niej we dnie i w nocy. Lu-

dzie przychodzą niemal procesyą, aby niebożczykowi oddać ostatnią cześć i pożegnać się z nim na zawsze. Wstępują do sieni, żegnają się, klękają, modlą się, a każdy wychodzący przeżegna siebie i trumnę. Wieczorem schodzą się sąsiedzi z całej wsi, siadają za stołem, śpiewają psalmy i żałobne pieśni, mówią Różaniec i litanią za duszę zmarłego w Panu.

Według zwyczaju pocieszają wszyscy Cofałową, chociaż się zdaje, jakoby ona pociechy ani nie potrzebowała, ani nie pragnęła. Płacze ona wprawdzie, ale więcej jakoś ze zwyczaju i można poznać, że ten płacz nie jest serdeczny i szczery.

Jeżeli się kto pyta, co niebożczykowi Cofale się stało, że tak nagle umarł, to Cofałowa jest w kłopotcie i nie umie na to odpowiedzieć. Nareszcie powiada, że niebożczyk miał osobliwą naturę, że się gniewał często bez przyczyny i tём samém zniszczył sobie zdrowie.

Każdego z nawiedzających dziwi obojętność Cofałowej, a jeszcze więcej dziwią się temu, że Stasia nigdzie nie widać i wcale go nie ma w domu. Wiele stąd naturalnie rośnie gadaniny, a nawet najspokojniejsi zastanawiają się nad tём i różnie sobie tłómaczą nieobecność Stasia, a stary Knotek nie przestaje twierdzić, że w Cofałowej zagrodzie już nie będzie tak jak bywało.

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb niebożczyka Cofały, tak okazały, jak w Kukliku rzadko się zdarza. Przybyli ksiądz dziekan z księdzem wikarym, a ludu zebrało się z całej okolicy wielkie mnóstwo. Kiedy ksiądz dziekan pokropił trumnę, nie mógł się sam wstrzymać od łez, a nad grobem musiał od żalu na chwilę przestać się modlić, a i cała rzesza zebranego

ludu zaczęła głośno płakać i narzekać. Cofałowa też płacze, ale zakryła twarz chustką, Staś stoi za matką, zakrył sobie twarz czapką i nikt nie wie, czy płacze, czy nie.

Już mają trumnę spuszczać do grobu i wszyscy mniemają, że to według zwyczaju uczynią Staś i Maciej, jako najbliżsi krewni, lecz Maciej od żalu nie mógł tego uczynić, na Stasia zaś skinęła matka, aby na trumnie, nim ją spuszcza do grobu, uczynił znak krzyża. Staś ledwie się palcem trumny dotknąwszy, szybko go znowu cofnął, jakby się żarzącego węgla był dotknął.

Inni ludzie spuścili trumnę do grobu, lecz każdego z obecnych uderzyła Stasiowa obojętność. Od niepa-miętnych czasów nie było tego zdarzenia, żeby dziecko na pogrzebie ojca tak się było zachowało. Niejeden przepowiadał Stasiowi smutną przyszłość, a po pogrzebie odezwał się znowu między ludem głos starego Knotka: „Nie będzie tak, nie będzie w Cofałowej zagrodzie, jak bywało za życia niebożczyka.“

XI.

Od pogrzebu Cofały mija trzeci rok, a w gospodarstwie Cofałowem nic prawie się nie zmieniło. Maciej i Sikora sieją, zbierają, pracują w polu i w domu, tak jak się od niebożczyka nauczyli. Powodzi się im dobrze i ludzie się dziwią, że we dwóch podołają tak wielkiej pracy. Cofałowa jest zadowolniona ze swego położenia i straty małżonka dotąd ani nie czuje, ani nie żałuje.

Stas jednak sprawia jój poniekąd pewną troskę. Praca mu się brzydzi, wałęsa się po wsi i nie siedzi w domu w dzień, a często i w nocy go w domu nie ma. Dokąd chodzi, gdzie przebywa, nie wie sama matka, a jeżeli nalega na niego, aby jój powiedział, gdzie nocami a i we dnie bywa, odpowie jój Stas różnie, a nawet dosyć szorstko.

Atoli na wsi w Kukliku wiedzą dobrze, co Stas robi; bywa on u Moška, chodzi z Tomaszem Kobiela poza wieś, a w mieście przy muzyce pozwala sobie zbyt wiele, trwoni pieniądze i grywa grubo w karty; wszyscy się dziwią, skąd bierze pieniądze, których zawsze ma pełne kieszenie. Niebożczyk Cofała nie utracił bez potrzeby ani grosza, do gospody nie wstąpił, chyba w kiermasz albo we wesele jakiego siedlaczego syna, pracował za trzech, miał gospodarstwo pięknie urządzone, lecz pieniędzy u niego nazbyt nie bywało. Stas zaś jeszcze ani gospodarzem nie jest, a pieniędzy ma zawsze dosyć i umie je także wydać. Niektórzy sądzą, że mu matka daje, ale stary Knotek kręci głową i w poufném kółku między znajomymi mówi, że Stasiów trzos i kieszeń pachną żydem.

Teresa idzie czasem do wsi na zwiady, różnych dowiaduje się rzeczy i donosi o nich gospodyni. Ale Cofałowa nie wierzy i z rzekomego trwonienia pieniędzy tylko się śmieje.

„To nie może być,” mówi zaślepiona w synalku matka. „Skądby on brał pieniądze? Przecie po zapłaconiu podatków i myta służących bardzo mało nam pozostanie, kiedy się rok skończy. A jeżeli mu czasem dam reńskiego, aby w kieszeni u niego nie było same

płótno, to przecież z taką kiesą nie może bardzo dokazywać.“

Cofałowia jest przekonana, że Stasiowi dzieje się krzywda, i gniewa się na cały Kuklik, że ludzie nie mogą jój chłopca cierpieć i gdyby mogli, toby go w łyżce wody utopili.

Cofałowia nie może się wstrzymać i opowiada synowi, co ludzie o nim mówią, i prosi go usilnie, aby przynajmniej dla ludzkich języków siedział więcej w domu, starał się o gospodarstwo i przestał się waleśać po nocach. Ale Staś chmurzy czoło i mruczy sobie pod nosem, że nie myśli inaczej żyć, póki nie będzie miał zapisu, czyli jak tam mówiono „kupu“, i nie zostanie samodzielnym gospodarzem. Póki Maciej i Sikora zostaną na gruncie, póty on ani nogą na pole nie wstąpi i niczego się nie tknie. Dodaje, że Maciej i Sikora nic sobie z niego nie robią, są popsuci przez ojca, i że sobie musi inną poszukać czeladzi, któraby go jako gospodarza považała i słuchała.

Matka nie lubi słuchać takiej mowy, bo wie dobrze, że nie masz lepszych i sumienniejszych służących nad Macieja i Sikorę. Wiadomo jój, że na nich spoczywa gospodarstwo, i obawia się, że wszystko runie, gdyby oni mieli odejść. Przeto uspakaja Stasia i zachcianki kupu i gospodarstwa z głowy mu wybija.

„Jeszcześ młody,“ mówi mu, i nie ma się co spieszyć. Ja chcę, abyś użył młodego wieku i nie męczył się troską przedwcześnie. Gospodarstwo ci i tak nie ucieciez i przyjemności gospodarskich jeszcze tyle użyjesz, aż cię głowa boleć będzie.“

Lecz Staś nie zważa na słowa matki, żąda „kupu“, chce gwałtem gospodarzyć i grozi, że jeżeli się nie

stanie po jego woli, zostanie żołnierzem. W taki sposób Cofałowa ma z nim dosyć troski.

Mosiek chciał się przekonać, jaka też jeszcze za-
możność jest w Cofałowem gospodarstwie, aby wiedział
na pewno, wiele też jeszcze może pożyczyć Stasiowi.
Pragnął też zarazem nakłonić Cofałową, aby kazała
grunt zapisać Stasiowi. Poczynił więc do spełnienia
swych zamiarów odpowiednie kroki. Poszedł po rozum
do głowy i użył takiego sposobu. Jednego poranku
kiedy wszyscy byli w polu, a Stasia także, jak zwykle,
nie było w domu, miała Cofałowa odwiedziny. Przy-
szedł do niej żyd Mosiek i wypytywał się tyle, jakoby
całe gospodarstwo chciał zabrać ze sobą w miechu.
Pytał się o płótno, o owies, o wronego konia, słowem
o wszystko. Cofałowa się zdziwiła, że chce tyle wszy-
stkiego mieć, i pytała, na coby to potrzebował.

„Ny, ja dla swój osobe potrzebuję nic,“ uśmiecha
się żyd szyderczo, „ale cesarz potrzebuje, wszystko po-
trzebuje: owies, płótno i koń. Będzie wojna, a wojna
wiele zjé.“

Cofałowa się przelękła. Nie tai przerażenia i pyta
głosem niesmiałym, z kimby wojna być mogła.

„Niech będzie, z kim będzie, ale przysięgam Bóg,
wojna będzie,“ twierdzi Mosiek i pięścią uderza się
w piersi. Będzie wojna, jakiego nie był od potopu
świata. Brać będą męża od żony, ojca od dzieci, go-
spodarza z pola. Aj waj! Bóg widzi, nie chciałbym ja
być młodym człowiekiem.“

Cofałowa ledwie dycha, boi się o Stasia, i nie mó-
gąc ukryć strachu, woła: „Stasia przecie nie wezmą?“

„Ny, pan Staś ma piękny grunt, ma zapis, jest
gospodarzem, tego, myślę, nie będą wzięć.“

„Alem ja mu jeszcze zapisu nie dała,” przyznaje się Cofałowa i żałuje, że tego dotąd nie uczyniła.

„Co? nie dała?” wrzeszczy żyd, rzuca rękoma, kiwa się, jak w bóżnicy, cofa się i parska. „Musicie dać szybko, musicie jutro iść do kancelaryi i nie śmiecie zważać na to, co tam pan będzie rzeknąć. Panowie by radzi wszystkich dać do wojskowy kabat i będą mówić, abyście zapis nie dała. Ale dajcie i na nic nie dbajcie; czyby wam nie był żal, gdyby pan Staś nosił gwer i bagnet?”

Aczkolwiek Cofałowa nie wątpiła o prawdzie słów Moskowskich, jednak chciała się spytać kogoś mądrego o grożącej wojnie. Ale do kogo się tu udać? Do sąsiadów nie ma zaufania, ponieważ od pogrzebu męża wszyscy jakoś krzywo na nią patrzą, Stasiowi nie są życzliwi i oczerniają go ogólnie. Przypomina sobie chałupnika Wrzała i myśl ta ucieszyła ją wielce.

Wrzał się nie zmienił, lecz jest jeszcze zawsze grzeczny, na Stasia dotąd jeszcze nic złego nie mówił i dla Cofałowej jest uprzejmy. Ale co ważniejsza — on sam tylko może wiedzieć, czy wojna będzie, lub nie. Był żołnierzem, a nawet tamborem, i raz podobno sam gonił nieprzyjaciela, tylko że przy tém, jak niektórzy niewierni Tomaszę utrzymują, co tchu w tył uciekł. Czyżby taki człowiek nie miał wiedzieć, czy będzie wojna, czy nie?

Cofałowa udaje się więc umyślnie do Wrzała i pyta, coby on sądził o żydowskiej przepowiedni. Wrzał zrobił arcymądrą minę, położył palec na czole, rozmyślał chwilę i na końcu się przyznał, że nic stanowczego powiedzieć nie może. Atoli tyle wie na pewno, że to przemierzone pokolenie Izraela zawsze jakoś wszy-

stko wcześniej wywacha i zwierzy, niż inni poczciwi ludzie, nie przeczy więc, że wojna jest możliwa.

Na drugi dzień przybywa Cofałowa do kancelaryi i pokornie oznajmia, że pragnie dać synowi zapis na grunt i natychmiast mu oddać gospodarstwo. Żąda nadto i prosi o pozwolenie, aby Staś był uznany za pełnoletniego. Staś stoi za matką, gniecie czapkę i patrzy w ziemię. Pan w kancelaryi jest bardzo grzeczny i rozmowny. Nie jest żądaniu Cofałowej zupełnie przeciwny, aby dała zapis majątku Stasiowi i wciągnąć takowy do księgi gruntowej, ale radzi matce, aby się zaraz wszelkiego prawa do majątku nie pozbawiała i niedoświadczonemu młodzieniaszkowi gospodarstwa nie oddawała.

„Kochana matko, dowodzi ten pan bardzo rozumnie, niedoświadczonemu młodzieńcowi oddać gospodarstwo, jest to często to samo, jak gdyby kto dał brzytwę dziecku do zabawy, rani się samo i pokrwawi razem rodziców. Zawsze to lepiej, aby dziatki rodziców, niż rodzice dziątek słuchali; dzieci zaś dopóty słuchają rodziców, dopóki się od nich czegoś spodziewają. Skoro się już dzieci od rodziców nie mają czego spodziewać, znika posłuszeństwo i poważanie i nastaje przykry dla obu stron stosunek.“

Stasiowi błyszcza oczy od gniewu i patrzy tak ponuro, jakby pana tego chciał zabić. Na szczęście stoi Staś za matką, a pan na niego wcale nie zważa.

Cofałowa zastrzega się przeciwko takim domysłom i przypuszczeniom owego pana, chwali Stasia, że jest dobrem dzieckiem, od którego na przyszłość niczego się nie obawia, i że jest pewną, że Staś jój nie zasnuje, ani nie zmartwi. Dalej powołuje się na podeszły

swój wiek i niezdolność do gospodarowania; przytacza i ten powód, że na kobietę nikt bardzo nie zważa, i że mężczyzna choćby był jak patyczek, wobec czeladzi więcej zawsze znaczy niż kobieta, choćby ta była nawet tak wielka jak góra; w końcu zaś prosi usilnie, aby świetny urząd zgodził się na jej żądanie.

„W takim razie,“ ostrzega rozsądny i praktyczny urzędnik Cofałowa, „zawarujcie sobie przynajmniej porządne dożywocie, aby się zabezpieczyć na wszelki wypadek.“

Ale Cofałowa ani tego uczynić nie chce.

„Po co wymowa, dożywocie?“ odpowiada Cofałowa, odpędzając od siebie mądrą radę urzędnika. „Będę jadła z synowskiego stołu, zostanę przy jego cieple i świetle, a więcej przecież nie potrzebuję.“

„Jakże przecież byłoby wtenczas,“ perswaduje jej dalej urzędnik, „gdyby synów stół nie zostawał zastawiony potrawami, gdyby ciepło i światło znikło, czyli gdyby grunt jeszcze za waszego życia przeszedł w obce posiadanie? Co nie jest zapisane, nie potrzebuje być dane, i mogłoby przyjść do tego, żebyście na stare lata nędzę cierpieli.“

Na te słowa Cofałowa tylko się uśmiecha i mówi żartobliwie: „Bóg da, że z Wielmożnego Pana nie będzie prorok.“ Zaslepiona bowiem w swym synalku matka uważa za rzecz niemożliwą, żeby coś podobnego mogło nastąpić.

Nareszcie po długim naleganiu osiągnęła to, czego tak zawzięcie pragnęła. W ten sam dzień jeszcze wręczono jej odnośne pismo: Staś otrzymał zapis, został uznany za pełnoletniego, i w téjże chwili mógł przejąć na siebie gospodarstwo.

XII.

Mówią starzy ludzie: „Nowy pan, nowy porządek,“ i to przysłowie spełniło się zupełnie w Cofałowej zagrodzie.

Staś już sam gospodarzy i wszystko urządza inaczej, albo właściwie przewraca do góry nogami. Najpierw wziął się do czeladzi, a Macieja naturalnie i Sikorę wypędził z domu. Byli mu oni już od dawna solą w oku i jeszcze za życia zmarłego ojca patrzeć na nich nie mógł. Macieja podejrywał Staś, że ojca na niego podburza i pozbawia go miłości ojcowskiej. Kiedy zaś ojciec przeznaczył w testamencie Maciejowi pięć set złotych, podejrzenie zamieniło się w pewność. Takiego szkodnika nie podobna przecież trzymać w domu. Dla tego Staś zrobił Nowy Rok, tj. czas godzenia służby, na świętego Jana Chrzciciela i puścił ze służby Macieja i Sikorę razem, ponieważ się razem trzymali.

Staś kontent, że złość swą wylał na obydwóch, mniema, że sobie kto wie jak mądrze postąpił, wydalać z domu te dwie główne podpory całego gospodarstwa. Ale cała wieś wzdrygnęła tylko ramionami nad takim nierozumem, a stary Knotek mówił, że młody Cofała wypędzeniem ze służby Macieja i Sikory tak sobie dopomógł, jak gdyby sobie prawą rękę uciął. Nawet Cofałowa nie zgadza się w tym względzie z synem i czuje, że Staś popełnił błąd nigdy niedarowany, lecz cóż robić? Biedna i słaba matka nie umiała się oprzeć samowoli syna, kiedy jeszcze był dzieckiem: cóż dopiero teraz, gdy go sama dobrowolnie zrobiła gospodarzem?

Maciej i Sikora co prawda nie wiele na tém ucierpieli, że ich Staś wypędził ze służby. Dla pamięci nieboszczyka „stryja“, jak oba Cofałę nazywali, niechętnie wprowadzili opuszczali Cofałową zagrodę, ale służb do przyjęcia ofiarowano im ze wszystkich stron tyle, że nie wiedzieli, którą wprzód przyjąć. Sikora poszedł do dworu; Macieja zaś nie chcą puścić z Kuklika. Stary Knotek uparł się przy tém, że Maciej musi być zachowany w gminie jako przykład dla wszystkich młodzieńców i że jakkolwiek on (Knotek) ma syna, który mu w gospodarstwie wybornie pomaga, przecież przyjął Macieja do służby na dosyć znaczne myto.

Po czeladzi przyszła u Cofałów kolój na konie. Wrony koń i cisawa kobyła, chociaż są piękne i do roboty w gospodarstwie jakoby stworzone, gospodarzowi młodemu się nie podobają. Powiada on, że konie te są już w latach, nie mają równie wysokiego wzrostu ani jednakięj maści. Staś chce mieć konie młode, jednęj maści i okazałe, któreby można zaprządz nie tylko do woza i pługa, lecz także do powozu czyli kolasy.

Czemużby nie miał mieć takich, kiedy je w każdej chwili mieć może? Mosiek i Tomasz Kobiela czekają na jego skinienie i są zawsze do usług gotowi. W ciągu tygodnia przyprowadzili Stasiowi konie gniade, młode, na włos równe, z białemi gwiazdkami na czole i białemi, jak to mówią, szkarpetkami na tylnych nogach. Stare konie odkupili od Stasia za cenę bardzo niską, i musiał Staś do gniadych kilka set dołożyć. Ale gniade nie podarzyły się Stasiowi wcale. Jeden nie chciał ciągnąć pod górę, drugi był dychawiczny i musiały zostać wymienione na inne. Staś kupił w ciągu dwóch

lat po gniadych siwki, potem cisawe, następnie kare, a każda taka wymiana działa się z wielką dla niego stratą pieniężną.

Do młodych koni jednej maści chce Staś mieć odpowiednią kolasę czyli powóz. Może go mieć łatwo, bo Mosiek i Tomasz czekają tylko zawsze na jego rozkazy. Na drugi dzień przyprowadzili kolasę na wysokich kołach, wielką jak chałupa. Staś przybudował kolnię, aby pański powóz nie musiał stać obok gospodarskich wozów. Zaraz w niedzielę chce jechać do miasta, aby kolasę spróbować.

Powóz szedł dobrze, tylko że się rzemienie potargały i oś u przedniego koła złamała. Wszystko bowiem było spróchniałe i złe, a kolarz (kołodziej) i kowal w mieście mieli dużo roboty, aby powóz ten naprawić. Kazali też sobie dobrze zapłacić, wysmiali się ze Stasia i mówili: „Kiedy taki głupiec chce być panem, niech płaci!“ w dodatku do swego szyderstwa dorzucili jeszcze, że ten cały stary rupieć nie wart ani fajki tabaki.

Gorsza gospodarka niż z końmi i powozem szła w polu. Staś najął pierwszego lepszego czeladnika, jakiego spotkał, i trafił na lenia, głupca i oszukańca. Człowiek ten uprawiał pole byle jak; zostawiał bryły jak głowa, zagony poorane były krzywo, włóczył na przeskaczkę, i órka po nim wyglądała, jak gdyby wiecej były rolę poryły. Wkrótce także spostrzegł ten szumny parobek, że Staś na gospodarstwie nic się nie zna, i na rachunek tej nieznajomości robił co chciał, a za dwa lata tak zniszczył rolę, że się na niej rodzi tylko oset, pérz, mietlica i inne chwasty.

Cofałowa martwi się, widząc, że całe gospodarstwo tak upada. Przypomina sobie Macieja i Sikorę, żałuje nieboszczyka męża i gorzkie sobie czyni wyrzuty, że nie usłuchała pana urzędnika w kancelaryi. Stasiowi nie może wiele powiedzieć, ponieważ ten wcale na jej słowa nie zważa, gniewa się zaraz strasznie i czyni matce wszystko na przekór. Nawet starą Teresie wypowiedział służbę, ponieważ, jak mówił, z całej wsi znosi plotki i w domu tylko jest na zgorszenie. Już i bydło i konie Stasiowe chudną i biednieją i iszczą się na nim słowa pieśni ludowej:

Jak ja raz był gospodarzem,
Miałem bydło hojne:
Cztery koty do roboty
I dwie myszy dojne.

Sąsiedzi, których Staś nieraz obraził swém lekceważeniem i grubiaństwem i radą ich gardził, nie mają nad nim litości. Mówią: „Chcącemu nie dzieje się krzywda“ i są przekonani, że różga Boża dotknęła Stasia za nieboszczyka ojca. Przy takich rozmowach przepowiadają też sąsiedzi, że gospodarstwo Stasiowe nie potrwa już tak długo jak trwało. A stary Knotek, który wszystko lepiej pojmuje i mało kiedy się myli, twierdzi na pewno, że koniee przyjdzie rychlej jak się spodziewają, i że do roku będzie po wszystkiém i skończy się gospodarka Stasia.

Staś bynajmniej nie przeczuwa, żeby już tylko na włosku wisiał. Przecież ma Moska, a żyd mu wciąż grosza pożycza i pieniądze prawie gwałtem mu wciśka. A jaki to dobry i pobłażliwy wierzyciel ten Mosiek! Takie to dobrotliwe żydzisko: jakże jeszcze mogą ludzie o żydach mówić, że to złodzieje, oszusty i lich-

wiarze, i taką im krzywdę wyrządzać? Mosiek nie upomina się o kapitał, nie pyta o procenta i nie za to nie żąda, tylko aby się Staś w obecności dwóch świadków na zabrudzonym papierze na dole podpisał. Taka uprzejmość ze strony żyda warta przecież nagrody — podpisu — i Staś się podpisał.

Lecz niestety! żydowi pieniądze się skończyły, tak przynajmniej on mówił. Już nie może więc pożyczać i Stasia wspierać. Z wielką biedą zebrał jeszcze stówkę i podawszy Stasiowi swój „ostatni grosz“, tak go naucza: „Panie Staś; teraz „muszą“ zrobić jak ja będę poradzić. Muszą się ożenić, ale wyszukiwać bogatą niewiastę, co będzie mieć kilka tysięcy!“

Bogate panny były wtenczas rzadkością, a gotówka także, bo było kilka lat nieurodzajów, a grunta zostały z téj przyczyny nawet długami obciążone. Siedlacy w Kukliku dawali córkom wiana zaledwie po kilka set, nie po kilka tysięcy. Dla tego nie było w Kukliku żony dla Stasia i musiał on się obejrzeć po okolicy. Nie mógł sobie jednak sam poradzić i był stąd w wielkim kłopotcie.

Na szczęście przybył mu w pomoc Tomasz Kobiela i ofiarował mu się za towarzysza i przewodnika w wynalezieniu żony. Kobiela zna na trzy mile dookoła wszystkich bogatych siedlaków, młynarzów i karczmarzy, wie dokładnie, kto ma córkę na wydaniu, i może na włos obliczyć, ile który da swéj córce wiana. Przysięga więc Stasiowi, że sobie trzy lub cztery tysiące pewnie „wyżeni“. Wyjechali więc w świat po żonę bogatą, pojechali w kolasie, a żydowską stówkę wzięli ze sobą. Musieli zajechać bardzo gdzieś daleko, bo tak długo nie powracają. Mija drugi tydzień, a o

dziewosłębach ani słychu. Prawdopodobnie są gdzieś u zamożnych przyjacielskich ludzi, którzy ich nie chcą puścić, bo może właśnie układają dzień ślubu i zapowiedzi.

Cofałowa spodziewa się na pewno, że Staś przywiezie niewiastę, jeżeli nie już jako przyszłą żonę, to przynajmniej, aby ją pokazać. Czeką z dnia na dzień, wygląda z okna, wychodzi w pole i na wszystkie strony ogląda się z upragnieniem, lecz daremnie.

Nareszcie Staś powrócił; prawda że wrócił, lecz bez niewiasty, a co gorsza nawet nie przyjechał, lecz przyszedł pieszo. Z domu wyjechał jak pan, a powrócił gorzej niż żebrak: obszarpany, w płócienkach i boso. Przyszedł późno wieczór, aby go we wsi nikt nie zobaczył. Matka załamuje ręce, wszyscy struchleli ze zdziwienia, a Staś płacze klnąc i złorzeczając Tomaszowi.

Szczwany ten lis woził łatwowiernego głupca po świecie umyślnie bez skutku, aż wydali połowę stówki. Z drugą połową i z powozem zawlókł go do żydowskiej karcarskiej kryjówki, gdzie się Stasiowi tak powodziło jak rybie na suchy ziem: Pozbył pieniądze, powóz i konie, a nawet pozbawiono go odzieży, tak iż ledwie na pół nagi stamtąd uciekł.

Z Cofałowej zagrody nikt o tym nie mówił, a przecie w Kukliku wiedzą wszyscy, że młody Cofała z wyprawy po żonę boso powrócił i nagi. Wszyscy śmieli się do rozpuku, a Staś jest pośmiewiskiem całej wsi i ani z domu wyjść się nie waży. Jest przecież i kilku takich, którzy mianowicie dla pamięci nieboszczyka Cofały nie życzą Stasiowi takiego upokorzenia. Sam stary Knotek żałuje, że Cofałowie przyszli do

tak smutnego położenia, i że kto wie, co się jeszcze z nimi stanie.

„Mili bracia,“ mówi między znajomymi, „nieszczęście nie chodzi samo, a ostatnie rzeczy bywają gorsze od pierwszych. Co się dotąd stało, dałoby się jeszcze przeboleć, ale co w krótkim czasie nastąpi, tego ani przeboleć, ani naprawić już nie będzie można.“

Knotek mówił prawdę, bo za kilka dni spadł na Stasia ostatni i największy cios.

Żyd Mosiek zgłosił się do sądu z pismem dokładnie przez adwokata ułożoném, w którym się Staś wobec świadków zobowiązał, że do pewnego czasu wypłaci swojemu wierzycielowi Moskowi pięć tysięcy złotych długu, a gdyby ich nie zapłacił, że się zgadza na to, aby jego grunt wraz z inwentarzem, jak leży i stoi zaraz w drodze publicznej licytacji został sprzedany. Termin się kończy, a żyd chce mieć pieniądze. Aby panowie w urzędzie nie mogli mu przeszkadzać, przyprowadził ze sobą adwokata. Ten umie wszystkie paragrafy i zna wszystkie ustawy i wszystkie wykręty, umie szczekać jak pies i prawem wykręcać, tak przyparł do ściany panów w urzędzie, że ani słówka odpowiedzieć nie potrafili.

Moskowi adwokat ten oddał dobrą przysługę, ale Stasiowi wcale nie. Albowiem gdy Staś w oznaczony dzień z pieniędzmi nie przybył, kazał bez ceremonii sprzedaż gruntu Cofałowego wywiesić na bramę przed kancelaryą i oznaczył dzień licytacji.

Trzy dni przed licytacją znikł Staś gdzieś ze wsi, jakby w ziemię przepadł.

Grunt kupił jakiś obcy człowiek Niemiec. Nad należytość żyda nie wiele utargowano i urzędnikom sądowym zaledwie się udało zachować dla Macieja zapisanych pięć set reńskich razem z prócentami.

Cofałowa dowiedziała się od Wrzała o wszystkim, co się dzieje, ale nie wierzy.

„Tobym ja zobaczyła, ktoby mnie tu stąd mógł wyruszyć. Ja tu pani, ja dziedziczka gospodarstwa!“

Atoli już na drugi dzień przychodzi do gospodarstwa cudzy jakiś człowiek z całą rodziną, ogląda wszystko dokładnie i poczyną sobie gospodarzyć jak we swojej własności. Cofałowa kłóci się z nim, sypie słowy jak gradem, lecz Niemiec oznajmuje jęj krótko i węzłowato, że kiedy sobie tak godnego syna wychowała i o wymówieniu dla siebie dożywocia zapomniała, aby bez zwłoki opuszczała gospodarstwo. Przybysz ów śmieje się tylko z jęj oporu, a gdy Cofałowa nie chce iść w dobry sposób, bierze ją za rękę i nie zważając na jęj krzyki, że ona tu pani, ona dziedziczka wszystkiego, wyprowadza ją za drzwi, wyrzuca na dwór i drzwi za nią zamyka. Tłómok z odzieżą wyrzucił za nią, wołając z szyderstwem: „To daję z łaski, bom kupił grunt ze wszystkim, jak leży i stoi.“

XIII.

Cofałowa wyrzucona tak nagle i niespodzianie ze swego byłego dziedzictwa nie może w żaden sposób oprzytomnieć, stoi jak posąg i nie wie, czy to wszystko dzieje się na jawie, czy też we śnie. Nie chce ani może uwierzyć, aby to co się właśnie z nią stało, było rze-

czywistością; uważa wszystko za przykry sen i w swém osłupieniu przeciera oczy, aby się przebudzić. Nie może się jednak tak łatwo z tego ciężkiego snu przebudzić, ale tłómaczek z odzieżą leżący przy niej świadczy, że wszystko to jest rzeczywistą prawdą.

Cofałowa stoi jak skamieniała, toczy błędném okiem wkoło siebie i niema i blada jak trup z przerażenia nie jest zdolna zastanowić się nad swojém położeniem. Nagle jednak budzi się w niej dusza i przeszłość występuje przed oczy nieszczęśliwej téj matki i żony.

Widzi się jeszcze za dni młodych, jak ojcu swemu czyniła na przekorę, widzi zasmuconą twarz jego i słyszy, jak na śmiertelnej pościeli prosił jeszcze Cofałę, aby był dla niej cierpliwym i pobłażliwym. Widzi małżonka swego Pawła znoszącego z nadludzką cierpliwością jéj wady i dziwactwa, a dotrzymującego świącie danego ojcu przyrzeczenia. Widzi nareszcie i swego jedynaka, rozpieszczzonego jéj nierozumném postępowaniem, widzi jego rozpustę i przedwczesny grób małżonka. Biedna niewiasta płacze gorzko, pada na kolana, składa ręce i z nieopisaną boleścią wyznając swe winy, woła: „Odbieram zasłużoną zapłatę; com nasiąła, to zbieram! Sprawiedliwe są sądy Boże!”

Podczas tego serdecznego żalu i narzekania nadszedł ktoś do niej. Okiem łzami zalaném nie może Cofałowa poznać, ktoby to był, nawet nie wie, czy ludzi tych jest więcej, czy tylko jeden człowiek. Dziwnie jéj w oczach wszystko się kołuje i dopiero gdy sobie łzy otarła, poznała Macieja i Przetaka.

Macieja nie widziała Cofałowa od chwili, jak odszedł ze służby, chyba czasem w kościele. Czuje ona dobrze, że mu nigdy nie okazywała wielkiej życzliwo-

ści, wie też, że nie zasługuje na jego litość; obawia się nawet, aby jój dawnego życia nie wyrzucał i nie życzył jój nieszczęścia. Nie może ona nawet na tyle się zdobyć, aby mu się poskarżyć na swoją dolegliwość, ale Maciej nie czekając na jój słowa, zaczyna ją pocieszać, nim skargi z ust jój usłyszał.

„Cioteczko! nie płaczcie!“ mówi do niej. „Bóg dopuści, ale nie opuści i nigdy więcej na nas nie włoży, niż słabe ramiona nasze zdołają unieść.“

„O dobry chłopcze!“ odpowiada nieszczęśliwa i od łkania prawie mówić nie może. „Bóg jest sprawiedliwy. Poddaję się jego mądrym wyrokom bez szemrania, bom inaczej nie zasłużyła. I dla tego biorę chętnie torbę i kij żebraczy, które mi jego ręka podaje.“

„Cioteczko! nie mówcie tak,“ woła Maciej głęboko wzruszony. „Póki mnie stać na świecie, to za pomocą Boską nie zawita do was nędza. Ja odebrałem błogosławieństwo od świętej pamięci stryja i z błogosławieństwem razem obowiązek starania się o was i opiekowania się wami w razie potrzeby. I ten obowiązek spełniać będę sumiennie. Wprawdzie świetnego bytu wam zapewnić nie mogę, ale wyszukałem wam mieszkanie u dobrych ludzi, którzy was będą czcić jak ja; a potrzeb do życia ja wam dostarczę, tak że nigdy nie doznacie niedostatku.“

„Tak jest,“ dodaje Przetak, „przyjmijcie ofiarę pocziwego chłopca. Nie gardźcie chatą smolarza, gdzie wprawdzie bogactwa dużo nie ma, ale natomiast wiele szczerzej uprzejmości. Czém chata bogata, tém rada. Maryna będzie się wami opiekować jak własną matką, a ja według sił przyczynię się do tego, aby wam było dobrze.“

Cofałowa znowu nie może oprzytomnieć i nie wie, czy się to wszystko dzieje na jawie, czy we śnie. Nareszcie uwierzyła w rzeczywistość niespodzianej pomocy i opieki. Znowu się rozplakała, patrzy w niebo i woła: „Bóg was mi przysłał, moi ludzie kochani! Z wami chcę chociażby najędźniej żyć i umrzeć.“

Czas jest najlepszym lekarzem i goi precudnie rany zadane przez zły los sercu ludzkiemu. I Cofałowej posłużyło wybornie to lekarstwo i sprawiło razem z pociechą ze świętej wiary płynącą, że kobieta ta przywykła poniekąd do obecnego swego położenia.

Podoba się jój pobyt u Przetaka; jest w jego chacie co prawda ubogo, ale chędogo i po chrześcijańsku, a spokój serdeczność i pobożność jój mieszkańców wynadgradzają hojnie brak dostatków, wygod i bogactwa.

Przetak jest człowiekiem bardzo dobrotliwym i rozumnym, córka jego Maryna jest dobra jak anioł, a oboje starają się uczynić pobyt Cofałowej u nich jak najprzyjemniejszym.

Pod wieczór, kiedy się już dzienna praca skończyła, przychodzi Maciej co dzień na chwilę do Przetaka, a zawsze przynosi ze sobą coś z obiadu i podwieczorku. Po jego odwiedzinach ciotka Cofałowa zawsze jest weselsza.

I byłaby Cofałowa zadowolona z terażniejszego swego losu, gdyby jój się tylko przeszłość raz po raz nie przypominała. Wszakże nieszczęśliwa kobieta nie może zaraz zapomnieć swój przeszłości, i skoro jój się dawne jój stanowisko we wsi i zamożność jój domu przypomną, bywa smutna i zamyślona.

Skoro na wieś popatrzy i zobaczy swoje dawne dziedzictwo budzą się w niej liczne przykre wspomnie-

nia i myśli. Żałuje, że ojcowska spuścizna tak lekko-myślnie została zmarnowana, przypomina sobie małżonka, jego wczesną i nagłą śmierć, a nareszcie i Stasia, a to ostatnie przypomnienie bywa dla niej najboleśniejším.

Jak wiemy, Staś przed licytacją zniknął i dotąd nie powrócił. Dokąd się udał, gdzie przebywa, nie można wysledzić, chociaż Maciej i Przetak w wszelki sposób o to się starają. Matkę przejmuje trwoga na samą myśl, że jej jedynak może sobie co złego uczynił, może życie odebrał i oprócz dóbr doczesnych utracił także wieczne. Ubóstwo i upokorzenie swój rodziny chętnieby ponosiła, gdyby tylko wiedziała, że Staś uniknie wiecznej zraty. Lecz niepewność gryzie jej sumienie i nie pozwala jej być zupełnie spokojną.

Przetak wie dobrze, co się dzieje w duszy Cofałowej, a jej boleść także onemu dojmuje. Chciałby ulżyć nieszczęśliwej, stara się o to usilnie, a ponieważ słowo Boże i czyta i pilnie go słucha, łatwo mu się to udaje.

Przy sposobności przemawia o znikomości dóbr doczesnych, i jak bardzo oszukuje się ten co do nich przywiązuje swe serce. Serce ludzkie jeżeli ma być spokojne i szczęśliwe, potrzebuje innego szczęścia, niż jakie świat dać może, a tém szczęściem jest Bóg sam. Przetak chwali chrześcijańską skromność i dodaje słowa świętego apostoła Pawła: „Mając żywność i czém się odziać, na tém przestawajmy!”

Inną razą wielbi nader pocieszającą naukę katolickiego kościoła o obcowaniu świętych, która łączy wieczność z doczesnością i sprawia, że chrześcjanin nawet krzywdy zmarłym za ich życia wyrządzone

może nadgrodzić przez modlitwy i dobre uczynki na ich intencją wykonane. To znowu opowiada piękne przykłady z Pisma świętego i z żywotów świętych, a mianowicie o świętej Monice i jej synie świętym Augustynie i stąd dowodzi, jako modlitwa matki nieraz sprowadziła dziecko błądzące na drogę zbawienia.

Cofałowa słucha Przetaka z uwagą i czuje pociechę w sereu, a aby ją bardziej pocieszyć dodaje Maryna: „Jutro pójdziemy na mszę świętą.“ Cofałowa chętnie się zgadza i cieszy się z tego niewymownie.

Cofałowa i Maryna bywają bardzo często w kościele. Ilekroć jest w Kukliku nabożeństwo, zawsze bywają na niem, i oprócz tego chodzą dwa razy w tygodniu, tj. w środę i w piątek do Jaroszowa; tam bywają w kościele pierwsze, wychodzą ostatnie, nigdy nie odchodzą bez doznania wewnętrznej pociechy.

Z powrotem odwiedzają zawsze cmentarz w Kukliku przy kościele świętego Jakóba: Maryna modli się zawsze na grobie matki, Cofałowa na grobach ojca i małżonka.

Dziwi się biedna, że ją ludzie w jej nieszczęściu tak poważają, w drodze witają i więcej są dla niej uprzejmi, niż kiedy jeszcze była gospodynią. Najwięcej jednak pociechy znajduje w czytaniu przez Marynę Pisma świętego.

Przetak ma Pismo święte odziedziczone po dziadku, które ma w największém uszanowaniu i nie dałby go za żadne skarby. W niedzielę po południu czyta Maryna z tej książki, a Cofałowa, Przetak a czasem i Maciej słuchają. Cofałowa słuchałaby tego czytania cały dzień i całą noc i ani spać jej się nie chce. Najwięcej lubi słuchać o marnotrawnym synie i o cier-

pliwym Jobie. W marnotrawnym bowiem synie widzi Stasia, i budzi się w niej nadzieja, że może przecie ujrzy jeszcze w swém życiu syna nawróconego i pokutującego. W dolegliwościach Jobowych widzi dopust Boży i stratę swój ojcowskiej spuścizny. Cieszy się, że jak ów cierpliwy Job może ofiarować Bogu swoje nie-szczęście, i kiedy Maryna czyta wzruszające słowa oddającego się na wolą Bożą Joba, ona każdą razą mówi z nią głośno: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione. Jak się Bogu podobało, tak się stało!”

Razu jednego gdy znowu Cofałowa te słowa wymówiła, dodał obecny temu przypadkowo Maciej: „I znowu może dać, jako dał Jobowi.”

Z powodu tych słów wszczęła się sprzeczka między obecnymi.

Cofałowa mając siebie na myśli nie pojmowała, żeby Bóg mógł znowu dać jój to, co raz straciła. Męszczyni twierdzili przeciwnie, że u Boga nie masz nic niepodobnego, i że cud uczyniony za czasów Jobowych znowu może powtórzyć.

„Ja przecież sędzę, rzekła Cofałowa, że już po raz drugi na gruncie gospodarzyć nie będę!”

„Kto wie, czy nie będziecie?” rzekł Maciej; „u Boga nie masz nic niepodobnego. On i martwych może wskrzesić.”

Cofałowa umilkła, widząc po drugiej stronie opór niezwykleszy. Ale pomimo tego uważała to za rzecz zupełnie niemożliwą, aby jeszcze kiedyś na gruncie mogła gospodarzyć.

XIV.

Od czasu, jak śp. Cofała umarł, i Maciej z Sikorą gospodarstwo opuścili, znikło z niego błogosławieństwo Boże. A i obecnemu gospodarzowi, który grunt ten nabył na licytacji, nie powodzi się. Nie pomogła mu niemiecka gospodarka. Ginie mu bydło, na polu się nie rodzi, spaliła mu się stodoła, ma długów jak włośów na głowie, a grunt znowu jest na sprzedaż.

Sąsiedzi aczkolwiek Niemcowi nieszczęścia nie życzą, przecie się cieszą, że pójdzie z gminy; bo nie ma u niego znów tak wielkiej mądrości, ani karności w jego domu. Dzieci ma rozpustne, czeladź rozwiozła, o kościół nie dba, klnie, sprawia nieraz zgorzzenie swojemi przewrotnemi mowami i przechowuje u siebie różną hałastę. Stary Knotek mówi, że gdyby w ich wsi więcej takich ptaszków być miało, toby się z Kukliku niebawem stała czysta Sodom.

Cała wieś się raduje, że cudzoziemiec się wynosi, lecz zarazem obawiają się, aby po Jasiu nie przyszedł Janek, i aby następca nie był gorszy od poprzednika. Poruszono tę sprawę na gromadzie i radzono, jakby na przyszłość złemu zapobiedz.

Najlepiejby było, aby kto z Kuklickich siedlaków kupił Cofałowy grunt dla syna i w taki sposób zapobiegł osiedlaniu się przybyszów we wsi. Atoli nikt nie posiada tyle gotówki, długów się każdy boi, a nadto nie ma we wsi ojca, któryby miał własnie syna do wyposażenia. Cóż robić?

„Jabym może umiał coś na to poradzić,“ odezwał się po chwili ogólnego milczenia stary Knotek, i skro-

bie się za uchem, jakby się obawiał wypowiedzieć swoje zdanie.

„Mówcie, sąsiedzi, mówcie,“ zachęcają go wszyscy.
„Wasza rada zawsze jest mądra, więc i dzisiaj nie będzie inna!“

„Sąsiedzi, mówi dalej Knotek wzniesionym głosem. Zapewnie zjednamy sobie zasługę u Boga i pozyskamy dla gminy wzorowego gospodarza, jeżeli wynagrodzimy godnego sługę i postaramy się Maciejowi o gospodarstwo po wuju. Zasługuje on na to zupełnie. Chwalić go nie będę, bo go wszyscy znacie; choćbym nawet nic więcej nie powiedział na jego pochwałę, i wspomniał tylko o synowskiej troskliwości, z jaką się opiekuje Cofałową, to już z téj samej przyczyny zasługuje Maciej na uznanie i poparcie z naszej strony.“

Słowom Knotka nikt nie przeczy, wszystkim one się podobają, i pragną tylko wiedzieć, co powinni czynić, aby dopomóc Maciejowi do nabycia gruntu po stryju.

Knotek nie mało się cieszy, że się sąsiedzi z nim zgadzają na jedno, dla tego odchrząknawszy, tak dalej rzecz prowadzi:

„Wiecie, że gospodarstwo po Cofałach jest zaniedbane, rola wyniszczona, strzechy odarte, stodoła dotąd niewybudowana, a cena tego całego gospodarstwa wedle teraźniejszej wartości gruntów nie może być wyższa nad 4000 reńskich. Połowę Maciej łatwo zbierze. Zapis po śp. Cofale z dotychczasowemi procentami, i to co sobie Maciej dotąd ze służby oszczędził, wynosić może razem 1000 reńskich. Drugi tysiąc otrzyma, gdy się ożeni, bo takiemu młodzieńcowi każdy ojciec córkę z wianem bez wahania dać może. Jeżeli zaś

przedłożymy nasz wniosek z prośbą w urzędzie, dadzą Maciejowi pożyczkę z sierociej kasy; coś sobie jeszcze do tego pożyczę we wsi, a tak zbierze się cała suma. Ja gdybym tak miał, jak nie mam, pożyczylbym całą potrzebną resztę; ale dwie stówki dam w każdym razie. Zboże wypożyczy sobie Maciej na początek ze „sypki“ kontrybucyjnej, byłem i rolniczym narzędziem – jakoś go wesprzemy, i będzie ręka w rękawie. Cóż na to powiecie.“

Znowu nikt nie przeczy, rozsądnej przemowie Knotka i z jego podanym sposobem nabycia dla Macieja wiadomego gospodarstwa wszyscy się zgadzają, a niektórzy ofiarują pożyczki po sto lub pięćdziesiąt złotych.

Knotek dziękuje im z całego serca za przyjęcie jego planów, postanawiają jednogłośnie zachować wszystko w tajemnicy, a w sobotę donieść o tém starszemu urzędnikowi.

Urzędnik ten zna Macieja osobiście, a zna go stąd, że Maciej pracuje nieraz na dworskiej roli, do czego wtenczas włościanie wobec dworów szlacheckich byli jeszcze zobowiązani, a która to praca nazywała się „pańszczyzną“. Praca ta nie była wiele warta, bo każdy z takich przymuszonych robotników pracował leniwie i byle mu tylko dzień zeszedł, dla tego też jeszcze po dziś dzień pozostało przysłowie; że jeżeli kto pracuje tylko jakoby z musu i ladajako, aby się tylko zbyć pracy, mówi się, że pracuje jak „na pański“. Osobliwie orka szła leniwo i lichy. Ale Maciejowi taka praca się nie podobała; jemu się zdaje, że jeżeli robotnik lichy pracując, staje się gnuśnym i leniwym, traci

zręczność w pracy i grzeszy ciężko wobec Boga i ludzi. Dla tego też Maciej pracował zawsze sumiennie i gorliwie, bez względu na to, czy to było na pańskim polu, czy na gruncie gospodarza.

Drugim oraczom wprowadzie postępowanie Macieja się nie podobało, ale hrabiowski urzędnik go chwalił, że postępuje pocziwie i dnia nie marnuje. Zarządca ten folwarku dobrze sobie pamiętał Macieja i zamyslał zrobić go szafarzem czyli dozorcą podwórzowym, skoro taka posada w majątku będzie opróżniona.

Kiedy w sobotę wójt z Knotkiem uchwały powzięte na gromadzie przedłożyli w kancelaryi, słuchał urzędnik słów Knotka z wielkiem upodobaniem i cieszył się ze szlachetnego zamiaru. Chwalił staranie gospodarzy o dobrą sławę gminy, pochwalił zamiar chrześcijański, że dobrego robotnika chcą godnie wynadgrodzić, aby tém samém służył drugim za przykład, i nie tał, że sam Maciejowi życzy jaknajlepiej. Przyrzekł nadto gospodarzom, że się do przeprowadzenia tego szlachetnego zamiaru sam przyczyni; radził im jednakże, aby cała ta sprawa została odroczone aż do przybycia pana hrabiego i tymczasem zachowana w tajemnicy.

Hrabia ma przybyć do zamku za trzy tygodnie, i jak słyhać, pozostanie już na zawsze w swym majątku. Piastował on dotąd wysoki urząd przy dworze, rzadko kiedy bawił w swoich dobrach, raz co dwa lub trzy lata, i to zawsze bardzo krótko. Ale teraz chce on już podziękować za urząd i pozostać na zawsze między swoimi.

Hrabia jest człowiekiem bardzo dobrotliwym. Ilekroć bawił w swoich dobrach, zawsze mnogie rozdawał jałmużny i liczne wyświadczał dobrodziejstwa. Dla

tęgo też każdą razą witano go uroczyscie. Wszakże ta razą, gdy ludzie jego już na pewno wiedzą, że hrabia na zawsze w pośród nich zamieszka, czynią na jego przyjęcie daleko większe niż zwykle przygotowania.

W zamku czyszcza, biela, malują; pracują tam mularze, malerze, tapicery; dziedzinec przed zamkiem pięknie równają i ugrabiają, a drogę, którą hrabia ma przyjechać, lud z własnego popędu naprawia jaknajdokładniej. Lud z wójtami i radnymi na czele będzie witał hrabiego przed zamkiem, młodzież zaś wyjedzie konno na granicę pańskich posiadłości, aby hrabiemu uroczyscie aż do zamku towarzyszyć.

Chłopczy nie mogą się dnia tego doczekać. Smarują uzdy i rzemienie siodła, czyszcza mosiężne kółka i sprzążki, koniom plotą ogony i grzywy, czyszcza, czyli jak tam mówią, „cudzą“ konie szczotką i grzebielcem, buty czyszą smarowidłem z wosku, mydła i sadzy, aby się świeciły, a dziewczyny przypinają im na kłobuki piękne nowe wstążki.

Młodzieńcy już wyruszyli konno; z samego Kuklika było ich dwudziestu, z całego pańskiego majątku koło dwustu, i gromadzą się na granicy w oznaczonym miejscu. Wszyscy mają równe ubiory świąteczne, konie mają piękne i pochod ich przedstawia się bardzo wspaniale. Ale Maciej odznacza się między wszystkimi wysokim wzrostem, piękną twarzą i szlachetną postacią. Młodzieży trzeba naczelnika, więc obrali sobie jednogłównie Macieja.

Wszyscy ustawili się rzędami po obu stronach drogi, Maciej zaś jako dowódzca stoi w środku sam. Tak uszykowani czekają; aż nareszcie nadjeżdżają państwo hrabiostwo, a skoro się zbliżyli do ustawionych szere-

gów młodzieży, chłopcy zdejmują „kłobuki“, podnoszą je do góry i grzmiącym głosem wołają: „Niech żyją!“ Potem zawracają się do pochodu i jadą za Maciejem, kłusującym na czele.

Przybywszy przed zamek, ustawili się ci młodzieńcy po obu stronach wielkiego dziedzińca, a Maciej jako dowódzca stanął u samej bramy, gdzie stali także inni przedniejsi z dóbr ludzie. Hrabstwo wysiedli przed bramą i szli pieszo do zamku, a jeźdźcy na skinienie Macieja znowu wzniosłszy znów w górę kłobuki, zawołali: „Niech żyją!“ Hrabia, mąż poważny i cokolwiek podeszły w latach, kłaniał się na wszystkie strony, hrabina uprzejmie dziękowała, a hrabianka, jedyna latorośl starodawnego rodu i dziedziczka szerokich tych włości, rumieniła się jak róża, mile dotknięta tém niespodzianém przyjęciem.

Hrabstwo doszedłszy do zamku, stanęli u pięknego jego wniścia, a kiedy już przemówił ksiądz proboszcz, urzędnicy hrabiowscy i powitano hrabstwo z różnych innych stron, zbliżył się Maciej na wronym koniu i przemówił w imieniu młodzieży. Mówił pięknie do hrabiego, przemówił także do hrabiny i hrabianki, a każdy się dziwił, skąd się wzięło tyle rozumu i wymowy w prostym i zwyczajnym słudze?

Hrabstwo byli z przemowy Macieja widocznie bardzo zadowolnieni, a gdy Maciej skończył oracyą, hrabia wypytywał dość długo o coś swego głównego zarządcę majątku.

Na piąty dzień po owém uroczystém przywitaniu hrabstwa przybył zaraz z rana do Kuklika sekretarz hrabiego i zażądał, aby wójt zwołał radnych, gdyż im musi udzielić ważnej wiadomości.

Radni i stary Knotek zeszli się zaraz i tu dowiadują się, że hrabia na życzenie gminy chce Macieja mieć gospodarzem na Cofałowym gruncie, nadto dodał hrabiowski sekretarz, że grunt już został zapisany w księdze gruntowej na własność Macieja. Aby zaś nowy gospodarz nie potrzebował nigdzie długu zaciągać, wypożyczono mu brakującą sumę dwóch tysięcy reńskich z dochodów pańskich na lat dziesięć bez procentów; owych zaś tysiąc złotych, które ma otrzymać Maciej z przysługą żoną jako wiano, daje mu hrabia darmo, aby Maciej mógł sobie obrać żonę zupełnie według swjej woli i upodobania. Nazajutrz o dziesiątej godzinie z rana winien się Maciej stawić w zamku, aby podpisać kontrakt.

Skoro pan sekretarz odjechał, zawezwany został Maciej zaraz do wójta. Pospieszył on tam niezwłocznie; a na wiadomość, co się stało, osłupiał i nie mógł wyjść z zadziwienia. Wszakże nie stracił przytomności, lecz postąpił sobie całkiem mądrze. Błogosławił Boga, chwalił hrabiego i dziękował gospodarzom, jakoby wiedział, że pierwsza pobudka do tego wszystkiego wyszła od nich. Prosił uprzejmie, aby go gospodarze przyjęli do swego grona, przyrzekał, że im nie będzie niewdzięcznym i że się będzie starał usilnie, aby gminie nigdy nie zrobił wstydu.

I w zamku dobrze się Maciej popisał i tak serdecznemi słowy podziękował hrabiemu, że tenże był wielce wzruszony.

W powrocie ze zamku wstąpił Maciej na cmentarz Kuklicki i modlił się długo na grobie stryja. Od zmarłych udał się do żywych i pospieszył prosto do

Przetakowej chaty, aby zwiastować ciotce radosną nowinę.

Tam jednak już wiedzieli, co się stało i że Maciej został gospodarzem. Cofałowa nie chciała temu długo uwierzyć, mówiąc, że nie uwierzy, póki się od samego Macieja o tém nie dowie. Przetak chodzi po izbie ze złożonemi rękoma i z odkrytą głową, wielbi Pana nad Pany i co chwila przytacza słowa Pisma świętego dla chwały dziwnych rządów Bożych. „O jak dziwne są drogi Pańskie i niepojęte sądy jego!“ Maryna zaś wygląda jakoś smutna i zamyślona; ona już od szkolnych czasów bardzo lubi Macieja, szanuje go i poważa; zawsze się cieszyła, kiedy Maciej ciotkę odwiedzał; lecz teraz mniema, że jako gospodarz już nie przestąpi więcej progu smolarzowej chaty, i dla tego smuci się nie mało.

Kiedy tak różne uczucia budzą się w sercach tych poczciwych ludzi, wstępuje Maciej do izby. Przetak go wita serdecznie, nie wie jednak, czy ma Maciejowi mówić „ty“, czy „wy“, albo jak mówią czy mu „tykać“, czy „dwoić“, i jaka się po trosze. Maryna się wstydzi jakoś Macieja i cofa się wtył, tylko Cofałowa wyciąga ręce i woła: „Chłopcze, dla Boga, czy to prawda?!“

„Prawda cioteczko, prawda, zapewnia Maciej. Będziecie znowu gospodarzyć na swoich starych śmieciach!“

„Mój Boże! — A ja grzeszna myślałam, że to niepodobna“, i płacze biedna Cofałowa z radości, a wszyscy jój wtórują całym głosem.

XV.

Maciej już gospodarzy na gruncie. Cofałowa jest gospodynią, a Przetak z Maryną mieszkają z nimi. Czy się Przetakowi sprzykrzyła chyża po ojcach odziedziczona, że się z nią i z córką wyniósł? — Nie — ale nie mógł sobie inaczej postąpić, bo Cofałowa w żaden sposób nie chciała się przenieść do stariej swojej siedziby, jeżeli Przetak i Maryna z nią nie pójdą; Maciej zaś musiał pojąć Marynę za małżonkę, aby spełnić wolę ciotki. Prawda że go serce z tego powodu nie bardzo bolało, bo Maryna była mu z pomiędzy wszystkich dziewczyn na całym świecie najmiłsza dla swjej pobożności i cnoty. Przetak zaś aby sam między smolakami nie tęsknić, sprzedał chyżę, otrzymanych za nie sto złotych dał Marynie jako wiano i razem z nią przeniósł się na Cofałowe dawniej, a obecnie Maciejowe gospodarstwo.

Skoro się to rozniosło, że Maciej gospodarzy na gruncie, opuścił Sikora swoją służbę w pańskim dworze i także na dawne śmiecie powrócił. Tak samo uczyniła dziewczka Hana, tylko Teresa nie powróciła, bo przed rokiem powołał ją Najwyższy Gospodarz do wieczności.

W gospodarstwie Maciejowem idzie znowu wszystko starym trybem, jak za czasów nieboszczyka Cofały. Maciej i Sikora pracują w polu, Hana jest starszą służącą, w miejscu młodziej pracuje chętnie Maryna. Dziękuje Bogu, że jest Maciejową małżonką, i chętnie zostawia ciotce urząd gospodyni. I dobrze na tém wychodzi, bo jako młoda jeszcze i niedoświad-

czona żadną miarą nie potrafiłaby lepiej gospodarzyć niż Cofałowa.

Cofałowa w swém własném dawném gospodarstwie nie postępowała tak oględnie i oszczędnie jak obecnie w cudzem. „Gospodarz ma liczne kreski w pańskiej kasie, mawiała zawsze, musimy się wszyscy przyczyniać do tego, aby tych kresek ubywało.“

Dla tego niczego nie zaniedbuje, co się przyczynia do podniesienia dochodów i chciałaby w domu sama wszystko zrobić. Przetak pomaga jęj ze wszystkich sił i dziwić się należy, że oboje ci ludzie, w starszym przecieź już wieku, tyle potrafią dokazać.

Maciejowi powodzi się bardzo dobrze. Gospodarstwo się dźwiga, dobrobyt się wzmacnia, bo wszyscy ciągną za jeden rzemień. Jeszcze nie minęły trzy lata, a Maciej spłacił już sześć set złotych długu, chociaż to każdy początek bywa trudnym. Nie podlega wątpliwości, że z pomocą Boską wszystko spłaci i z czasem zostanie zamożnym rolnikiem.

Wszyscy są szczęśliwi i spokojni, tylko Cofałowa kiedy wspomni na Stasia, smuci się straszliwie. Lecz Przetak ją zawsze pocieszy i uspokoi.

Nauczył on strapioną matkę słów Zbawiciela: „O cokolwiek modłąc się prosić będziecie, wierząc, że weźmiecie i stanie się wam!“ Za pomocą tych słów przekonał Cofałową, że jeżeli będzie z silną wiarą prosić Boga, aby zobaczyła syna pokutującego i nawróconego, to go z pewnością takim zobaczy.

Cofałowa wierzy Przetakowi, bo jakżeby nie miała wierzyć słowom Chrystusa Pana? Jeżeli ją Bóg mógł znowu uczynić gospodynią, toć i syna jęj może oświecić sprowadzić na drogę cnoty i powrócić go matce.

Dla tego Cofałowa ma tę pewną nadzieję, że Stas powróci i że jego przybycie zupełnie uspokoi macierzyńskie serce i sumienie.

Razu jednego, a było to w piątek, właśnie przed dniem świętych Apostołów Szymona i Judy, zerwała się okropna burza i straszny wicher. W kominie gwizdał i wył wiatr przeraźliwie, gdzie niegdzie latały zerwane z dachu gonty czyli szyndzioły, a olsze w polu nad potokiem schylały się aż ku ziemi. Dla tego u Macieja spędzili bydło jeszcze przed zmrokiem, aby nie potrzebowali zganiać go potem wśród burzy. Na nalepie nie zaniecili ognia dla uniknięcia możliwego niebezpieczeństwa i chcieli zjeść zimną wieczerzą. Kiedy się ściemniło, zapalili kaganiec, usiedli za stołem i modlili się, mówiąc nabożnie Różaniec.

W połowie trzeciej tajemnicy zapukał ktoś ze dworu silnie do drzwi kilka razy. Wszyscy się przełękli, przestali się modlić, a Cofałowa w wielkim strachu szeptała: „Boże, zmiłuj się nad nami! Co też to będzie?”

„Coby miało być, odpowiedział Maciej, pewnie jaki podróżny lub ubogi szuka noclegu.“ I powstał, aby wyjść do sieni i zobaczyć, kto tam jest i co chce?

Nie omyliło go przeczucie, bo za chwilę wprowadził do izby człowieka okrytego długim płaszczem, który głosem przytłumionym prosił o nocleg. Przyjęto go, albowiem w Maciejowym domu znajdują biedni zawsze przytułek i kasek chleba; a ta jego gościnność tak już była znana w okolicy, że kto szukał noclegu, do innych drzwi w Kukliku nie zapukał.

Zebrani koło stołu domownicy modlą się dalej i przychodzeń z nimi: ukląkł u drzwi i głosem ciągle

jeszcze przytłumionym odmawia razem z nimi Różaniec.

Skończono wreszcie pacierze, na dworze burza cokolwiek się uciszyła i wszyscy siadają do wieczerzy wkoło misy, w której znajduje się mleko z nadrobionym chlebem. Jedna łyżka zbywa, a gospodarz według swego zwyczaju zaprasza podróżnego do stołu słowy: „Pójdźcie przyjacielu z nami wieczerzać!“

„Wieczerzajcie z Bogiem! Nie jestem głodny“, odrzekł podróżny. Ale darmo się opiera.

„Gdybyście z nami nie chcieli jeść, musielibyśmy sądzić, że macie względem nas złe zamiary,“ mówi gospodarz poważnym głosem.

Tak samo i Cofałowa zaprasza nieznajomego, bo od czasu, jak po raz drugi została gospodynią, jest bardzo litościwą na ubogich i ma nadzieję, że kiedy ona dobrodziejstwa wyświadcza ludziom, to i dobrzy ludzie czynią gdzieś tak samo jój Stasiowi. Dla tego ponownie wzywa nieznajomego do stołu i prosi: „Chodźcie tylko i wieczerzajcie z nami!“

Ponieważ obcy jeszcze nie okazywał ochoty do usłuchania jój, wstaje Cofałowa od stołu i idzie po gościu ku drzwiom.

Lecz cóż się dzieje? — Skoro podróżnemu popatrzała w oczy, cofa się, chwije się od zdziwienia, chce wydać z piersi okrzyk, ale nie może. W téj chwili podróżny pada przed nią na kolana, całuje jój ręce i woła: „Kochana matko! na Boga was proszę, przebaczenie marnotrawnemu synowi.“

Teraz dopiero zdołała Cofałowa przemówić: „Stasiu, moje dziecko!“ woła, klęka przy nim i ściska syna z całej siły.

Wszyscy domowi garną się od stołu do drzwi w największym zdumieniu i z radosnemi okrzykami witając przybysza. Maciej podnosi Stasia, Maryna Cołałową, a Przetak jak w zachwyceniu podnosi ręce ku niebu i woła: „O cokolwiek modląc się prosić będziecie, wierzajcie, że weźmiecie, i stanie się wam!“

Kiedy pierwszy wybuch radości i zdziwienia minął, a spokój w części powrócił, zasiedli znów wszyscy koło stołu. Staś usiadł na pierwszém miejscu, a matka obok niego, Maciej i Maryna po bokach, a Przetak na drugim końcu. Sikora i Hana chcieli odejść, lecz Staś nie pozwolił i rzekł: „Wy także należycie do rodziny i powinniście wiedzieć o wszystkiém.“ Pozostali więc i także zasiedli przy stole.

Staś był bardzo pięknie przyodziany, twarz jego czerstwa i wesoła świadczyła o zdrowiu. Posiliwszy się nieco, jał opowiadać wypadki swego życia jak następuje:

„Moje życie od chwili, kiedym ojcowską spuściznę przez lekkomyślne życie utracił i opuściwszy biedną matkę, w świat uciekł, nie obfituje w zajmujące i ciekawe wypadki, aczkolwiek rzeczy zaszłe w tym czasie ogromnego dla mnie są znaczenia. Uciekłem jako Kain bratobójca; chciałem uciekać jak najdalej i gdzie mnie nikt nie zna, w mniemaniu, że można uciec przed gryzącym sumieniem robakiem. Lecz nie mogłem. Świadomość złego, którem popełnił, ścigała mnie wszędy i nie miałem jednej spokojnej chwili. Blisko jaki miesiąc nie spocząłem pod strzechą ludzkiego mieszkania, nocowałem ze zwierzętami w polu, a czém się przez cały ten czas żywiłem, sam już nie wiem. Po długiej takiej wędrówce bez celu uczułem się ogromnie sła-

bym i pojawiły się ślady zbliżającej się jakiegś ciężkiej choroby. Głowa była rozpalona i zawracała się, ciało się chwiało i trzęsło, w żołądku uczulem straszne bóleści. Nie mogłem iść dalej. Z niewymowném wyęzieniem ostatnich sił zacząłem się na pagórek, okrążony piękną doliną, którą przerzynała dość bystra rzeka; za rzeką wznosiło się drugie wzgórze, cokolwiek niższe, na którego wierzchołku leżało miasteczko z kościołami, wieżami i zwaliskami starego grodu. To jest ostatnia rzecz, którą z tego czasu pamiętam; wnet powlekła oczy gruba jakaś zasłona i straciłem przytomność.

„Co potem nastąpiło, wydawało mi się długim i straszliwym snem. Obrzydliwe obrazy z przeszłego życia, obrazy moich błędów i grzechów stawały mi ciągle w oczach i trapiły mnie jak dzikie mary. Chciałem się ich pozbyć, chciałem uciec strasznym tym zjawiskom, lecz nie mogłem. Krzyczałem, wołałem pomocy, lecz daremnie. Ostatnia ogarniała mnie rozpacz, aż znowu nastąpiło jakieś odrętwienie umysłu i zupełna bezprzytomność.

„Z tego długiego snu, w którym ciągle znajdowałem się między życiem a śmiercią, przebudziłem się nareszcie. Lecz to co się wkoło mnie działo, wydawało mi się znowu więcej złudzeniem, niż rzeczywistością. Upadłem był na pagórku przy drodze na między, a obudziłem się w długiej i chędogiej sali, gdzie stały dwa rzędy łóżek z chorymi, a poważne postacie w odzieży jakoby kapłańskiej przesuwwały się między chorymi, aby ich pielęgnować i podawać lekarstwa. Dwie takie postacie znajdowały się właśnie obok mojego łóżka, a skorom otworzył oczy, ucieszyły się bardzo i dziękowały Bogu za moje przebudzenie.

„Dzięki Bogu, niebezpieczeństwo minęło,“ szepnął jeden ze stojących przy mnie mężów, drugi zaś przyniósł fiaszeczkę z lekarstwem i wlał mi trzy razy do ust po łyżce, przez co zupełnie odzyskałem przytomność.

„Poznałem, że znajduję się w szpitalu Miłosiernych Braci, uczniów świętego Jana Bożego, którzy poświęcili życie swoje, aby biednych i opuszczonych chorych za darmo pielęgnować i leczyć, a spełniają to zadanie z zupełnym zaparciem siebie i z wielką sumiennością. Znalezione mnie przy drodze i za staraniem braci zostałem zanieiony do szpitala, gdzie przebyłem niebezpieczną gorączkę.

„Pod troskliwą opieką Braci wkrótce wyzdrowiałem, ale złe sumienie nie przestało gryść serca. Moje wewnętrzne i skryte bólesci i męki nie uszły uwadze Braci, którzy i z tych pragnęli mnie wyleczyć. Jeden z braci jest zarazem kapłanem i ten służy duchownym potrzebom chorych; ten często siadywał przy mnie, a łaskawą rozmową pozyskał serce moje zupełnie. Upatrzawszy dogodną chwilę, oznajmił mi krótko, że ja potrzebuję także duchownego lekarstwa i że byłoby bardzo dobrze przynieść ulgę sumieniu przez odprawienie sumiennęj spowiedzi.

„Rad nierad usłuchałem tego Brata i błogosławić będę onęj godzinie aż do ostatniego tchu mego życia. Świętej spowiedzi onęj wyjawiać wam nie mogę, ale wtenczas dopiero dziękowałem Bogu z całego serca, że za Jego zrządzeniem urodziłem się w kościele katolickim, który za pomocą sakramentu świętej pokuty nawet rozpaczającego człowieka jedna z łosom i przywiązuje do życia. Dla szczeręj skruchy i mocnego

przedsięwzięcia, że się poprawię, otrzymałem rozgrzeszenie i oraz radosne zapewnienie, że gniew Boski już na mnie nie spoczywa i że bez bojaźni a nawet z ufnością mogę się znowu zbliżyć do Boga. Ta pewność wzmocniła mnie i dodała mi odwagi, abym życiem bogobojnym i dobrymi uczynkami zmazał dawne grzechy i wedle sił za nie odpokutować postanowił.

„Wyzdrowiałem wreszcie zupełnie i odzyskawszy siły, pragnąłem odwdzińczyć się Braciom za uzdrowienie me cielesne i duchowe. Oświadczyłem im, że chcę u nich pracować, co oni chętnie przyjęli. Rąbałem im drwa, kopałem w ogrodzie, tłukłem zioła lekarskie w moździerz lub tarłem. Ponieważ zaś właśnie wtenczas dwaj Bracia w szpitalu zachorowali, użyto mnie w potrzebie do pielęgnowania chorych, Bracia bowiem byli mi przychylni i sam przełożony, którego zowią „przeorem“, wyrażał mi swoje zadowolenie z méj pracy.

„Ponieważ mnie z klasztoru nie wydalano, zostałem tamże wśród takich zatrudnień przez cały rok. W końcu jednak powstała we mnie obawa, że się może Braciom naprzykrzę, i oznajmiłem to przeorowi, że może już dla mnie będzie czas odejść. Lecz ten mi oświadczył, że rok próby przebył szczęśliwie i jeżeli chcę, wolno mi pozostać w klasztorze i nadal, a jeżeli się Bogu będzie podobało, nawet na zawsze. Te słowa tak mię ucieszyły, że padł przeorowi do nóg i pozostałem w klasztorze.

„Dręczyła mnie tylko ta jedyna myśl, że moja uboga matka może cierpi nędzę i niedostatek. Zwierzyłem się z tą troską ojcu przeorowi, a on napisał list do księdza dziekana Jaroszowskiego. Wkrótce

otrzymał od tegoż pocieszającą odpowiedź. Dowiedziałem się o wszystkich wypadkach, które tutaj tymczasem zaszły; błogosławiłem Macieja i dziękowałem Bogu za szczęście, które mu raczył zgotować.

„Postanowiłem nigdy już więcej wam się nie pokazać, aby swoim przybyciem nie odnowić ran w sercu matki. Lecz ojciec przeor oświadczył mi stanowczo, że jeżeli chcę na zawsze pozostać w klasztorze, muszę pierwej uzyskać przebaczenie i błogosławieństwo matki. Postarał się dla mnie o wszystko czego mi na drogę było potrzeba, a tak teraz przestąpiłem próg, któremu inaczej nie był godzien przekroczyć. Przebaczenie kochanej matki już otrzymałem i spodziewam się, że mi także i błogosławieństwa nie odmówi.“ Przy ostatnich słowach spojrzał błagalnym wzrokiem na matkę.

Cofałowa, której jak i drugim podczas opowiadania Stasia łyż z oczu płynąć nie przestały, objęła syna w ramiona, pocałowała w czoło i rzekła z płaczem: „Chętném sercem dam ci błogosławieństwo, moje dziecię!“

Maciej radził, aby Staś do klasztoru już nie powracał. Chciał pójść do urzędu i żądać podziału gruntu. Sądził, że grunt jest dosyć wielki i że dwaj gospodarze mogą na nim wyżyć.

Cofałowój podobało się zdanie Macieja, lecz Staś podawszy Maciejowi rękę, potrząsł głową przecząco, i uśmiechał się, jakoby chciał powiedzieć, że się już dawno wyrzekł świata i jego szczęścia.

Tylko dwa dni zabawił Staś w Kukliku i pierwsze pół dnia przepędził całe samotny na grobie ojca. Przed odejściem pobłogosławiła mu matka, a w miejsce ojca pobłogosławił go Przetak.

Jeszcze raz powtórzył Maciej swą propozycją o podziale gruntu, lecz Staś odpowiedział, że sam na własną rękę ofiary téj przyjąć nie może. Chciał się w téj mierze poradzić ojca przeora i przyrzekł, że wkrótce doniesie listownie, co w téj sprawie postanowi.

XVI.

Dziesiątego dnia po odejściu Stasia nadszedł list. Woźny gminny przyniósł go z poczty. List ten był adresowany do Macieja.

Wszyscy sądzili, że to list od Stasia, w którym tenże miał donieść, jak się zdecydował co do objęcia połowy gospodarstwa. Lecz zgadli tylko w części. List nie był od Stasia, lecz od samego ojca przeora, który donosił, że w niedzielę przed świętą Katarzyną Staś złoży profesyą czyli przysięgę lub śluby zakonne, aby następnie już na zawsze pozostać w klasztorze. Dalej zapraszał Ojciec przeor serdecznie Macieja i Cofałową, aby z pewnością przybyli na tę uroczystość do klasztoru Miłosiernych Braci.

Maciej odczytał pismo to głośno i został jego treścią boleśnie dotknięty. Zamierzał on bowiem szczerze podzielić się ze Stasiem gruntem, więc nie było mu miłym, że jego prośba została odrzuconą. Cofałowa płakała. Wolałaby ona widzieć syna gospodarującego chociażby tylko na połowie gruntu, aniżeli żyjącego w klasztorze. Mówiła biedna matka, że będzie już zawsze daleko od niego, że się nie będzie mogła z nim widzieć i cieszyć, i że będą jedno dla drugiego jakby na zawsze straceni. Maryna także się smuciła z od-

mowy Stasia i sądziła, że lepiejby było, gdyby Stas powrócił do domu, boby mu w Kukliku z pewnością było dobrze.

Jedyny Przetak nie zgadzał się na ich wywody; nie mógł on się nacieszyć z postanowienia Stasia i strofował tak Macieja, jak zwłaszcza Cofałową i Marynę słowy Pisma świętego: „Wyście wszyscy cielesni i nie rozumiecie tych rzeczy, które są z góry!” Na Stasia spadła łaska Boża i dobrze czyni, że się nie sprzeciwia wyższemu natchnieniu.

Temi i podobnemi słowy udało mu się uspokoić wszystkich, nawet Cofałową. Postanowiono, że na uroczystość składania ślubów przez Stasia pojedzie Maciej i Cofałowa, pragnęli bowiem zobaczyć Stasia w klasztorze.

Nadeszła wreszcie niedziela przed świętą Katarzyną. W mieście, gdzie się klasztor znajduje, jest w ten dzień wielka uroczystość. Dzwony już od samego rana odzywają się z klasztornych wieży i brzmią już prawie godzinę, a lud spieszy z bliska i z daleka do świątyni Pańskiej. W klasztorze odbędzie się uroczysta profesya, nowy braciszek zostanie przyjęty do zakonu. Każdy się cieszy, że zobaczy piękne i wzruszające obrzędy, a obszerny kościół napełniony jest i można powiedzieć napchany ludem aż po kraty przed ołtarzem.

O dziesiątej godzinie przed południem wyszedł z zakrystyi szereg braci, nowy braciszek czyli profitent z przeorem szli na końcu, a za nimi postępowali młody jakiś rolnik i kobieta już podeszła wiekiem, oboje w odświętnym stroju, jaki noszą w Kuklickiej okolicy.

Bracia stanęli długim rzędem przed ołtarzem, ojciec przeor zasiadł na krześle pokrytem aksamitem, tuż

obok leży księga z ewangelią i ceremoniał zakonny, a opodal ustawiono krzesło dla matki, aby także usiadła; albowiem nabożeństwo i święte obrzędy, będą długo trwałe, stare nogi nie zdołałyby tak długo wystać. Usiadła więc matka na krzesło, a Maciej stanął obok niej.

Nowy braciszek stanął przed ojcem przeorem. Z całej jego postawy widać, że jest silny i zdrowy, że aż miło na niego popatrzeć, jednak dla wielkiego wewnętrznego wzruszenia cokolwiek blady. Na głowie ma wieniec z ruty, a w długim zakonnym habicie bardzo mu do twarzy.

W kościele cisza, nikt się nie ruszy, wszystkie oczy zwrócone na ołtarz pięknie przystrojony i oświetlony, bo święta ceremonia już się rozpoczęła.

W krótkiej, lecz jędrnej przemowie obwieścił ojciec przeor ludowi, że nowy braciszek wyrzekłszy się świata i poświęciwszy się Chrystusowi i usługom chorych, według dawnego zwyczaju dla oznaczenia zmiany życia oprócz sukni zakonnej przybrał także nowe imię i od-tąd nosić będzie miano zakonne „Renat“, co znaczy „odrodzony“ czyli „nowo narodzony“. Po tém przemówieniu zadał ojciec przeor nowemu braciszce różne pytania: czy się chce wyrzec wolności w rozumieniu tego świata dla czci imienia Boskiego? czy chce być przełożonym posłuszny? czy ma wiek przepisany przez zakon? czy jest zupełnie zdrow? itd.

Kiedy profitent na wszystkie te pytania odpowiedział jak należy, zastrzegł sobie ojciec przeor uroczyscie, że jeżeliby która z jego odpowiedzi była nieprawdziwa i wydałoby się to później, to w takim razie nowy braciszek zostanie z zakonu wydany.

Po takiem zastrzeżeniu przeora składał Staś, a teraz już Renat, cztery główne śluby zakonne, mianowicie że chce zawsze i wszędzie przestrzegać posłuszeństwo, czystość, ubóstwo i gościnność, a ojciec przeor pytał go wobec braci i wszystkiego ludu, czy chce przysięgą stwierdzić to co przyrzekł.

Renat odpowiedział potwierdzająco i zaraz złożył przysięgę w ręce przeora.

Bracia zakonni zmówili litanią do wszystkich świętych, ojciec przeor pobłogosławił profitenta, a ten rzucił swój wieniec ruciany za kraty, na znak, że się odąd wyrzeka wszelkich rozkoszy światowych.

Lecz święty obrządek jeszcze się nie skończył. Profitent położył się twarzą na stopnie ołtarza, a bracia pokryli go pogrzebowym pokrowcem, na znak, że umarł dla świata, i wzywali Ducha świętego, aby nowemu profesowi udzielić raczył łaski Bożej.

Po skończonej modlitwie zdjęli bracia pokrowiec, nowy braciszek wstał, a bracia włożyli mu na głowę różany wieniec, co ma znaczyć, że nowy profes chce mężnie iść ciernistą drogą swego powołania, aby zasłużyć na wieniec wiecznej chwały.

Jeden z zakonników, który zarazem jest kapłanem, zanucił wielkim głosem hymn świętego Ambrożego, i wszyscy śpiewali z nim razem.

Cofałowca całą tę ceremonią tak się wzruszyła od radości, że ledwie mogła na krześle usiedzieć, serce jej napełniło się niewymowném błogiem uczuciem; jak żywa, jeszcze takiego uczucia nie doznała. Od samej radości i nadziemskiej szczęśliwości prawie mdlała i nic innego sobie nie życzyła, tylko aby w takich uczuciach umarła.

Po ceremonii ślubów nastąpiła uroczysta msza święta, w której po komunii kapłan ukląkł przed ołtarzem Renat i przyjął komunię świętą razem z matką, która ten błogosławiony dzień uczciła świętą spowiedzią. Zbyttnio przejęta swoim uczuciem radości, nie mogła sama dojść do ołtarza i Maciej ją podprowadził. Klękała obok syna, który w swym stroju zakonnym podobnym jest do kapłana, a rozplywając się w uczuciu wdzięczności ku Bogu z niewymowném upragnieniem przyjęła do serca Zbawiciela swego w świętej komunii. Już Go przyjęła, a szczęśliwość jej w tej chwili doszła najwyższego stopnia. Nogi się pod nią zachwiały i padła na twarz na stopniach ołtarza. Czy może omdlała? Przybiegł Maciej, chciał staruszkę podźwignąć, lecz ona leży bez sił. Przyszedł syn, przybiegli w pomoc i inni bracia zakonnicy, lecz daremne ich usiłowania, nie mogą Cofałowej więcej do życia przywołać.

O szczęśliwa, trzykroć szczęśliwa matko! Na stopniach ołtarza, po przyjęciu Zbawiciela ze świętej radości skończyłaś życie doczesne, aby się w téjże chwili przed obliczem Boga przebudzić do życia wiecznego i do radości tysiącokroć większych a nieprzemijających.

W dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny bywa w tymże klasztorze wielki odpust. W ten dzień przychodzi tam mnóstwo ludu i wolno każdemu przechadzać się po ogrodzie klasztornym i po cmentarzu położonym obok ogrodu.

Kiedy nadszedł najbliższy ten odpust, szczególnie jeden grób na cmentarzu odznaczał się od drugich swém przyozdobieniem, obfitem w śliczne kwiaty i zieleń.

Na grobie tym klękły trzy osoby: jeden braciszek zakonny, stary jakiś wieśniak i młoda wieśniaczka, oboje w stroju wieśniaków z okolicy Kuklickiej. Klęcząc modlili się wszystko troje bardzo długo.

Czytelnicy nasi łatwo zgadną, co to za ludzie. Stary Przetak i Maryna przybyli do klasztoru na odpust, aby się pomodlić na grobie Cofałowej i raz jeszcze zobaczyć braciszka Renata.

Koniec.

•

•

Rachunek Dziedzictwa za rok 1890.

Fundusz stały.

Dochód.

	złr.	ct.
1. Od pierwszego grudnia do końca roku wpłynęło	12	40
2. Do pierwszego grudnia 1890 r. według osta- tniej książki	331	52
Razem	343	92

Rozchód.

1. Do kasy domu (zobacz pozycję 1. w docho- dach domu za rok 1891 od pierwszego grudnia)	107	09
2. Do kasy domu (zobacz pozycję 9. tego sa- mego rachunku	236	83
Razem	343	92

Fundusz obrotowy.

Dochód.

Wynosił	20	00
-------------------	----	----

Wydatek.

1. Na porto	1	72
2. Do kasy domu (zobacz pozycję 10. rachunku domu za rok 1890)	18	28
Razem	20	00

Rachunek Dziedzictwa za rok 1891 aż do 1. grudnia.

Fundusz stały.

Dochód.

Wkładki członków	153	31
----------------------------	-----	----

Rozchód.

1. Do kasy domu (zobacz ukończenie rachun- ków za 1890, pozycja 13.)	10	00
2. Do kasy domu (zobacz rachunek domu za 1891, poz. 14.)	69	31
Razem	79	31
Pozostaje w kasie	74	00

Fundusz obrotowy.

Dochód.

1. Za kancyonały z Białej	3·00
2. Za kancyonały z Czechowic	14·60
3. Za dwa egzemplarze Pielgrzymki	1·00
4. Za kancyonały	1·50
5. Za kancyonały ze Stonawy	7·50
Razem	27·60

Rozchód.

1. Do kasy domu (zobacz rachunek domu na 1891, poz. 15)	20 10
2. Na porto	0·80
Razem	20·90
Pozostaje w kasie	6·70

Rachunki domu za rok 1890 były podane w ostatniej książce aż do 1. grudnia. Podajemy niniejszém ich dalszy ciąg i zakończenie.

Dochód.

1. Z kasy Dziedzictwa	107·09
2. Udział z miejskiego browaru	10·00
3. Czynsz gospodzkiego za $\frac{1}{1}$ — $\frac{31}{3}$ 1891	190·00
4. Od tego czynszowy krajcar	5·70
5. Za użycie gazu od gospodzkiego	5·61
6. Od Związku za całoroczne użycie lokalu	100·00
7. Mieszkanie na II. piętrze za $\frac{1}{1}$ — $\frac{31}{3}$ 1891	75·00
8. Od tego czynszowy krajcar	2·25
9. Z kasy Dziedzictwa (z funduszu stałego)	236·83
10. Z kasy dziedzictwa (fundusz obrotowy)	18·28
11. Czynsz od „Snahy“	50·00
12. Czynszowy krajcar	1·50
13. Z kasy Dziedzictwa (z roku 1891)	10·00
14. Za użycie sali $\frac{4}{2}$	30·00
15. Za gaz	6·38
16. Do 1. grudnia 1890 według ostatniej książki	1079·00
Całkiem	1927·64

Wydatki od 1. grudnia 1890 do końca roku.

1. Gaz za listopad	16·66
2. Na podatek	107·09
3. Na węgle	1·65
4. Asekuracja domu	7·59
5. Ślusarzowi za nowe kraty	4·69
6. Hausmajstrowi za XI. i XII.	6·00
7. Cement, zapalki, petrolój, miotły	1·00
8. Do kasy oszczędności rata i procenta	546·40
9. Na węgle	1·70
10. Zmiatek	1·20
11. Gaz za XII.	17·23
12. Na węgle	1·65
13. Za wynoszenie śniega z podwórza	5·00
14. Za zrzucanie śniegu	3·00
15. Za wywiezienie śniegu	20·00
16. Na zupełne spłacenie druku „Bogumiła“	136·00
17. Na rachunek za „Pielgrzymkę“	36·41
18. Wydatki do 1. grudnia 1890 według ksiązek	1012·81
Razem	1926·08

Porównawszy z tém dochody 1927·64

Pozostaje nadwyżka 1·56

Spłacić jednak należy jeszcze dług za druk
„Pielgrzymki“, wynoszący 154·03

Rachunek domu Dziedzictwa za rok 1891 aż do 1. grudnia.

Dochody.

1. Za użycie sali od Snahy.	18 00
2. Czynsz od restauracyi za $\frac{1}{4}$ — $\frac{30}{6}$	190 00
3. Czynszowy cent	5 70
4. Czynsz za mieszkanie na II. piętrze za $\frac{1}{4}$ — $\frac{30}{6}$	75 00
5. Czynszowy cent	2·25
6. Od sali $\frac{11}{4}$	28·00

Do przeniesienia 318 95

	Z przeniesienia	318 95
7.	Od czeladników za gaz	10 00
8.	Czynsz od Snahy.	50 00
9.	Od sali.	10 00
10.	Czynsz restauracyi za $\frac{1}{7}-\frac{30}{9}$	190 00
11.	Czynszowy cent	5 50
12.	Czynsz za mieszkanie na II. piętrze $\frac{1}{7}-\frac{30}{9}$	75 00
13.	Czynszowy cent	2 25
14.	Z kasy Dziedzictwa (fundusz stały)	69 31
15.	Z kasy Dziedzictwa (fundusz obrotowy)	20 10
16.	Od Snahy czynsz za $\frac{1}{7}-\frac{30}{9}$	50 00
17.	Zadatek na mieszkanie w II. piętrze	50 00
18.	Zadatek dla wynajęcia sali	20 00
19.	Czynsz restauracyi za $\frac{1}{10}-\frac{31}{12}$	190 00
20.	Czynszowy cent	5 70
21.	Czynsz za mieszkanie na II. piętrze za $\frac{1}{10}-\frac{31}{12}$	75 00
	Razem	1141 81

Wydatki.

1.	Na rozsyłanie książek	10 00
2.	Gaz za II.	27 67
3.	Wywóz gnojówki	6 00
4.	Na węgle	1 70
5.	Za nową szybę	1 35
6.	Gaz za III.	14 80
7.	Hausmajstrowi za I. II. III.	9 00
8.	Petrolój	0 20
9.	Miotły	0 12
10.	Zapałki	0 10
11.	Słoma	1 00
12.	Wymycie sali i izb	2 00
13.	Gaz za I.	21 40
14.	Węgle	1 65
15.	Gaz za IV.	21 07
16.	Na podatek	100 00
	Do przeniesienia	218 06

	Z przeniesienia	218·06
17. Za bielenie i mycie		2·00
18. Za żber		4·00
19. Do kasy oszczędności czynsz i ratę . . .		539·75
20. Gaz za V. i VI.		13·54
21. Kominiarzowi za czas $\frac{1}{7}90$.— $\frac{30}{8}91$. . .		16·50
22. Gaz za VII.		5·34
23. Gaz za VIII		7·43
24. Na podatek		50·00
25. Stolarzowi za roboty		6·64
26. Za miotły		0·48
27. Rzaz (trociny)		0·40
28. Naprawa gazu		0·30
29. Wynaszanie śmieci		0·80
30. Izba dwa razy myta		1·00
31. Zmiatki		0·60
32. Za przenoszenie rzeczy Dziedzictwa . .		1·00
33. Gaz na IX. i X.		25·09
	Razem	892 93

Spis członków.

Członkowie duchowni.

1. Jego Eminencya kardynałksiążę biskup Dunajewski Albin w Krakowie.
2. Najprzewielebniejszy ks. prałat Matzke w Krakowie.
3. Przewielebny ks. komisarz Findyński Karol, dziekan i proboszcz w Cieszynie.
4. Przewielebny ks. kanonik Rybarski Jan, proboszcz w Tuchowie.
5. Babuszek Wacław, przełożony zakładu bar. Celesty w Cieszynie.
6. Baran Jan, dziekan i proboszcz w Strumieniu.
7. Biołek Józef, katecheta gimn. w Bielsku.
8. Doleżel Józef, proboszcz w Zabrzegu.
9. Dudek Tomasz, administrator w Cieszynie.
10. Dziekan Henryk, proboszcz w Niem. Lutyni.
11. Duś Jan, proboszcz w Mostach.
12. Ferfecki Józef, proboszcz w Brennėj.
13. Gałuszka Karol, proboszcz w Stonawie.
14. Gondek Felix, proboszcz w Krzyżanowicach.
15. Gregor Józef, proboszcz w Płużnicy.
16. Harbut Michał, proboszcz w Przytkowicach.
17. Hawlas Tomasz we Wiedniu.
18. Hawlas Franciszek, wikary we Frydku.
19. Hrubetz Józef, emer. proboszcz w Jabłonkowie.
20. Msgr. ks. kanonik Hudziec Karol, dziekan i proboszcz w Frysztacie.
21. Jarosz Ryszard, proboszcz w Ligocie.
22. Jurczyk Józef, proboszcz w Ochabach.
23. Koczy Józef, proboszcz w Średniej Suchej.
24. Kołek Jerzy, proboszcz w Błędowicach.

25. Kończycki Franciszek w pensyi.
26. Koziar Franciszek, proboszcz w Trzynie.
27. Kuczera Jędrzej, proboszcz w Skoczowie.
28. Langer Antoni, proboszcz w Pierscu.
29. Dr. Łukowski w Gnieźnie.
30. Minster Antoni, emer. proboszcz w Izdebném.
31. Muzyczka Franciszek, proboszcz w Czechowicach.
32. Moroń Piotr, proboszcz w Rychwałdzie.
33. Nogol Antoni, proboszcz w Starych Hamrach.
34. Olszak Antoni, proboszcz w Wendryni.
35. Oreł Alojzy, dziekan w Jabłonkowie.
36. Paszek Józef, proboszcz w Górnjej Suchej.
37. Paździora Karol, proboszcz w Gnojniku.
38. Piesna Jerzy, proboszcz w Puńcowie.
39. Rduch Szymon, proboszcz w Wielkich Kończycach.
40. Rychtarski Ignacy, proboszcz w Międzyrzeczu.
41. Sandanus Ludwik, dziekan i proboszcz w Połomi.
42. Skiba Józef, dziekan w Ustroniu.
43. Śliwka Tytus, dziekan w Rudzicy.
44. Skupnik Wincenty, proboszcz w Pogwizdowie.
45. Ścisła Antoni, proboszcz w Skalic.
46. Msgr. Sikora Jan, biskupi kanclerz w Cieszynie.
47. Skupin Henryk, proboszcz w Izdebném.
48. Speil Ferdynand, spirytualny w Wrocławiu.
49. Świeży Ignacy, profesor gimn. w Cieszynie.
50. Szindler Emilian, proboszcz w Jasienicy.
51. Wicherek Karol, proboszcz w Próchnej.
52. Wider Rajmund, wikary w Ameryce.
53. Witko Jan, proboszcz w Kosowicach.
54. Wróbel Józef, proboszcz w Dobracicach.

Członkowie świeccy.

55. Bazyliidesowa rodzina w Jabłonkowie.
56. Glencowa rodzina w Pszowie.
57. Kubickowa rodzina w Bojanowie.
58. Steblowa rodzina w Pietrowicach.
59. Fuczkowa rodzina w Ruptawej.

60. Antończyk Jan wymownik, w Połomi.
61. Antończyk Józefa w Połomi.
62. Adamczyk Józefa w Połomi.
63. Bączek Jan w Pogorzu.
64. Badziura Franciszek w Wojnowicach.
65. Bałoń Ewa w Skoczowie.
66. Bagińska Maryanna w Jabłonkowie.
67. Banasz Anna w Rajczy.
68. Baszczyński Józef w Skoczowie.
69. Badziura Weronika.
70. Banot Józefa w Wielkich Kończycach.
71. Bączek Paweł, chałupnik w Dolnej Lesznej.
72. Bierska Teresa w Pruchnej.
73. Bednarczyk Walenty w Niemieckiej Lutyni.
74. Bernacik Antoni w Wielkich Kończycach.
75. Biblioteka teologów wrocławskich w Ołomuńcu.
76. Bijok Anna w Wielkich Kończycach.
77. Błahut Barbara w Łakach.
78. Blaszczyk Józef, maszynista w Cieszynie.
79. Bloksza Jan w Boguminie.
80. Bocek Ewa w Boconowicach.
81. Bojda Ewa w Wielkich Górkach.
82. Bojda Paweł w Brennej.
83. Botorek Jan w Wielkich Kończycach.
84. Bocek Maryanna w Piosku.
85. Bomba Anna.
86. Bijok Jan, chałupnik w Kaczycach.
87. Broncek Anna w Jabłonkowie.
88. Brahaček Franciszek w Małych Kończycach.
89. Brahaček Wincenty w Małych Kończycach.
90. Branny Anna w Mostach pod Cieszynem.
91. Branny Jan w Boguszowicach.
92. Brunowska Zuzanna w Cieszynie.
93. Brychey Michał w Rudzicy.
94. Buchta Jan w Mnichu.
95. Buchta Maryanna w Skoczowie.
96. Bujok Paweł w Brennej.
97. Bułda Wiktoria w Wojnowicach.

93. Brunowski Barbara w Jabłonkowie.
99. Bulik Teodor w Cieszynie.
100. Burget Rudolf w Skoczowie.
101. Byrtuś Anna w Łomnej.
102. Byrtuś Zuzanna w Łomnej.
103. Chlebus Paweł w Cieszynie.
104. Ciompa Ewa z Wielego Pola.
105. Chromik Anna w Cieszynie.
106. Chmiel Barbara w Pietrowicach.
107. Chmiel Paweł w Ropicy.
108. Cholewa Jan w Ustroniu.
109. Cholewik Antoni w Zebrzydowicach.
110. Chowaniec Paweł, murarz w Puńcowie.
111. Chybidziura Jan w Wiśle.
112. Chyłek Franciszek, w Skrzeczoniu.
113. Cichy Leopold w Szonichlu.
114. Cieńciała Jerzy w Końskiej.
115. Cieślik Joanna w Wojnowicach.
116. Cimała Paweł w Bładnicach.
117. Cwiling Ignacy w Jabłonkowie.
118. Cwięczek Zuzanna w Cieszynie.
119. Cyhan Rozyna w Jabłonkowie.
120. Czaputa Michał w Skoczowie.
121. Czech Anna w Skoczowie.
122. Czepel Agnieszka w Bielsku.
123. Czekala Apolonia w Wojnowicach.
124. Czudek Jerzy w Trzynie.
125. Czudek Józef w Cieszynie.
126. Czytelnia katolicka w Jabłonkowie.
127. Czytelnia katolicka w Skoczowie.
128. Czytelnia katolicka w Zabrzegu.
129. Czyż Franciszek w Otrębowie.
130. Czyż Jan w Kaczycach.
131. Czyż Weronika w Ruptawej.
132. Damiec Emil w Dzieńmorowicach.
133. Danek Andrzej w Cieszynie.
134. Danel Jan w Bielsku.
135. Dłuhý Jan w Nowej Wsi.

136. Domes Jan w Cieszynie.
137. Dostal Józef w Górnjej Suchěj.
138. Drapa Józef w Zebrzydowicach.
139. Drażek Anna w Leszněj.
140. Drobek Anna w Wielkich Kończycach.
141. Drobisz Jan w Ropicy.
142. Drobisz Jerzy w Ropicy.
143. Dymasz Joanna w Zebrzydowicach.
144. Dzida Maciej w Bronowie.
145. Dziekan Adolf w Radwanicach.
146. Duława Paweł w Gnojniku.
147. Faryna Franciszek w Chybiu.
148. Feitzinger Henryk w Cieszynie.
149. Ferens Józefa w Cieszynie.
150. Fibich Franciszka w Cieszynie.
151. Fiksek Maryanna w Skoczowie.
152. Filasiewicz Hilary w Cieszynie.
153. Fiszer Józef w Cieszynie.
154. Fober Katarzyna w Wielkich Kończycach.
155. Fober Anna w Hażlachu.
156. Fober Zuzanna na Bobrku.
157. Foltyn Maryanna w Wielkich Kończycach.
158. Foltyn Wincenty w Kaczycach.
159. Foltyn Józef w Wielkich Kończycach.
160. Francel Anna w Izdebném.
161. Franek Jan w Puńcowie.
162. Franek Anna w Cieszynie.
163. Franek Józef w Ropicy.
164. Franek Maryanna w Cieszynie.
165. Fuks Katarzyna w Wilamowicach (Galicya).
166. Fusik Wawrzyniec w Zebrzydowicach.
167. Gabzdyl Anna w Dębowcu.
168. Gabzdyl Paweł w Dębowcu.
169. Gabzdyl Paweł w Ligocie.
170. Galeja Paweł w Cieszynie.
171. Galisz Juliana w Ruptawěj.
172. Gamrot Augustyn w Próchněj.
173. Gamrot Jan w Skoczowie pod Borkiem.

174. Gąsior Maryanna w Połomi.
175. Gawlas Jan w Skoczowie.
176. Gawlas Zuzanna w Lipowcu.
177. Gawłowski Franciszek w Otrębowie.
178. Gawłowski Józef w Rudzicy.
179. Galocz Jan w Karwiniej.
180. Gawlas Józef w Iłownicy.
181. Gerhard Anna w Zabłociu pod Strumieniem.
182. Gajdaczek Franciszek w Cieszynie.
183. Grim Józef w Gołkowicach.
184. Gross Albin w Łabędziach.
185. Gross Jan w Łabętach.
186. Grzesik Jan w Błazejowicach.
187. Gębala Franciszek w Kostkowicach.
188. Glac Maryanna w Pogwizdowie.
189. Glenc Maryanna w Pszowie.
190. Golasowski Franciszek w Zebrzydowicach.
191. Golik Maryanna w Skoczowie.
192. Gołyszny Franciszek w Mnichu.
193. Gańczarczyk Anna w Bielowicku.
194. Górniok Helena w Skoczowie.
195. Górnioszek Franciszek w Rychwałdzie.
196. Granica Juliusz w Wielkich Kończycach.
197. Gregor Aniela w Tuchowie.
198. Gruszczyk Józef w Małych Górkach.
199. Goryl Anna w Zamarskach.
200. Gruszka Jan w Łomnej.
201. Gruszka Karolina w Skoczowie.
202. Grycz Anna w Cieszynie.
203. Grycz Paweł w Dolnej Lesznej.
204. Grycz Katarzyna w Dzinglowie.
205. Grycz Maryanna w Lesznej.
206. Grzegorzek Józef w Zaborzu.
207. Halfar Franciszek w Polskiej Lutyni.
208. Hampel Anna w Cieszynie.
209. Hamrus Franciszek w Otrębowie.
210. Handzel Jan w Kaczycach.
211. Handzlik Ludwik w Małych Kończycach.

212. Hanusek Szymon w Niemieckiej Lutyni.
213. Haramus Jerzy w Landeku.
214. Harasin Maryanna w Cieszynie.
215. Harok Józef w Polskiej Ostrawie.
216. Heczko Jerzy w Pogorzu.
217. Heler Jan w Brennėj.
218. Heler Paweł w Brennėj.
219. Hen Ferdynand w Annabergu.
220. Herda Anna w Skoczowie.
221. Heresin Maryanna w Skoczowie.
222. Herman Anna w Jabłonkowie.
223. Hermanczyk Anna w Buntawej.
224. Hok Józef w Niemieckiej Lutyni.
225. Holeksa Jerzy w Brennėj.
226. Hołamek Ewa w Skoczowie.
227. Hyrnik Franciszek w Bielowicku.
228. Jabłonka Anna w Połomi.
229. Janko Filomena w Wielkich Kończycach.
230. Janota Anna w Błogocicach.
231. Jarosz Wincenty w Brześciach.
232. Jaworski Jan w Brennėj.
233. Jaworski Józef w Brennėj.
234. Janik Zuzanna w Zabłociu p. Strumieniem.
235. Jędrzejczyk Jan w Polskiej Lutyni.
236. Jeżowicz Anna w Koszarzyskach.
237. Junga Anna w Trzanowicach.
238. Juraszko Jan w Sibicy.
239. Kalus Jakób w Bojanowie.
240. Kalus Teresa w Bojanowie.
241. Kania Wiktorya w Niemieckiej Lutyni.
242. Karas Maryanna w Mostach pod Cieszynem.
243. Kasper Józef w Lesznėj.
244. Kasza Magdalena w Kaczycach.
245. Kawik Antoni w Rupławcu.
246. Kawik Jan w Brennėj.
247. Kałuża Maryanna w Boguszowicach.
248. Kaleta Józefa w Błazejowicach.
249. Kaleta Maciej w Błazejowicach.

250. Kawka Dorota w Błazejowicach.
251. Kania Karol w Ruptawej.
252. Karolina, tegoż małżonka.
253. Kędziur Anna w Harbutowicach.
254. Kempny Józef w Cieszynie.
255. Kiecia Michał w Komorowicach.
256. Kiecoń Maryanna w Nierodzimiu.
257. Kiedroń Adam w Dolnej Lesznej.
258. Kielkowski Józef w Zebrzydowicach.
259. Kisiała Maryanna w Lipowcu.
260. Kisiała Paweł w Wielkich Górkach.
261. Kisiała Zuzanna w Ustroniu.
262. Kielkowski Henryk w Zebrzydowicach.
263. Kleczyński Władysław w Skrzyszowicach.
264. Kłoda Anna na Mnisztwie.
265. Knop Franciszka w Cieszynie.
266. Knop Józef w Ruptawej.
267. Józefa, tegoż żona.
268. Knyps Paweł w Skoczowie.
269. Koch August w Wendryni.
270. Kocur Zuzanna w Wiśle.
271. Kocur Jerzy w Chybiu.
272. Kocur Franciszek w Małej Turzy.
273. Koczy Teodora w Zabłociu pod Strumieniem.
274. Kojzar Franciszek w Warszowicach.
275. Kojzar Tomasz w Warszowicach.
276. Kończyna Anna w Wielkich Kończycach.
277. Kończyna Maryanna w Wielkich Kończycach.
278. Kontny Paweł w Kalembicach.
279. Kokotek Paweł w Ropicy.
280. Kondziola Franciszek w Pielgrzymowicach.
281. Kopeó Franciszek w Bronowie.
282. Kopel Joanna w Zebrzydowicach.
283. Kopel Antoni w Zebrzydowicach.
284. Kopel Antoni w Zebrzydowicach.
285. Kopel Dominik w Zebrzydowicach.
286. Korcz Marcin w Ustroniu.
287. Korzec Zuzanna w Hażlachu.

288. Korzeniowski Paweł w Rudzicy.
289. Korzeniowski Jan w Rudzicy.
290. Kos Marcin w Międzybrodziu.
291. Koterla Anna w Cieszynie.
292. Koterla Maryanna w Cieszynie.
293. Kotrubczyk Józefa w Frysztacie.
294. Kowalewska Elżbieta w Mostach.
295. Kozłowski Antoni w Tomaszbudzie.
296. Anna, tegoż małżonka.
297. Gertruda, tegoż matka.
298. Kramarczyk Franciszek w Osieku.
299. Kriż Jan w Cieszynie.
300. Kramny Anna w Wielkich Kończycach.
301. Krejczy Tomasz w Szonichlu.
302. Królik Maryanna w Wojnowicach.
303. Krucina Jan w Łakach.
304. Krysta Anna w Nierodzimiu.
305. Krzemień Ewa w Hażłachu.
306. Kubica Tomasz w Mikuszowicach.
307. Kubień Jan w Lipowcu.
308. Kubisz Jerzy w Trzyńcu.
309. Kuboszek Jan w Zarzeczcu.
310. Kuboszek Franciszek w Zarzeczcu.
311. Kufa Anna w Mostach pod Cieszynem.
312. Kuczera Joanna w Cieszynie.
313. Kuczera Katarzyna w Skoczowie.
314. Kuczera Tekla w Frysztacie.
315. Kuczera Katarzyna w Frydku.
316. Kudła Józef w Szonichlu.
317. Kukuczka Anna w Izdebnem.
318. Kula Karol w Hażłachu.
319. Kula Paweł w Polskiej Lutyni.
320. Kula Mateusz w Kaczycach.
321. Kunc Franciszek w Kaczycach.
322. Kupka Franciszek w Ropicy.
323. Kurz Franciszek na Brandysie.
324. Kurdziel Katarzyna w Cieszynie.
325. Kurek Franciszek w Piosku.

326. Kwiczała Franciszek w Wielkich Kończycach.
327. Kwietoń Józef w Trzynie.
328. Larysz Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
329. Lankosz Józefa w Dzieńmorowicach.
330. Lebiódzik Joanna w Wielkich Kończycach.
331. Lebiódzik Tomasz w Małych Kończycach.
332. Legierski Paweł w Koniakowie.
333. Lekki Joanna w Szonichlu.
334. Lekki Franciszek w Szonichlu.
335. Leopoldyna, tegoż żona.
336. Ligocki Jan w Niemieckiej Lutyni.
337. Ligocki Zuzanna w Nawsiu.
338. Ligocki Jędrzej w Łomnej.
339. Lipa Maryanna w Cieszynie.
340. Lipka Jan w Ruptawej.
341. Lipka Maryanna w Ruptawej.
342. Łódzik Jan w Wojnowicach.
343. Łysek Adam, zagrodnik w Miejskiej Łomnej.
344. Mach Anna w Lipowcu.
345. Mach Maryanna w Lipowcu.
346. Machalica Jerzy w Rudzicy.
347. Machej Franciszek w Wielkich Kończycach.
348. Macura Katarzyna w Cieszynie.
349. Macura Maryanna w Skoczowie.
350. Madej Anna w Wielkich Górkach.
351. Malik Franciszek w Górnej Suchej.
352. Malik Anna w Cieszynie.
353. Marcinek Adam w Łomnej.
354. Marcinek Paweł w Milikowie.
355. Marcinek Jędrzej w Mnichu.
356. Marcinek Maryanna w Mnichu.
357. Marcol Juliana w Szotkowicach.
358. Markuzel Ewa w Skoczowie.
359. Marosz Jan w Wendryni.
360. Martinek Józef w Dzingielowie.
361. Matloch Jan w Cieszynie.
362. Matloch Anna w Pastwiskach.
363. Matula Anna w Cieszynie.

364. Matutajtys Maciej w Zyplach.
365. Matuszek Jan na Rudniku.
366. Matuszek Jerzy w Wielkich Kończycach.
367. Matuszek Ludwik w Żywcu.
368. Matuszek Karol w Rychwałdzie.
369. Mazurek Franciszek w Połomi.
370. Leopoldyna, tegoż żona.
371. Mazur Anna w Cieszynie.
372. Matuszyński Jan w Niemieckiej Lutyni.
373. Marcalik Józef w Niemieckiej Lutyni.
374. Madzia Józef w Brennėj.
375. Musialik Maryanna w Bojanowie.
376. Musialik Paulina w Bojanowie.
377. Machej Anna w Wielkich Kończycach.
378. Moczka Franciszek w Cieszynie.
379. Mohela Jan w Hażłachu.
380. Moj Zuzanna w Boguszowicach.
381. Mojesćik Zuzanna w Małych Górkach.
382. Możyszek Franciszek w Cierlicku.
383. Motyka Adam w Mostach.
384. Maryanna, tegoż żona.
385. Maryanna, tegoż córka.
386. Motyczka Józef w Skoczowie.
387. Mrózek Józef w Ropicy.
388. Mrózek Maryanna w Izdebnem.
389. Mrózek Józef w Harbutowicach.
390. Mrowiec Michał w Boguminie.
391. Musioł Szymon w Polskiej Lutyni.
392. Nalewajka Jan w Skoczowie.
393. Nawracik Franciszek w Szonichlu.
394. Nawrat Józef w Hażłachu.
395. Niedoba Rozalia w Jabłonkowie.
396. Nowak Maryanna w Cieszynie.
397. Nowak Zuzanna w Puńcowie.
398. Nowak Joanna w Żukowie.
399. Nowak Katarzyna w Żukowie.
400. Nowak Maryanna w Cieszynie.
401. Nytra Anna w Wielkich Kończycach.

402. Ohadek Jan w Mnichu.
403. Ochwał Jan w Boguminie.
404. Olszowy Franciszek w Trzyńcu.
405. Olszar Anna w Sibicy.
406. Oreł Jan w Polskiej Lutyni.
407. Owczarzy Józef z małżonką Anną w Kaczycach.
408. Owczarzy Józef w Wielkich Kończycach.
409. Owczarzy Karol w Otrębowie.
410. Pachuła Jan w Chybiu.
411. Paduch Paweł w Jabłonkowie.
412. Paduch Rozalia w Jabłonkowie.
413. Palowski Franciszek w Olbrachcicach.
414. Pańczyk Antonia w Zebrzydowicach.
415. Parchańska Teresa w Wielkich Kończycach.
416. Papkoj Michał w Mnichu.
417. Parchański Mateusz w Wielkich Kończycach.
418. Porosz Ludwik w Ustroniu.
419. Passinger Jan w Bojanowie.
420. Passinger Łucya w Bojanowie.
421. Pastółka Ludwik w Małych Kończycach.
422. Pawliczek Tomasz w Moszczenicy.
423. Pawliczek Joanna w Moszczenicy.
424. Pawliczek Teresa w Moszczenicy.
425. Paździora Józef w Górnej Suchej.
426. Pagacz Maryanna w Zebrzydowicach.
427. Pawlas Wawrzyn w Mszannej.
428. Paździorek Franciszek w Hażłachu.
429. Pękala Maryanna w Połomi.
430. Pękala Józef w Połomi.
431. Pękala Weronika w Połomi.
432. Pękala Anna w Połomi.
433. Piekar Teresa w Wielkich Kończycach.
434. Piekar Jadwiga w Wielkich Kończycach.
435. Piperek Sylwester w Niemieckiej Lutyni.
436. Piegrzym Franciszek w Dolnych Kaczycach.
437. Piętka Joanna w Pudłowie.
438. Pindór Jan w Wendryni.
439. Pindór Józef w Wendryni.

440. Pindór Filip w Izdebném.
441. Piksa Maryanna w Próchnój.
442. Pisz Anna w Cieszynie.
443. Piwko Anna w Wielkich Kończycach.
444. Płaszczok Anna w Boguszowicach.
445. Plechaczek Maryanna w Dzieńmorowicach.
446. Płonka Ludwik w Zebrzydowicach.
447. Płoszek Anna w Jabłonkowie.
448. Płoszek Maryanna w Jabłonkowie.
449. Płoszek Karol w Polskiej Lutyni.
450. Podermański Jerzy w Wendryni.
451. Podeszwa Walenty w Szonichlu.
452. Poloczek Jan w Hażłachu.
453. Poloczek Teresa w Hażłachu.
454. Polok Jan w Kocobędzu.
455. Polok Franciszek w Ligocie p. Bielskiem.
456. Katarzyna, tegoż małżonka.
457. Polok Maryanna w Mostach.
458. Polok Szymon w Połomi.
459. Polok Anna w Połomi.
460. Popek Joanna w Zebrzydowicach.
461. Popek Antoni w Niemieckiej Lutyni.
462. Popiółek Antoni w Niemieckiej Lutyni.
463. Porębski Jakob w Brennój.
464. Postrzednik Paweł w Świętoszówkach.
465. Przybyłka Anna w Skoczowie.
466. Prokop Filomena w Skoczowie.
467. Przywara Anna w Hażłachu.
468. Przywara Zuzanna w Hażłachu.
469. Przywara Zuzanna w Hażłachu.
470. Przywara Maryanna w Cieszynie.
471. Parchańska Terezya w Wielkich Kończycach.
472. Pucek Franciszek w Wielkich Kończycach.
473. Pupek Rudolf w Małych Kończycach.
474. Pupek Anna w Wielkich Kończycach.
475. Rachfał Karol w Bochni.
476. Radecki Wiktoryn w Pietrowicach.
477. Radecki Jakób w Pietrowicach.

478. Rajwa Jan w Pogorzu.
479. Raszka Franciszek w Skoczowie.
480. Rduch Anna w Połomi.
481. Rduch Bartłomiej w Połomi.
482. Rduch Franciszek w Połomi.
483. Raszyk Helena w Cieszynie.
484. Raszka Jan w Końskiej.
485. Ryl Jan w Szonichlu.
486. Rojczyk Paweł w Kaczycach.
487. Rostek Józef Dr. med. w Raciborzu.
488. Różycki Ludwik w Strumieniu.
489. Rycko Maryanna w Lipowcu.
490. Rygiel Franciszek w Markłowicach.
491. Rozner Teresa w Komorowicach.
492. Rybak Jadwiga w Roszowskim Lesie.
493. Sabuda Jan w Bestwinie.
494. Sandany Franciszek w Wiedniu.
495. Sandany Filip w Cieszynie.
496. Salomon Franciszek w Zebrzydowicach.
497. Ścisaka Anna w Samłowcu.
498. Ścisaka Maryanna w Trzyńcu.
499. Serwódka Franciszek w Moszczenicy.
500. Sidorowicz Józef w Zyplach.
501. Sidorowicz Agnieszka, tegoż małżonka.
502. Siekierka Anna w Jabłonkowie.
503. Sikora Antoni w Pudłowie.
504. Sikora Maryanna w Jabłonkowie.
505. Sikora Jędrzej w Zabłociu.
506. Sikora Anna w Jabłonkowie.
507. Sikora Ludwik w Jabłonkowie.
508. Sikora Maryanna w Cieszynie.
509. Sikora Szczepan w Jabłonkowie.
510. Skrzyszowski Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
511. Sinda Marya w Łakach.
512. Siwek Anna w Stanisławicach.
513. Sitek Jan w Mszaněj.
514. Sitek Józef w Mszaněj.
515. Skibińska Anna w Cieszynie.

516. Słama Ewa w Cieszynie.
517. Słama Karolina w Jabłonkowie.
518. Sławiczek Marya w Skoczowie.
519. Słowiocek Marya w Boconowicach.
520. Słowiok Jerzy w Brennėj.
521. Smelik Franciszek w Wielkich Kończycach.
522. Smieja Jan w Polskiej Wiśle.
523. Smołon Ewą w Żukowie.
524. Smyczek Teresa w Wielkich Kończycach.
525. Smusz Franciszek w Boguminie.
526. Sniegoń Józef w Jabłonkowie.
527. Sobik Maryanna w Próchnėj.
528. Sobala Ewa w Bukowcu.
529. Sojka Anna w Kaczycach.
530. Sojka Jan w Wendryni.
531. Somerlik Józef w Zebrzydowicach.
532. Sosna Franciszek w Próchnėj.
533. Spiewak Jan w Zawadzie.
534. Splesniok Franciszek w Piersnėj.
535. Maryanna, tegoż żona.
536. Słaniczek Joanna w Niemieckiej Lutyni.
537. Staniek Maryanna w Cieszynie.
538. Staśko Paweł w Goleszowie.
539. Starzek Maryanna w Cieszynie.
540. Stec Paweł w Ustroniu.
541. Stęchła Weronika w Moszczenicy.
542. Stefka Anna w Lesznėj.
543. Stiasny Adolf w Stanisławicach.
544. Stokłosa Zuzanna w Kojkowicach.
545. Stokłosa Franciszek w Szonichlu.
546. Stoszek Anna w Wielkich Kończycach.
547. Strach Jerzy w Małych Górkach.
548. Strońska Teresa w Jasienicy.
549. Strzondała Jan w Mnichu.
550. Strzondała Jan w Mnichu.
551. Strzondała Franciszek w Mnichu.
552. Strzondała Jan w Mnichu.
553. Strzondała Anna w Mnichu.

554. Sodzawiczny Józef w Ochabach.
555. Solich Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
556. Staniczek Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
557. Karolina, tegoż żona.
558. Stoszek Zofia w Zebrzydowicach.
559. Staniek Antoni w Rogowie.
560. Florentyna tegoż żona.
561. Stęchły Paweł w Mszanej.
562. Suchy Jerzy w Ustroniu.
563. Sułkajtys Antoni w Tomaszbudzie.
564. Świderek Anna w Skoczowie.
565. Świeży Józefa w Zebrzydowicach.
566. Świerczek Józef w Bojanowie.
567. Świeńczyk Jerzy w Kowalach.
568. Swoboda Antoni w Pudłowie.
569. Szajer Jadwiga w Cieszynie.
570. Szajter Antoni w Wielkich Kończycach.
571. Szajter Franciszek w Wielkich Kończycach.
572. Szajter Katarzyna w Cieszynie.
573. Szajter Franciszek na Rudniku.
574. Szajter Adolf w Zebrzydowicach.
575. Szczepan Jan w Brennej.
576. Szczypka Józef w Rudzicy.
577. Szeliga Józef w Paryżu.
578. Szewczyk Alfons w Markłowicach.
579. Szewieczek Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
580. Szkandera Adam w Nawsiu.
581. Szkandera Adam w Łomnej.
582. Szkandera Jerzy w Nawsiu.
583. Szkandera Paweł w Nawsiu.
584. Szkaradnik Anna w Dębowcu.
585. Szlaur Jan w Trzyńcu.
586. Sznepka Jędrzej w Markłowicach.
587. Szostak Anna w Skoczowie.
588. Szotek Józef w Godowie.
589. Szotkowski Józef w Puńcowie.
590. Szperling Mikołaj w Skoczowie.
591. Szkoła Ludowa w Zebrzydowicach.

592. Sztemon Walentyn w Markłowicach.
593. Sztemon Wiktoryn w Zebrzydowicach.
594. Sztwiorok Andrzej w Ilownicy.
595. Sztwiertnia Jan w Kisielowie.
596. Szulik Wincenty w Przegendzy.
597. Szulik Franciszek w Przegendzy.
598. Szwańczarz Józef w Trzyńcu.
599. Szymura Andrzej w Przegendzy.
600. Szwab Jan w Ruptawej.
601. Szymsza Maryanna w Kocobędzu.
602. Szywała Jan w Niemieckiej Lutyni.
603. Tabor Jan w Suscu.
604. Telihoyna Stefan w Jassach.
605. Temich Maryanna w Cieszynie.
606. Teper Franciszek w Próchněj.
607. Tomica Maryanna w Wielkich Kończycach.
608. Tomanek Jan w Ropicy.
609. Tomała Wawrzyniec w Kaczycach.
610. Tomanek Franciszek w Ropicy.
611. Tomasz Teresa w Kaczycach.
612. Tomasz Joanna w Kaczycach.
613. Tomaszko Helena w Skoczowie.
614. Tomica Anna w Wielkich Kończycach.
615. Tomica Teresa w Wielkich Kończycach.
616. Tomica Jan w Wielkich Kończycach.
617. Trombala Anna w Pogorzu.
618. Trombik Anna w Cieszynie.
619. Trombik Jan w Ropicy.
620. Trombik Józef w Trzyńcu.
621. Urbanek Franciszek w Cieszynie.
622. Urbisz Józef w Strumieniu.
623. Uherek Franciszek w Moszczenicy.
624. Wachtarz Maryanna w Cieszynie.
625. Wajdzik Jędrzej w Szczerku.
626. Wajsman Błażej w Gogołowej.
627. Wałaski Adam w Trzyńcu.
628. Waliczek Jan w Lipowcu.
629. Waliczek Maryanna w Skoczowie.

630. Waliczek Jan w Bielsku.
631. Wałoszek Karol w Suchéj.
632. Wandzel Maryanna w Skoczowie.
633. Wawerka Jan w Skoczowie.
634. Wawrzyczek Franciszek w Wielkich Kończycach.
635. Wawrzyczek Jan w Wielkich Kończycach.
636. Wawrzyczek Józef w Wielkich Kończycach.
637. Wawrzyczek Józef w Wielkich Kończycach.
638. Teresa, tegoż małżonka.
639. Wawrzyczek Karol w Wielkich Kończycach.
640. Wawrzyczek Katarzyna w Dębowcu.
641. Wawrzyczek Maryanna w Wielkich Kończycach.
642. Wenglarzy Franciszek w Wielkich Kończycach.
643. Wenglarzy Franciszek w Hażłachu.
644. Wenglorz Jan w Puńcowie.
645. Wiencek Jan w Jasienicy.
646. Wilczek Fabian w Rychwałdzie.
647. Wita Józefa w Połomi.
648. Wita Franciszek w Połomi.
649. Maryanna, tegoż małżonka.
650. Wita Franciszek w Połomi.
651. Wita Franciszek w Połomi.
652. Wita Katarzyna w Połomi.
653. Witkowski Michał w Jarosławiu.
654. Witoszek Józef w Hażłachu.
655. Wieszczer Paweł w Łomnej.
656. Wolf Franciszek w Boguminie.
657. Wolf Wiktoryn w Zabłociu.
658. Wojcik Katarzyna w Mikuszowicach.
659. Wojcik Antoni w Mikuszowicach.
660. Wojnar Józef w Wendryni.
661. Wojciechowski Jan w Skoczowie.
662. Woźnica Franciszek w Polskiej Lutyni.
663. Woźnica Paweł w Niemieckiej Lutyni.
664. Wojtek Jan w Niemieckiej Lutyni.
665. Woźnica Józefa w Polskiej Lutyni.
666. Wierzechnia Karol w Dąbrowej.
667. Maryanna, tegoż małżonka.

668. Wysłych Anna w Nierodzimiu.
669. Wysłych Anna w Skoczowie.
670. Wyszkoń Franciszek w Biękowicach.
671. Zaczek Józef w Ligocie.
672. Żagan Ignacy w Zebrzydowicach.
673. Zaleski Józef w Puńcowie.
674. Zamarska w Gułdowach.
675. Zamarska Anna w Cieszynie.
676. Zajac Helena w Nierodzimiu.
677. Zeman Franciszek w Szonichlu.
678. Zoń Anna w Bukowcu.
679. Zonuchta Maryanna w Małych Kończycach.
680. Zubek Józef w Hażlachu.
681. Zubek Józef w Wielkich Górkach.
682. Żukowska Ewa w Jabłonkowie.
683. Żułowski Ignacy w Krakowie.
684. Żur Zuzanna w Zabłociu.
685. Żur Jędrzej w Mnichu.
686. Żur Jerzy w Zabłociu.
687. Żyła Anna w Wielkich Kończycach.
688. Żyła Jan w Wielkich Kończycach.
689. Żyła Jan w Wielkich Kończycach.
690. Żyła Franciszek w Wielkich Kończycach.
691. Żyła Maryanna w Wielkich Kończycach.
692. Żyła Paweł w Wielkich Kończycach.
693. Żyła Maryanna w Wielkich Kończycach.
694. Żyła Ewa, chałupnica w Dębowcu.
695. Żyła Franciszek w Polskiej Lutyni.
696. Żyła Franciszek w Niemieckiej Lutyni.
697. Zniszczoł Paulina w Michałkowicach.
698. Niechący być mianowany.

Dali się zapisać w roku bieżącym.

699. Ślusarek Jerzy w Przegendzy.
700. Maryanna, tegoż małżonka.
701. Szymura Katarzyna w Przegendzy.
702. Śmiga Franciszka, wdowa w Płużnicy.
703. Ks. Londzin Józef, wikary w Cieszynie.

- 704. Ks. Maciej Antoni, katecheta w Cieszynie.
- 705. Foltyn Katarzyna w Wielkich Kończycach.
- 706. Bijok Maryanna w Wielkich Kończycach.
- 707. Lanczyk Franciszka w Cieszynie.
- 708. Szulik Joanna w Przegendzy.
- 709. Szulik Ludwina w Przegendzy.
- 710. Gospoś Maciej w Szonichlu.
- 711. Jędrzejczyk Rozalia w Polskiej Lutyni.
- 712. Jędrzejczyk Jan (mł.) w Polskiej Lutyni.
- 713. Jędrzejczyk Franciszek w Polskiej Lutyni.
- 714. Sporysz Jan, hutnik w Lipinach.
- 715. Kubisz Jan, robotnik w Zabłociu, p. Bogumin.
- 716. Kozok Jan, chałupnik w N. Lutyni Nr. 245.
- 717. Rzepecki Władysław, redaktor w Cieszynie.

Członkowie zmarli z dawniejszych lat.

- 1. Bazyliidesowa rodzina, zmarła w Jabłonkowie.
- 2. Fuczkowa rodzina, zmarła w Ruptawej.
- 3. Glencowa rodzina, zmarła w Przowie.
- 4. Kubiczkowa rodzina, zmarła w Bojanowie.
- 5. Steblowa rodzina, zmarła w Pietrowicach.
- 6. Przewielebny ks. biskup Pukalski w Tarnowie.
- 7. Przewielebny Książę biskup Wrocławski Herzog Robert.
- 8. Ks. Baczyński Franciszek, proboszcz w Poznaniu.
- 9. Ks. Bilowicki Józef, dziekan w Jabłonkowie.
- 10. Ks. Cieplik Antoni, proboszcz w Pietrowicach.
- 11. Ks. Danel Franciszek, dziekan w Bielsku.
- 12. Ks. Hałasz Jędrzej, dziekan w Karwinie.
- 13. Ks. Janik Teodor, kapłan T. J. w Krakowie.
- 14. Ks. Hudeczek Karol, proboszcz w Próchniej.
- 15. Ks. Kawka Marcin, proboszcz w Brennjej.
- 16. Ks. Koczwarą Józef, wikary w Pietrowicach.
- 17. Ks. Knopek Antoni, dziekan w Międzyrzeczu.
- 18. Ks. Madry Karol, proboszcz w Końskiej.
- 19. Ks. Matuszyński Paweł, proboszcz w Łakach.
- 20. Ks. Onderek Józef, proboszcz w Skaliczy.

21. Ks. Prusenowski Józef, proboszcz w Wielkich Kończycach.
22. Ks. Rusin Józef, proboszcz w Lipowej.
23. Ks. Schüler Albert, proboszcz w Ropicy.
24. Ks. Strzyżyk Franciszek, proboszcz w Zebrzydowicach.
25. Ks. Żmijka Jan, proboszcz w Karwiniej.
26. Adamczyk Jan w Połomi.
27. Adamczyk Maryanna w Połomi.
28. Białecki Jan w Połomi.
29. Białecka Karolina w Połomi.
30. Baron Joanna w Wielkich Kończycach.
31. Bijok Jan w Wielkich Kończycach.
32. Bijok Józef w Wielkich Kończycach.
33. Bijok Maryanna w Wielkich Kończycach.
34. Brzózka Maryanna w Wielkich Kończycach.
35. Chmiel Wiktor w Pietrowicach.
36. Chmiel Katarzyna w Zamarskach.
37. Czapla Jan w Hażlachu.
38. Czapla Maryanna w Pastwiskach.
39. Czyż Jan w Ruptawej.
40. Dobrzyk Maryanna w Cieszyńie.
41. Fuzik Roza w Zebrzydowicach.
42. Gajdaczek Antoni w Godowie.
43. Glenc Jakób w Przowie.
44. Glenc Jan w Przowie.
45. Gogler Dominik w Wielkich Kończycach.
46. Gogler Maryanna w Wielkich Kończycach.
47. Górnioszek Józef w Wielkich Kończycach.
48. Górnioszek Katarzyna w Wielkich Kończycach.
49. Górnioszek Mateusz w Wielkich Kończycach.
50. Handzel Anna w Wielkich Kończycach.
51. Handzel Maryanna w Wielkich Kończycach.
52. Heler Anna w Brennėj.
53. Herman Maryanna w Markłowicach.
54. Hermanczyk Błażej w Ruptawej.
55. Foltyn Józef w Wielkich Kończycach.
56. Foltyn Katarzyna, tegoż małżonka.

57. Foltyn Paweł w Kaczczech.
58. Jabłonka Jan w Połomi.
59. Junga Jan w Trzanowicach.
60. Kabiesz Maryanna w Boguszowicach.
61. Kempny Józefa w Wielkich Kończycach.
62. Kenig Jan w Bronowie.
63. Kernerek Franciszek w Bojanowie.
64. Kielkowski Karol w Zebrzydowicach.
65. Knop Helena w Ruptawej.
66. Kończyna Jakób w Wielkich Kończycach.
67. Anna, tegoż żona.
68. Konieczny Teresa w Zebrzydowicach.
69. Konderla Jan w Hażłachu.
70. Kozok Zuzanna w Lipowcu.
71. Lazar Paweł na Mnisztwie.
72. Jadwiga, tegoż żona.
73. Ewa, tegoż córka.
74. Lipa Jędrzej w Cieszynie.
75. Lipka Józef w Ruptawej.
76. Anna, tegoż żona.
77. Macionczyk Józef w Połomi.
78. Maj Jędrzej w Cieszynie.
79. Matula Jędrzej w Cieszynie.
80. Marcinek Johanna w Pietrowicach.
81. Mazurek Jędrzej w Gogolowej.
82. Józefa, tegoż żona.
83. Marcol Walenty w Szotkowicach.
84. Mendrela Anna w Szotkowicach.
85. Mendrela Tomasz w Szotkowicach.
86. Musialik Mikołaj w Bojanowie.
87. Niemczyk Karol w Połomi.
88. Karolina, tegoż żona.
89. Nohel Maryanna w Dobrzej.
90. Olszar Anna w Sibicy.
91. Parchański Józef w Wielkich Kończycach.
92. Parchańska Katarzyna w Wielkich Kończycach.
93. Pawliczek Teresa w Moszczenicy.
94. Pawlas Paweł w Godowie.

95. Pękala Jerzy w Połomi.
96. Pieczonka Jakób w Zamarskach.
97. Pieczonka Maryanna w Zamarskach.
98. Piechaczek Jerzy w Jastrzębi.
99. Piechaczek Franciszek w Pruskich Markłowicach.
100. Jadwiga, tegoż małżonka.
101. Piwko Jan w Wielkich Kończycach.
102. Piwko Maryanna w Wielkich Kończycach.
103. Plechaczek Franciszek w Dziećmorowicach.
104. Polok Jan w Połomi.
105. Powieśnik Józef w Połomi.
106. Józefa, tegoż małżonka
107. Dr. Pszczołka Jan w Bielsku.
108. Parchański Jakób w Wielkich Kończycach.
109. Rduch Mateusz w Połomi.
110. Rduch Szymon w Połomi.
111. Anna, tegoż małżonka.
112. Katarzyna, tegoż córka.
113. Rek Barbara w Cieszynie.
114. Rek Józef w Cieszynie.
115. Serwot Maryanna w Moszczenicy.
116. Siwek Józef w Stanisławicach.
117. Sliwka Jadwiga w Pietrowicach.
118. Spleśniok Konstanty w Mszaněj.
119. Spleśniok Józef w Piersnėj.
120. Spleśniok Weronika w Piersnėj.
121. Staniek Józefa w Rogowie.
122. Studzińska Eufemia w Wielkich Kończycach.
123. Stanioszek Franciszek w Dziećmorowicach.
124. Stanioszek Jan w Dziećmorowicach.
125. Swierczek Agata w Bojanowie.
126. Swierczek Maryanna w Bojanowie.
127. Szałsza Magdalena w Frysztacie.
128. Szérocki Jakób w Pietrowicach.
129. Szerocka Anna w Pietrowicach.
130. Teper Adam w Cieszynie.
131. Teper Maryanna w Cieszynie.
132. Toboła Piotr na Bobrku.

133. Maryanna, tegoż żona.
 134. Tomica Franciszek w Wielkich Kończycach.
 135. Tomica Mateusz w Wielkich Kończycach.
 136. Tomica Józef w Wielkich Kończycach.
 137. Trombik Anna w Cieszynie.
 138. Uherek Michał w Moszczenicy.
 139. Urbańczyk Józef w Raju.
 140. Wajzman Anna w Gogolowój.
 141. Wawrzyczek Józef w Wielkich Kończycach.
 142. Wenglarzy Jadwiga w Cieszynie.
 143. Woryna Paweł w Godowie.
 144. Józefa, tegoż żona.
 145. Widenka Józef w Cieszynie.
 146. Wita Józefa w Połomi.
 147. Witosz Franciszek w Połomi.
 148. Zamarska Anna w Gułdowach.
 149. Zniszczoł Józef w Michałkowicach.
 150. Żebroł Józef w Wielkich Kończycach.
- Umarli po części w ubiegłym roku, po części w dawniejszych latach, lecz dla braku wiadomości wpisanu dopiero w tym roku w poczet zmarłych lub dano ich zapisać po śmierci.
151. Najprzewielebniejszy ks. biskup i Jen. wikaryusz Śniegoń Franciszek w Cieszynie.
 152. Przewielebny ks. komisarz i kanonik Michałek Józef w Skoczowie.
 153. Ks. Fuzoń Antoni, wikary w Cieszynie.
 154. Ks. Szebesta Walenty, pen. proboszcz w W. Górkach.
 155. Ks. Zubek Wincenty, proboszcz w Ogrodzonój.
 156. Bednarczyk Agnieszka w Niemieckiej Lutyni.
 157. Bijok Józef w Wielkich Kończycach.
 158. Chrapek Jan w Małych Górkach.
 159. Cofalik Franciszek w Połomi.
 160. Dziekan Antoni w Stonawie.
 161. Foltyn Jerzy w Wielkich Kończycach.
 162. Foltyn Józef w Wielkich Kończycach.
 163. Franek Jerzy w Dolnej Lesznój.

164. Giemza Jan w Ropicy.
165. Gogler Barbara w Wielkich Kończycach.
166. Handzel Mateusz w Wielkich Kończycach.
167. Janota Anna w Błogocicach.
168. Janota Ewa w Błogocicach.
169. Koczvara Magdalena w Pietrowicach.
170. Koizar Zuzanna w Warszowicach.
171. Konderla Zuzanna w Hażlachu.
172. Kuchejda Ewa w Pastwiskach.
173. Kula Anna w Wielkich Kończycach.
174. Kulfierz Franciszek w Polskiej Lutyni.
175. Lupiński Alojzy w Bielsku.
176. Mach Józef w Lipowcu.
177. Machej Jan w Kaczycach.
178. Machej Franciszek w Wielkich Kończycach.
179. Maciejczek Jan w Lipowcu.
180. Malewski Andrzej w Dziedzicach.
181. Motyka Ewa w Jabłonkowie.
182. Mrowczyk Anna w Hażlachu.
183. Nowacki Tomasz w Mikułowie.
184. Nowak Maryanna w Lipowcu.
185. Piperek Paweł w Niemieckiej Lutyni.
186. Polok Józef na Bobrku.
187. Piekar Maryanna w Wielkich Kończycach.
188. Radecki Barbara w Pietrowicach.
189. Rduch Anna w Połomi.
190. Rychły Antoni w Zebrzydowicach.
191. Dr. Sękowski Aleksander w Krakowie.
192. Sikora Jan w Wilamowicach.
193. Skupin Franciszek w Wielkich Kończycach.
194. Słowioczek Paweł w Boconowicach.
195. Smiga Mateusz w Zebrzydowicach.
196. Stanko Jan w Bielsku.
197. Stańko Anna w Izdebném.
198. Stokłosa Marya w Kolkowicach.
199. Szkuta Wiktoryn w Polskiej Lutyni.
200. Szuścik Jan w Pietrowicach.
201. Tomica Anna w Wielkich Kończycach.

- 202. Waniółka Jan w Bronowie.
 - 203. Wantulok Zuzanna w Lipowcu.
 - 204. Wantulok Anna w Lipowcu.
 - 205. Wawrzyczek Jadwiga w Wielkich Kończycach.
 - 206. Wawrzyczek Józef w Wielkich Kończycach.
 - 207. Wenglarzy Joanna w Wielkich Kończycach.
 - 208. Wita Walenty w Połomi.
 - 209. Żebrok Maryanna w Wielkich Kończycach.
 - 210. Zubek Ewa w Hażłachu.
 - 211. Żurek Ewa w Hażłachu.
 - 212. Tomeczko Zuzanna w Cieszynie.
 - 213. Wita Franciszka w Połomi.
-

Módlmy się.

Boże, wszystkich wiernych stwórcy i odkupicieli, duszom sług i służebnic twoich odpuszczenie wszystkich grzechów racz udzielić, aby przebaczenie, którego zawsze pragnęli, przez pobożne prośby otrzymać mogli. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Odpoczynek wieczny racz im dać Panie, a światłość wieczna niech im świeci! Niech odpoczywają w pokoju!

Za przyczyną błogosławionego Jana Sarkandra racz zapłacić, o Panie, wszystkim Dziedzictwu Twemu dobrze czyniącym, dla imienia Twego, żywotem wiecznym. Amen.

Prośba do członków stanu duchownego.

Wielebnych duchownych członków Dziedzictwa prosimy jak najuprzejmiej, aby mszę świętą, odprawianą za zmarłych członków Dziedzictwa, łaskawie z kazalnicy oznajmić i przytém nabożeństwie w krótkiej przemowie lud wierny do zapisywania się na członków Dziedzictwa zachęcić raczyli!
